



NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 75 gr — 12 stron

Warszawa, 3 lutego 1952 r.

Nr 5 (97) Rok III

W NUMERZE m. in.: Wojciech Bylina — A jednak bohatera... Jerzy Putrament — Parę wspomnień; Julian Tuwim — Do Jerzego Borejszy; K. I. Galczyński — Finał IX Symfonii; Marian Czerwinski — O nowej literaturze francuskiej; Stefan Żółkiewski — Mickiewicz i wersyfikacja narodowa; Włodzimierz Słobodnik — Norwid; Wilhelm Szewczyk — Zyciorys człowieka i epoki; Zofia Bystrzycka — Twój ojciec; Jerzy Korczak — Noc w Strzygoniowie; Poeści dekabrysty (przekłady poetyckie); Ryszard Matuszewski — „Niobe” i „Wit Stwoszc”; Artur Międzyrzecki — Jest czy nie ma?; Bogdan Butryńczuk — Druga sztuka Gruszczyńskiego; Włodzimierz Lewik — Czy Wiwia Warren jest „pozytywnym bohaterem”?

„Księga praw nowych”

ANDRZEJ WASILEWSKI

Historia, jakby życie, płynie nieustającą falą naprzód, w jednym kierunku. Rozwój ten staje się tak potężny, bogaty, że trudno uświadomić sobie w granicach jednej pamięci ludzkiej choćby ogólny obraz przebytej drogi. Przemiany, konflikty społeczne, polityczne — niby potężna rzeka niosą elementy nowej rzeczywistości, ażeby niedostrzeżalnie krzepnąć w widzialnej postaci tego świata, który oglądamy dziś, wielkiego placu budowy, zarosłego kominami nowych fabryk, blokami stoniecznych mieszkań. Wylaniają obraz kraju i kształtują nowe prawa, których kodeksy stają się słupami milowymi historii, stają się jej podsumowaniem, aby od tej chwili z kolei same aktywne oddziaływać na bieg życia i kierunek przemian. Sposób powstawania praw w tym przypominają właśnie rodzenie się dzieł sztuki, i nie jest przesadą, jeżeli wielkich twórców nazywamy prawodawcami swej epoki.

Gdybyśmy chcieli znaleźć zamknięte w słowach to wszystko, co wyrosło w ciągu ostatnich lat w ojczyźnie naszej, nie moglibyśmy znaleźć nic pełniejszego aniżeli krótkie, zwięzłe — a jakże ogrom treści zawierające — zdania nowej Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

„W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej władza należy do ludu pracującego miast i wsi”. Oto istota tego, co zostało w naszym kraju. Stwierdzając to rozumiemy, komu i czemu służy państwo jako narzędzie polityki klasowej; „zapewnia rozwój i nieustanny wzrost sił wytwórczych w kraju przez jego uprzedmiotowienie, przez likwidację zacofania gospodarczego, technicznego i kulturalnego” (art. 3 p. 2), a jednocześnie: „ogranicza, wyprzedza i likwiduje klasy społeczne, żyjące z wyższych robotników i chłopów” (art. 3 p. 4).

„Praca jest prawem, obowiązkiem i sprawą honoru każdego obywatela” (art. 14 p. 1). Oto nasza moralność, która staje się prawem.

Konstytucja nasza jest wielką kartą rozwoju i twórczości człowieka. Tym samym musi być dumnym aktem rehabilitacji i przywrócenia godności sztuce narodowej. Art. 64 i 65 mówi: „Polska Rzeczpospolita Ludowa troszczy się o rozwój literatury i sztuki, wyrażających potrzeby i dążenia narodu, odpowiadających najlepszym, postępowym tradycjom twórczości polskiej”. „Polska Rzeczpospolita Ludowa szczególną opieką otacza inteligencję twórczą — pracowników nauki, oświaty, literatury i sztuki oraz pionierów postępu technicznego, racjonalizatorów i wynalazców”. W żadnej z dotychczasowych konstytucji nie było takiego artykułu. Zadna władza prócz władzy ludowej, żadne państwo prócz państwa ludowego nie gwarantowało i nie mogło gwarantować rozwoju kultury narodowej i opieki nad inteligencją twórczą. Popatrzmy wstecz, w czasie, kiedy hierarchia społeczna układała się według schematu: wartość człowieka według wartości jego kasy, literatura, sztuka i ludzie, którzy ją tworzą, byli na marginesie. Oddani byli w opiekę mecenasom, szefciarzom i wydawcom-wyzyskiwaczom.

Był np. w konstytucji Polski przedurzędniczej artykuł o „równości”. A jednocześnie Polska sanacyjna była w rzeczywistości państwem strasznego ucisku rasowego, ucisku wobec mniejszości narodowych... A więc jeszcze dwa artykuły nowej Konstytucji, na które warto zwrócić uwagę: „Szerzenie nienawiści lub pogardy, wywoływanie waisi albo poniżanie człowieka ze względu na różnicę narodowości, rasy czy wyznania jest zakazane” (Art. 69 p. 2). „Polska Rzeczpospolita Ludowa udziela pomocy obywatelom państw obcych, przesładowanym za obronę interesów mas pracujących, walkę o postęp społeczny, działalność w obronie pokoju, walkę narodowo-wyzwoleńczą lub działalność naukową” (Art. 75). Oto FRAWDA i RZECZYWISTOŚĆ Polski Ludowej. Oto duma nasza i dni naszych.

Projekt Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej, dyskutowany i zatwierdzany przez cały lud pracujący naszego kraju, staje się już dziś najpiękniejszą księgą myśli i kultury narodowej. Dla nas — pisarzy i twórców będzie ona przewodnikiem w trudnej analizie spraw ludzkich, będzie podręcznikiem dla wychowawców współczesnego pokolenia przyszłych dni.

Andrzej Braun

DYSKUSJA O KRYTYCE

T rzecie rozszerzone Plenum Związku Literatów, poświęcone sprawom krytyki, obradowało w dniach 17 i 18 stycznia przy wypełnionej do ostatnich miejsc sali. 2 referaty i 40 wypowiedzi dyskusyjnych, wygłoszonych w atmosferze niesłabnącego zainteresowania i gorącej woli jak najszerszego ujawnienia braków naszej krytyki, ich korzeni i sposobów ich przeczyszczenia — dały w sumie wiele wskazówek, które właściwie wykorzystane, powinny przyczynić się do znacznej poprawy na polu krytyki literackiej.

Nie przypadkowo artykuł sprawozdawczy z dyskusji o krytyce stawia na pierwszym miejscu jej braki. Słabość krytyki, tak jakościowa jak i ilościowa, jest od dawna jedną z głównych bolączek naszej walki o literaturę realizmu socjalistycznego. Od dawna odzywały się uzasadnione głosy, że krytyka — ten szturmowy oddział ofensywy kulturalnej, a zarazem i wnikliwy jej inspektor i pracownik łączności z rzeszą odbiorców — nie nadąża ani za życiem, ani za literaturą, ani za potrzebami odbiorczy mi stale zwiększających się mas czytelników. I krytyka postulatyczna, i oceniająca, i szeroko popularizująca wartości wychowawcze nowej literatury ma wiele istotnych niedostatków.

W tej sytuacji podjęcie zasadniczej i — trzeba to zaznaczyć — w Polsce Ludowej pierwszej na taką skalę dyskusji o krytyce było wydarzeniem ważnym i szczególnie potrzebnym.

Trzeba było dokonać oceny rozwoju krytyki literackiej w ciągu siedmiu minionych lat Polski Ludowej. Referat Henryka Markiewicza pt. „Krytyka literacka w latach 1944 — 1951” prawidłowo zarysował kolejne etapy kształtowania się marksistowskiej nauki o literaturze w Polsce Ludowej. W pierwszym okresie (1944 — 1947) cechowała ją zasadniczo słusna bojowa krytyka antyrealistycznych tendencji literatury burżuazyjnej okresu imperializmu. Skutecznie zwalczano formalizm, naturalizm, skrajny psychologizm prozy międzywojennej.

W przeprowadzonej w tych latach batalii o realizm, marksistowska krytyka skutecznie demaskowała polityczny sens antyrealistycznych postulatów, wysuwanych przez obóz katolicki. Słabość jej polegała natomiast na zbyt ogólnikowych i niedojrzałych postulatach własnych. Sprawdzały się one do akcentowania i poznawczych zadań literatury, nie formułowały jej zadań ideologicznych jako oręża w walce klasowej. Ograniczoność ta znajdowała oparcie w jednostronnym nawiązaniu do wzorów realizmu krytycz-

nie wysunęła w roku 1945 hasła realizmu socjalistycznego. Można i trzeba widzieć błędy krytyki w tym, że niemal zupełnie nie korzystała ze zdobyczy radzieckiej estetyki i krytyki, że nie wskazywała na literaturę radziecką jako wzor kierunkowy dla literatury polskiej. Źródła tych błędów znajdowały się z jednej strony w niepełnej dojrzałości ideologicznej tej krytyki, która dopiero dopracowywała się marksizmu, w jej nieprzyzwyczajonych jeszcze związkach z literaturą i

wyjścia dla dyskusji o istotnych problemach estetyki.

Twórczość literacka ostatnich dwu lat wskazuje, że przełom w kierunku podejmowania przez pisarzy tematyki współczesnej został dokonany. Nie znaczy to, że krytyka może w tej chwili sprawę tematyki uważać za zamkniętą. Słusznie zaprotestował przeciw temu Adam Ważyk. Dające się zauważyć w ostatnim roku kurczenie się tematyki współczesnej w literaturze i przetrwanie się niektórych pisarzy w tematykę historyczną jest objawem, wobec którego krytyka musi zachować czujność. Ukazywanie przeszłości narodowej jest w okresie kształtowania się socjalistycznego narodu sprawą niezmiernie ważną, pomocną w wychowywaniu psychiki nowego człowieka, ale nie może ono odegrać tej roli jaką spełnia tematyka współczesna. Moment ten podkreślony w referacie M. Kierczyńskiej, komplikuje pracę krytyków. Czy mogą oni bowiem zgłaszać zastrzeżenia tematyczne w stosunku do poszczególnych pisarzy, którzy z zacięmnioną przez burżuazję przeszłości narodowej wydobywają wartościowe i twórcze tradycje? Sądzę, że nie mogą. Tak ze względu na wagę tych tradycji jak i na konieczność poszanowania indywidualnych uzdolnień i zainteresowań pisarza. Ale krytyka powinna czuwać nad właściwymi proporcjami tematycznymi literatury jako całości, powinna sygnalizować niebezpieczeństwo ich zachwiania.

Niedostateczną czujność przejawiała również nasza krytyka wobec działalności publicystyki kulturalnej i pism katolickich. „Na łamach tej prasy — mówił H. Markiewicz — ...dokonywana jest rehabilitacja współczesnej kultury burżuazyjnej. Uniwersalizm katolicki nie gardzi dziś ani freudyzmem, ani nadrealizmem, ani formalizmem, ani jaszczem amerykańskim, ani rżymem co burżuazji jest”. Niewątpliwie i „Nowa Kultura” ma tu na swym koncie pewne zaniedbania.

Centralnym zagadnieniem obrad stała się sprawa schematyzmu oraz artykuł L. Flaśzka na ten temat w „Zyciu Literackim”. Najpełniej ustosunkowali się do wypowiedzi Flaśzki M. Kierczyńska, T. Drewnowski i A. Ważyk. Flaśzka opisując trafnie i do wniwie przejawy schematyzmu, pobłądził w poszukiwaniu jego źródeł, pomieszał sprawę typowości konfliktów i sytuacji ze schematyzmem ich artystycznego opracowania; oparł się na materiale powieści przeważnie drugorzędnych, przez co zniekształcił sam problem. „Literatura drugorzędna, która nie jest oparta na dużym talencie, na bogactwie doświadczeń życiowych, na głębokim wnikiwciu w istotę zja-

W latach 1947 — 1948, w okresie nasilenia odchylenia prawicowego nastąpiło zahamowanie ofensywy ideologicznej krytyki marksistowskiej, osłabienie walki z wrogi mi zjawiskami w kulturze, całkowite zatrącenie perspektywy rozwoju literatury w kierunku realizmu socjalistycznego, połowiczny stosunek do sztuki imperialistycznej. Ujawnienie i rozbieżne odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego oraz zjednoczenie partii robotniczych stworzyły warunki dla przełomu ideowo-artystycznego. Wsunęły na Szczecińskim Zjeździe Pisarzy w styczniu 1949 roku postulat realizmu socjalistycznego, pierwsze utworzyły wrosie z jego założeń zostały krytykę nieprzygotowaną do nowych zadań. W roku 1949 i początkach roku 1950 krytyka nie tylko nie spełniała podstawowych obowiązków sprawozdawczych, lecz także nie uczestniczyła w tworzeniu teoretycznych podstaw nowej literatury. W tej sytuacji głównie romoc polityków i działaczy kulturalnych ukazywała drogę pisarzom i kreśliła perspektywę rozwoju ich twórczości.

W ostatnim okresie — od połowy roku 1950 — sytuacja w krytyce poprawiła się znacznie, kadry krytyczne powiększyły się o grupę krytyków młodego pokolenia. Spełniane są w większości zadania sprawozdawcze wobec bieżącej twórczości. Pojawily się prace informacyjne o literaturze radzieckiej, prace historyczno-literackie, przybliżające najcenniejsze tradycje narodowej literatury oraz nieliczne jeszcze — prace teoretyczne i metodologiczne. Krytyka otrząsnęła się z obciążenia formalistycznych norm i kryterium oceny stał się realizm socjalistyczny. Obecne poważne niedomaganie krytyki polega na niepełnym rozumieniu jego zasad, na uroszczonej ich stosowaniu. Obecny etap nie jest już walką o zwycięstwo zasad realizmu socjalistycznego w krytyce, lecz dążeniem do ich dojrzałego, doskonałego stosowania.

Analizę aktualnych zagadnień krytyki rozwinął — po części w sensie polemicznym — referat M. Kierczyńskiej. Stał się on punktem

dialektycznym rozwoju i wzajemnej współzależności — jest zdaniem piszącego tylko po części słuszny. Niewątpliwie zarzut ten uchwylił błąd scholastycznego stosowania norm naszej estetyki: krytykowania pisarza za to, że czegoś w utworze nie zmieścił. Ale ważne uściślenie tego zarzutu wprowadziła Kierczyńska: to czego w książce nie ma, wpływa również na to, jakie jest

problemowych, wątpliść dyskusji i polemik. Zanikły niemal zupełnie pewne formy krytyczne, brak felietonów, essayów, notatek krytycznych. Jest dość sumienna sprawozdawczość recenzencka — w czym w stosunku do ubiegłych lat nastąpiła wyraźna poprawa — ale nie ma życia literackiego, które przecież inspirować może tylko ambicja, stawiająca sobie wielkie cele krytyki.

„Dlaczego tak się stało? Uwagi poczynione na ten temat w referatach i dyskusji dość wyczerpująco i wnikliwie ujęły przyczyny tych niedostatków.

Po pierwsze krytycy posiadają zbyt ogólnikową, czerpaną przeważnie ze źródeł prasowych wiedzę o współczesności. Obraz nowego człowieka, konflikty, atmosferę życia zakładów pracy odzwierają sobie na podstawie wiadomości z drugiej i trzeciej ręki, a nie z bezpośredniej obserwacji i doświadczeń. Utrudnia to nie tylko sprawiedliwą, nieschematyczną ocenę książek o współczesności, sprowadza także do minimum możliwość twórczej inspiracji pisarzy, przeciwstawianą ich błądowi własnych sugestii, konkretnych obrazów i rozwiązań. Pisarze słusznie zrymają się, gdy krytyk pisze: „ten a ten obraz, konflikt, rozwiązanie są złe, fałszywe” i nie potrafi bliżej powiedzieć, jaki powinien być obraz, jak ustawić konflikt, jakie dać rozwiązanie. Chodzi o to, aby krytyk nie zatrzymał się w połowie drogi, aby błądowi pisarza umiał przeciwstawić konkretną propozycję własną.

Od dawna uświadomiona konieczność żywej łączności krytyka z życiem, z tzw. „terenem” nie wywołała sprzeciwu na Plenum. Dyskusja słusznie natomiast określiła rozległość i charakter tych kontaktów. Odrzucono błędną koncepcję zrównania „terenowych” obowiązków krytyka i pisarza. Postulowano

to, co w książce jest. Jeżeli pisarz w obrazie wybrał „o oocnka” rzeczywistości, nie uwzględnił momentu tak uiań typowego, że jego brak zniekształca ów obraz — wtedy krytyk ma prawo i obowiązek brak ten wytknąć. Z tą zasadniczą poprawką zarzut „wszystkoizmu” pod adresem „nienasyconej” krytyki jest słuszny.

Drugi zasadniczy problem estetyczny, niestety nierozwinięty w dyskusji, dotyczy łanego optymizmu w literaturze. Uprószone rozumienie tego postulat do doprowadzania do fałszywej cukierkowości, do pośpiesznego wieńczenia wszystkich trudności naszego rozwoju szczęśliwym końcem. Pokazując w jednym wypadkach proces zakończony sukcesem, los rozwiązania pomyślnie — czy nie należy w innych poprzestać na samej perspektywie niezawodnego zwycięstwa?

Jedną z zasadniczych przyczyn obecnych trudności pisarskich i teoretycznych jest ciągle jeszcze zbyt słaba znajomość literatury radzieckiej, która podobne problemy rozwiązywała już w praktyce znakomitych pisarzy pierwszej i drugiej pięciolatki, oraz zbyt powolne i wąskie przenoszenie teoretycznych rozstrzygnięć z zakresu estetyki.

Obok kluczowych zagadnień estetycznych, stanowiących podstawę ocen i postulatów, przedyskutowane zostały warsztatowe braki praktyki krytycznej.

Na obecnym etapie walki o udoskonalenie osiągnięć nowej literatury na krytykę spada obowiązek szczególnie wnikliwego badania artystycznej konkretyzacji powziętego przez pisarza tematu. Krytyka, czujna na ogół i dojrzała, gdy chodzi o polityczną ocenę utworu, jest w zupełności niemal bezradna, gdy trzeba udokumentować ideowe wnioski formalną analizą dzieła. W najlepszym wypadku potrafi wykręć w formie artystycznej obciążenia pochodzące od schyłkowych poetek burżuazyjnych. Wyjaśnienie, na czym polega artystyczna nieudolność utworu nowatorskiego — spotyka się rzadko, pokazania na czym polega jego artystyczna doskonałość — nie spotyka się w recenzjach wcale. Braki te szczególnie dotkliwe są w recenzjach z tomów poetyckich, które wymagają starannej i szczegółowego badania słownictwa, obrazowania, wersyfikacji.

Stawiając sprawę udoskonalenia umiejętności badań formy artystycznej na pierwszym planie, trzeba stwierdzić, że dojrzałość ideowa i czujność polityczna nie obejmują bynajmniej wszystkich krytyków. W niektórych recenzjach, przy dość szczegółowych analizach artystycznych, uderza zupełny brak zainteresowania krytyka dla politycznej wymowy utworu, dla jego miejsca we współczesności. Rzecz jasna, że analizy artystyczne dokonywane są nie z pozycji ideowych realizmu socjalistycznego, ale z pozycji „dobrego smaku”, „pięknej sztuki pisania” etc., co może czasem prowadzić do słusznych uwag szczegółowych, częściej — do przemycania norm jakiejś estetyki burżuazyjnej.

Krytykę ostatnich dwóch lat cechuje także skostniałość gatunkowa, ograniczenie publikacji krytycznych do wypowiedzi typu recenzyjnego, brak artykułów uogólniających i

problemowych, wątpliść dyskusji i polemik. Zanikły niemal zupełnie pewne formy krytyczne, brak felietonów, essayów, notatek krytycznych. Jest dość sumienna sprawozdawczość recenzencka — w czym w stosunku do ubiegłych lat nastąpiła wyraźna poprawa — ale nie ma życia literackiego, które przecież inspirować może tylko ambicja, stawiająca sobie wielkie cele krytyki.

„Dlaczego tak się stało? Uwagi poczynione na ten temat w referatach i dyskusji dość wyczerpująco i wnikliwie ujęły przyczyny tych niedostatków.

Po pierwsze krytycy posiadają zbyt ogólnikową, czerpaną przeważnie ze źródeł prasowych wiedzę o współczesności. Obraz nowego człowieka, konflikty, atmosferę życia zakładów pracy odzwierają sobie na podstawie wiadomości z drugiej i trzeciej ręki, a nie z bezpośredniej obserwacji i doświadczeń. Utrudnia to nie tylko sprawiedliwą, nieschematyczną ocenę książek o współczesności, sprowadza także do minimum możliwość twórczej inspiracji pisarzy, przeciwstawianą ich błądowi własnych sugestii, konkretnych obrazów i rozwiązań. Pisarze słusznie zrymają się, gdy krytyk pisze: „ten a ten obraz, konflikt, rozwiązanie są złe, fałszywe” i nie potrafi bliżej powiedzieć, jaki powinien być obraz, jak ustawić konflikt, jakie dać rozwiązanie. Chodzi o to, aby krytyk nie zatrzymał się w połowie drogi, aby błądowi pisarza umiał przeciwstawić konkretną propozycję własną.

Od dawna uświadomiona konieczność żywej łączności krytyka z życiem, z tzw. „terenem” nie wywołała sprzeciwu na Plenum. Dyskusja słusznie natomiast określiła rozległość i charakter tych kontaktów. Odrzucono błędną koncepcję zrównania „terenowych” obowiązków krytyka i pisarza. Postulowano

to, co w książce jest. Jeżeli pisarz w obrazie wybrał „o oocnka” rzeczywistości, nie uwzględnił momentu tak uiań typowego, że jego brak zniekształca ów obraz — wtedy krytyk ma prawo i obowiązek brak ten wytknąć. Z tą zasadniczą poprawką zarzut „wszystkoizmu” pod adresem „nienasyconej” krytyki jest słuszny.

Drugi zasadniczy problem estetyczny, niestety nierozwinięty w dyskusji, dotyczy łanego optymizmu w literaturze. Uprószone rozumienie tego postulat do doprowadzania do fałszywej cukierkowości, do pośpiesznego wieńczenia wszystkich trudności naszego rozwoju szczęśliwym końcem. Pokazując w jednym wypadkach proces zakończony sukcesem, los rozwiązania pomyślnie — czy nie należy w innych poprzestać na samej perspektywie niezawodnego zwycięstwa?

Jedną z zasadniczych przyczyn obecnych trudności pisarskich i teoretycznych jest ciągle jeszcze zbyt słaba znajomość literatury radzieckiej, która podobne problemy rozwiązywała już w praktyce znakomitych pisarzy pierwszej i drugiej pięciolatki, oraz zbyt powolne i wąskie przenoszenie teoretycznych rozstrzygnięć z zakresu estetyki.

Obok kluczowych zagadnień estetycznych, stanowiących podstawę ocen i postulatów, przedyskutowane zostały warsztatowe braki praktyki krytycznej.

Na obecnym etapie walki o udoskonalenie osiągnięć nowej literatury na krytykę spada obowiązek szczególnie wnikliwego badania artystycznej konkretyzacji powziętego przez pisarza tematu. Krytyka, czujna na ogół i dojrzała, gdy chodzi o polityczną ocenę utworu, jest w zupełności niemal bezradna, gdy trzeba udokumentować ideowe wnioski formalną analizą dzieła. W najlepszym wypadku potrafi wykręć w formie artystycznej obciążenia pochodzące od schyłkowych poetek burżuazyjnych. Wyjaśnienie, na czym polega artystyczna nieudolność utworu nowatorskiego — spotyka się rzadko, pokazania na czym polega jego artystyczna doskonałość — nie spotyka się w recenzjach wcale. Braki te szczególnie dotkliwe są w recenzjach z tomów poetyckich, które wymagają starannej i szczegółowego badania słownictwa, obrazowania, wersyfikacji.

Stawiając sprawę udoskonalenia umiejętności badań formy artystycznej na pierwszym planie, trzeba stwierdzić, że dojrzałość ideowa i czujność polityczna nie obejmują bynajmniej wszystkich krytyków. W niektórych recenzjach, przy dość szczegółowych analizach artystycznych, uderza zupełny brak zainteresowania krytyka dla politycznej wymowy utworu, dla jego miejsca we współczesności. Rzecz jasna, że analizy artystyczne dokonywane są nie z pozycji ideowych realizmu socjalistycznego, ale z pozycji „dobrego smaku”, „pięknej sztuki pisania” etc., co może czasem prowadzić do słusznych uwag szczegółowych, częściej — do przemycania norm jakiejś estetyki burżuazyjnej.

Krytykę ostatnich dwóch lat cechuje także skostniałość gatunkowa, ograniczenie publikacji krytycznych do wypowiedzi typu recenzyjnego, brak artykułów uogólniających i

problemowych, wątpliść dyskusji i polemik. Zanikły niemal zupełnie pewne formy krytyczne, brak felietonów, essayów, notatek krytycznych. Jest dość sumienna sprawozdawczość recenzencka — w czym w stosunku do ubiegłych lat nastąpiła wyraźna poprawa — ale nie ma życia literackiego, które przecież inspirować może tylko ambicja, stawiająca sobie wielkie cele krytyki.



Rys. Anna Rembacz Henryk Markiewicz



Rys. Anna Rembacz Adam Ważyk



Rys. Anna Rembacz Ryszard Matuszewski



Rys. Anna Rembacz Jan Kott



Rys. Anna Rembacz Ludwik Flaśzka

(Dokończenie na str. 11)

WOJCIECH BYLINA

A JEDNAK BOHATERSKI...

W numerach 45, 46 i 47 emigracyjnej paryskiej „Kultury” pan generał dr Felician Sławoj - Składkowski, ostatni premier sanacyjny, ogłosił pamiętniki z czasów swojego premierowania. Tytuł wybrał sobie skromny: „Opowiadanie administracyjne, czyli pamiętnik niebohaterki”. Redakcja „Kultury” wydrukiowała to dzieło pod ogólnym tytułem rubryki — „Najnowsza historia Polski”. (Nie wiemy, jako żywo, czy dowodzi to braku czy nadmiaru poczucia humoru; raczej chyba braku.)

Nieładnie, aczkolwiek łatwo, jest wysłuchać czytać ołomności Toteż nieładnie — aczkolwiek łatwo — jest pisać, że pan generał dr Felician Sławoj-Składkowski, ostatni premier sanacyjny, był znanym i uroczym od dawna balwanem. Przecież to znana powszechnie w Polsce prawda przypiętował on już swoimi słynnymi „Strzępami meldunków”, w której to książce — wbrew własnemu zamiarom — pokazał nam Pilsudskiego w postaci scydafona trzymającego całe najbliższe otoczenie „za mordę”, pomatającego jak psem nawet jak wiernym sługą, jakim był mu sam pan generał, obojętnego na losy Polski, zaślepionego przez żądzą władzy, nieubłagane wroga polskiego ludu pracującego, meza o patrznościowego burżuazji polskiej (której niesławny koniec zdolał zresztą tylko odwrócić, ale nie potrafił mu zapobiec).

Toteż nie po to piszemy te słowa, aby wysłuchać autora „Pamiętnika niebohaterki”. Ale jeśli balwan był premierem, jeśli jego premierowanie tak się skończyło, a nie inaczej, i jeśli balwan zamiast prosić boga, aby świat o nim zapomniał, pisze i drukuje wspomnienia o swoim balwanstwie — to już trudno, czemuż się zwolnieni od obowiązku nieznaczenia się nad kalekami. Jako satysfakcję dajemy panu generałowi doktorowi F. Sławoj-Składkowskiemu tytuł niniejszego artykułu, bo bez obłudy uważamy, że wyjście z tym pamiętnikiem na światło dzienne w roku 1951, to akt nie pozbawiony odwagi.

Swoją pamiętnik zaczyna pan generał od westchnienia. „Pojawiają się coraz to nowe Pamiętniki... Autorzy ich różną przeto z motu... że przecież wszystko, co oni robili, było mądre, dobre... Ach, jakże chciałbym umieć pisać takie pamiętniki! Ale cóż, człowiek jestem prosty i za nie mi nie wychodzi... Umielem, niestety, tylko pisać tak, jak było! Blada to nie bohaterka i nie „na miarę meza stanu”... Ale czym: chata bogata.”

Wobec czego, nie siląc się na miarę meza stanu, pan generał powiada, że pragnie jedynie „w ogólnych zarysach podać wytyczne postępowania mego jako szefa rządu w latach 1936—1939”. Dla nas to wystarczy w zupełności. Posłuchajmy tedy, bo warto, czym bogata pana sławojowa chata...

W połowie maja 1936 roku pan generał czuł się nieszczerze — osłabienie serca, o czym myśmy wtedy nie wiedzieli. Był tak dalece osłabiony, że — jak pisze — w pierwszą rocznicę śmierci Pilsudskiego nie mógł o własnych siłach „dowieść taczki ziemi” na Sowiańc. Pomimo tego osłabienia musiał pracować z dwójką — Smigły-Rydz, „ukochany uczeń” i „następca” Pilsudskiego, nawet nie pofatygował się osobiecznie na Sowinie w rocznicę, polecając panu generałowi, aby go tam „reprezentował”; resztę „reprezentacji” zwał na spędzonych do grobu Pilsudskiego Strzelców i urzędników państwowych. Podobnie zresztą postąpił prezydent Mościcki, zdając się na ministra Kwiatkowskiego. Jakoś tam z tymi taczkami „pomogli koleczy-legioniści” i 13 maja rano pan generał był już w Warszawie. Ledwo wrócił — telefon: zameldować się u Smigłego-Rydz. Rozmowa krótka, tak zwana „żołnierska”.

„...bez żadnych wstępów oświadczył mi, że premier Kościłkowski podał się do dymisji i że pan prezydent Rzplitej, w porozumieniu z generałem (Smigły) był jeszcze generałem broni — W.B.) postanowił powierzyć mi uformowanie rządu. Dodał z uśmiechem, że kosztowało go „nieco” trudu przekonać Pana Prezydenta o celowości powołania mnie na prezesa rady ministrów...”

Po chwili okazało się z rozmową, że „Pan Prezydent uzgodnił z generałem Smigłym szereg kandydatów ministerialnych, tak, że nieobsadzone zostały jedynie teki ministra spraw wewnętrznych i ministra pracy i opieki społecznej”.

Nie dowiemy się chyba nigdy szczegółów rozmowy na Zamku, ale musiało to być słuchawisko gołe bogów: jeden mędrzec przekonujący drugiego, że trzeciego należy zrobić premierem. Ale wróćmy do tego ostatniego.

„...mleczalem i mocowałem się z myślami, choć czulem, że słoń samego nawyku posłuszeństwa potraktować powinienem propozycję generała jako rozkaz...”

Toteż „mocowanie się” trwało kilka — może kilkanaście — sekund.

„No, cóż pan na to? — spytał generał z uśmiechem... Rozkaz, panie generale — dziarsko odpowiedziałem...”

Potem pan generał Sławoj-Składkowski zdobył się na akt heroiczny (również po krótkim mocowaniu się i przezwyższeniu oporów ze strony nawykłej do rozkazów natury) Ponieważ z układaniem listy rządu mało miał kłopotu — Smigły i Mościcki wyręczyli go — postanowił sam obsadzić aż 50 proc. wakujących stanowisk ministerialnych, to jest jedno. Zapropował Smigłemu, że oprócz stanowiska premiera obejmie tekę ministra spraw wewnętrznych.

„Da mi to możność bezopornego opowania sprawy bezpieczeństwa w państwie i wywierania stałego wpływu na życie wewnętrzne Polski...”

Nie wiemy, czy w Smigłym zaistniała się na chwilę wątpliwość skądinąd iskra zdrowego rozsądku, czy też może raczej miał już w zanadrzu innego kandydata również na tę tekę, ale skrzywił się niedwuznacznie.

„...musi pan przekonać o tym Pana Prezydenta, gdyż już kandydatura pana na premiera przeszła z trudnościami”.

Jednak, co opinia, to opinia. Jak widzimy — w ocenie walorów umysłowych pana generała wyjątkowo nie było zbyt wielkich różniczek między Zamkiem a narodem.

Nowy premier wyszedł od Rydza, żeby udać się na Zemek. Przedtem wpada do kilku znajomych (ma jeszcze godzinę czasu), bo „trzeba przecież coś wiedzieć o sytuacji ogólnej przed zameldowaniem się na Zamku”. (Przesada, panie generale, na Zamku też o niej nie wiedzieli i jakoś „prezydentowali” już jedenasty rok...)

„Pan prezydent, po zaproponowaniu mi, bez widocznego entuzjazmu (ach, ta szczerześć! — W.B.) utworzenie nowego rządu, omówił ze mną skład gabinetu...”

I dalej, nie mrugnawszy okiem, nie ustosunkowując się ani jednym słowem, czyli — z aprobatą — szczerzy autor powiada:

„Spośród tych nowych ministrów, jako ludzie prezydenta Mościckiego byli przez opinię uważani: Kwiatkowski, Beck, Roman, Poniatowski, Świętosławski, Kaniński. Do ludzi generała Smigłego-Rydz opinia zaliczała: Składkowskiego, Kasznrzyckiego, Grabowskiego i Ulrycha...”

A dalej, żeby jeszcze bardziej podkreślić charakterystyczną cechę pilsudczyzny — klikowość — nowy premier stwierdza:

„Ministrowie mego nowego rządu mieli, każdy, swe owarcie u Pana Prezydenta Rzplitej lub gen. Smigłego i stąd ich zależność ode mnie była bardzo umiarkowana i względna...”

Powiedzmy od razu — w ogóle jej nie było. Poza tym pod ten nowy rząd

„...odkopywały się pewne czynniki legionowe, związane z prasą. Oczywiście, te same czynniki mogą usiłować wywrócić również i mnie, gdy będą za mnie niezadowolone”.

Ponieważ szczerzy i dziarski pan generał woli nie więcej o tych czynnikach nie mówić, przeto wolno o nich każdemu myśleć co mu się pooba. Ja na przykład myślę, że chodzi o jedno z wielu odgałęzień zachodnich wywiadów, działających za pośrednictwem sanacyjnej „dwójki”. Ale jedźmy dalej — Zamek pan premier ma już za sobą (jakoś przebrnął bez rozmów o „sytuacji ogólnej”). Teraz kolej na rozmach wizyty „bardziej lub mniej formalne”. Wszystkie one — według opisu pana generała — idą jak z platka, po prostu nikt nie mówi nowemu premierowi nic interesującego, same banale i ogólniki. I tylko jeden z wizytowanych jest „konkretny” i „realny”:

„Kardynał Kakowski oświadczył radość z powodu objęcia przeze mnie rządu, wyrażając nadzieję na dalsze celowe, planowe i owocne zwalczanie przez mnie komunizmu...”

Uskrzydłony i pokrzepiony na duchu, generał-premier stanął przed sejmem. Jako że był to sejm mianowców sanacyjnych, przeto pan premier ograniczył się do komunikowania p.p. posłom o swoim „wyjściu z patrolu z rozkazu Smigłego”. (Trudno powstrzymać się od nawiacowej uwagi, że poziom rządu został trafnie scharakteryzowany przez tę metaforę, tylko że jak na patrol — trwał on trochę zbyt długo...)

Ze swoim sejmem nie miał dowódcy patrolu zbyt wielkich kłopotów. Jako jedyne przemówienie „opozycyjne” wspomina fakt, że jakiś poseł

„...próbował zażartować, iż nie mam czasu na zagadnienia ogólnop

no-państwowe, gdyż muszę zajmować się śmietnikami i „sławojkami”, co wywołało ogólny śmiech aprobaty dla figlarza. Wstałem z miejsca i zarzycałem...”

Nie będziemy cytowali, co dowódca patrolu zarzycał, wystarczy, że „opozycyjne” przemówienie „zostało złamane”. W ogóle — już to z drobnymi przeszkodami w pracy nasz generał umiał sobie radzić, jak mało kto.

„...powierzylem na stałe załatwianie meich spraw poselskich w Sejmie, Senacie, ministerstwach i terenie rady Peżko z sekretariatu ministerstwa spraw wewnętrznych”.

I spokój z terenem. Spokój z epirami poselskimi. Bądźmy sprawiedliwi — „wyborcy” nie na tym nie traciłi, bo i tak pan generał nie był ich posłem, przecież go nie wybierali. Kto w ich imieniu „piastuje” lub „wykonywa” skredziony mandat poselski — Sławoj czy Peżko — było im obojętne. A głuszy od Sławoja Peżko z pewnością nie mógł być. Wróćmy do uproszczenia pracy.

„Bezpośrednich telefonów z miast w nocy nie przyjmowałem... Parę razy, kolo trzeciej, czwartej nad ranem uprzejmy głos „proponował mi niezwłoczny przyjazd do restauracji, celem... obejrzenia ubikacji, które nie są w porządku... (inni) mówili do słuchawki mniej więcej tak: Sławoj, bodaj ci cholera jasna trzasła z tym twoim byczko jest!”

Wyspany więc i zadowolony, dowódca patrolu zaczynał urzędowanie o ósmej rano (punktualnie), ale bynajmniej nie jako premier, w Prezydium Rady Ministrów, tam bowiem czuł się źle, jako że ministrów — jak to sam podkreślił — podlegał mu „raczej formalnie”. Ukochanym posterunkiem dowódcy patrolu było ministerstwo spraw wewnętrznych.

„Punktualnie o dziewiętej rozpoczął się referat polityczny i bezpieczeństwa. Prowadził go dyrektor departamentu politycznego Zyburski w obecności wice-ministrów, oraz komendanta policji, gen. Zamorskiego”.

To było sedno i kwintesencja pracy pana premiera: konferencje ze specjalistą od nasylanía prowokatorów do ruchu robotniczego oraz przyjaciółem i uczniem Heinricha Himmlera. Mieli o czym mówić, tematów starczyło na codzień.

„Komunistyczna Partia Polski szybko rosła w sile...”

To szczerze wyznanie sanacyjnego premiera, pana generała dra Felician Sławoj-Składkowskiego, jest cenne nawet po tylu latach. Tym bardziej, że nieoceniony dowódca patrolu, który dzisiaj już się nie boi własnych cenzorów, pisze dalej:

„Wpływy komunistyczne nie zabrzędały się jedynie na bezrobotnych. Usiłowali oni osiągnąć również do mas pracujących, zarówno fizycznie, jak umysłowo... (Cóż robić, sęgal, sęgal! — W.B.). Wiara (o zgrozo! — W.B.) do tak ideowej organizacji, jak Związek Nauczycielstwa Polskiego... Aresztowania i rewizje, przenośzane u tych agentów komunistycznych uważane były przez społeczeństwo polskie (orawo, panie generale! — W.B.) jako „stupajkowe” postępowanie żywiołów reakcyjnych (cóż robić, panie generale, tak to już społeczeństwo, że nazywa rzeczy po imieniu, ale szczerze ranu się chwali! — W.B.)... Urzędni państwowi i administracja samorządowa byli również pod destrukcyjnym wpływem ciąpych obławów nie-adowo-entia, niepokojów i strajków (a mówił pan zawsze, że „elementy” nie mają dostępu do aparatu państwowego! — W.B.). Wójtowie i salty po wsiach zrzekali się swych godności pod wpływem presji meralnej elementów radykalnych... Niżsi urzędnicy państwowi i samorządowi twierdzili po ciehu, iż przewrót bolszewicki, gdyby nawet nastąpił, to nie pozbawił przecież ich chleba, bo oni są mali i nikogo nie gnębią (czy nie mieli racji, panie generale? — W.B.). Policja była zdezorientowana i ponizana ciągłymi groźbami bezrobotnych i demontujących w ośrodkach miejskich. W Zagłębiu węglowym, szczególnie w okolicach Chrzanowa, policja była gromadnie obrzuca kamieniami przez całą ludność (święta prawda! — W.B.), gdy usiłowała odgnać bezrobotnych, kopających węgiel na t. zw. będaszybach... Wszystkie miasta były świadkami czestych, niespodziewanie organizowanych demonstracji ludności, żądających pracy i chleba (to dopiero zuchwałstwo! żądać pracy i chleba! — W.B.). Administracja i policja były w tych wypadkach bezsilne. Strzały policji dawały rany i zabijaly, po czym szły uroczyste, będące nowymi demonstracjami pogrzeby, i tak bez końca (okazuje się, o dziwo, że kulie policyjne jeszcze nikomu

nie zastąpiły pracy ani chleba — W.B.)”.

Pan generał podaje ten krótkutki opis sytuacji wewnętrznej Polski po to, aby móc wykazać dalej, że „zabawił” Polskę od groźby rewolucji socjalistycznej. Na razie jednak przystępuje do czynności nad wyraz trudnej dla dowódcy patrolu, nawet gdy nie jest on w zwykłym stopniu plutonowego, lecz generała — do analizy przyczyn. Myślicie może, o naiwni, że docho- dzi do jakichś wniosków dotyczących ustroju Rzeczypospolitej lub sanacyjnego reżimu? Bzdura! Sprawa jest dla pana generała znacznie prostsza.

„Po prostu, Polska po śmierci Komendanta szukała swych dróg i form swego istnienia”.

I wszystko. A jak było za życia „komendanta”? Czy Polska nie szukała wtedy nowych dróg i form? Czy policja nie strzelała wtedy do tych szukających? Czy nie było bezrobotnych? Czy nie było głodnych? Czy nie „prosperowały” bieda-spyby? Czy Komunistyczna Partia Polski nie była również wtedy magneseem przyciągającym tych wszystkich, którzy szukali rozwiązania najistotniejszych problemów, warunkujących niepodległość kraju i pracę oraz dobrobyt dla jego obywateli?

O tym autor milczy. Nie wymagajmy zresztą zbyt wiele od dowódcy patrolu. Przecież sam wyznał, że nie orientował się „w sprawach ogólnych”. Za to teraz postanowił to odrobić.

„Po południu... korzystając z pięknej pogody, postanowiłem wyjechać w teren, aby zetknąć się z życiem ludności, z którym straciłem kontakt przez całe pięć lat...”

Dojechał do Łowicza, spędził godzinę w starostwie powiatowym i „zetknięty” już z życiem ludności powrócił do stolicy. W wyniku tego „zetknięcia” mamy szereg cennych uwag premiera — dowódcy patrolu o konieczności dyscypliny urzędniczej, o polowaniach i nocowaniach po dworach podczas podróży służbowych itd., itp. Po czym — natura znów ciągnie wilka do lasu:

„Największe trudności miałem w początkach mojej urzędowania z pracą poljei; przede wszystkim było jej zbyt mało (myślę tego jakoś nie zauważyli, raczej przeciwnie — W.B.). Polska nie miała zupełnie zwartych, lotnych, łatwo dyspozycyjnych oddziałów policji (straszny obraz: bez zwartych, lotnych itd. — W.B.) do użycia ich na wzór Gwardii Narodowej we Francji...”

Zacofanie Polski w stosunku do Francji było bolesne dla naszej dumy narodowej, toteż dziarski premier założył w Goledźnowie szkołę policjantów. Trudno doprawdy oderwać się od pięknych wspomnień pana generała o „chłopcach z Goledźnowa”. Jak to on ich doberał, jak szkolił, ile włożył w to serca i patosu! „Zwarte, dobrze wyćwiczone we władaniu karabinem... Wydałem wytyczne działania na wypadek ruchów... Uderzenie na białą broń... Ten język premiera... Ten styl dowódcy patrolu... Ta fachowość... Ech, co tu gadać — aż się kręci...”

Pan generał ma już swoją gwardię. Teraz tylko jej użyć, bo to, jak wiemy, miecz, którym się nie wojuje — rdzewieje. Okazja nadarzyła się wnet. Człowiek zawsze pamięta najpiękniejsze chwile ze swojego życia, toteż pan Składkowski recytuje z pamięci, jak to było onego pięknego dnia we Włocławku.

„Od jedenastu dni bezrobotni strajkowali przy robotach kanałizacyjnych w tym mieście, żądając podwyżki płacy i spędzając dnie i noce w rowach kopanych na rury kanalizacyjne, aby nie dopuścić do pracy innych bezrobotnych...”

Pan premier posłał tam swoich goledźnowskich ulubieńców. Opisuje to z drabiazgową dokładnością, czemu nie trzeba się dziwić, bo to przecież charakterystyczny epizod dla „Najnowszej Historii Polski”, robionej przez nęgo.

„Nastąpiło wezwanie bezrobotnych przez oflcera policji do rozzejścia się, sygnały (nie jeden, lecz liczne sygnały, historyk musi być dokładny! — W.B.) trąbki i kompania policji ruszyła zwartą kolumną z nastawionymi lufami karabinów...”

Prawda, że ich nie miał widziwy, jak ruszają „zwartą kolumną”. Dla pana generała to coś jak gdyby kosynierzy Kościuszki, jazda Kozielskiego, czy podchorążowie Wysokiego. Idą! Doszli! Jezus, Maria, bij, zabij! Zwycięstwo! Gloria!

„...rozproszeni bezrobotni opuścili miejsce robót i nagłnego dnia inni bezrobotni, bardziej zgodliwi, zajęli ich miejsca przy pracy...”

A on, skromny dowódca patrolu, osadził przy pracy po „zwyctwie” swoich lamistraków, odsapnął i z dumą stwierdził:

„Tak osłagnięty został sposób rozpraszania tłumów na wzór francuski...”

Polska pod panem Składkowskim dopędziła wreszcie jeden z czołowych krajów zachodnio - europejskich. Wprawdzie nie w przemyśle i nie w oświacie, ale — czym chata bogata...

Naturalnie, przez zakończenie szkoły policyjnej w Goledźnowie związane zostały dla p. Składkowskiego wszystkie problemy i dylematy kraju „Spokój i pewność jutra zapanowały w Kraju”, pisze dowódca patrolu natychmiast po opisie włocławskiej potrzeby. Nie dowiemy się już wprawdzie nigdy, skąd się wziął, ani na czym polegał ów „spokój i pewność jutra”, natomiast ze zdziwieniem stwierdzimy, że o niewiele stron dalej pan generał nagle dorosi nam o „wielkim strajku chłopskim. Pomimo „spokoju i pewności jutra”, Polskę ogarnęła wielka fala pamiętnego strajku.

„...strajkujący chłopci napadali na drogiach na rolników wiozących produkty do miasta (znów pan generał wspomina tak bliskich jego sercu lamistraków — W.B.). Powstało zamieszanie wśród oglądanych miast, walki z policją, w rezultacie których było zabicie 42 „powstańców” przez strzały atakowanej policji”.

Pomijamy sprawę „atakowanej” policji, pomijamy ogromnie pomniejszoną liczbę zabitych (która szła w setki), pomijamy nawet sprawę samej przyczyny wielkiego, rewolucyjnego strajku chłopskiego; przecież nie dyskutujemy z dowódcą patrolu. Ale pozostaje nawet w jego ujęciu fakt niezbity — w kraju opianowanym przez „spokój i pewność jutra”, w kraju, który dzięki panu Składkowskiemu dopędził Francję w dziedzinie „rozpraszania tłumów”, dochozi do walk między chłopami a policją. O rozmiarach tych walk najlepiej może mówić użycie przez Składkowskiego słowa „powstańcy”, którego brzmienia nie łagodzi nawet szczydry cudzysłów. O ofiarach powiada dowódca patrolu ze zwykłą niefrasobliwością:

„...wzięłem na swoją odpowiedzialność strzelanie policji i jej fatalne następstwa...”

I znów o dwa wiersze dalej, jak na zamówienie: „W Polsce zapanował spokój i bezpieczeństwo...”

Sławoj przemilcza skromnie, że tam gdzie był „spokój”, był to spokój cmentarza; tam gdzie było „bezpieczeństwo”, było ono — bezpieczeństwo obozu rządzącego — utrzymywane za pomocą więzień i Berezę Kartuskiej...

Stop, stop, zagalopowałem się! Berezę Kartuską pan premier nie przemilcza, musi się nią pochwalić i musi ją „uzasadnić”. Przecież tak jak Goledźnowo to jego ryccystwo, Berezę to jego Panteon chwalił. Przecież nie było rzeczą przy- padkową, że do każdego — bez wyjątku każdego! — policjanta w Berezę Kartuską, nawet do tego, który strzegł obozowego wychodka, więźniowie musieli zwracać się tak samo jak legioniści do Pilsudskiego — „komendancie!...” Toteż na temat Berezę dowódca patrolu nawet dzisiaj nie ma żadnych wątpliwości.

„Komuniści polscy... których trudno było znaną na geracym uczynko, byli głównymi więźniami Berezę... Decyzja wysyłania do obozu odosobnienia w Berezę popierana była osobicie przez ministra spraw wewnętrznych (nareście ustalona na piśmie odpowiedzialność — W.B.). Na ogół biorąc, w wyjątkowej, półwojennej sytuacji Polski Berezę była niepopularnym i przykrym, lecz pozytywnym narzędziem ochrony całości i spójności Państwa w wypadkach, gdy władze sadowe nie mogły wracać, dla braku możności ujawnienia dowodów winy...”

Dowódca patrolu zdaje się rzeczywistnie nie rozumieć, że tymi słowami czarno na białym potwierdził wszystkie oskarżenia pod adresem systemu, który w trybie samowoli administracyjnej posyłał kogoś do koncentraku. Były premier rządu sanacyjnego zdaje się doprawdy nie rozumieć, że tych parę zdań oznacza równocześnie nie mniej, ni więcej, tylko usprawiedliwienie hitlerowców z wszystkich ich obozami, do Oświęcimia włącznie. Bo przecież oni „rozumowali” analogicznie — skoro nie było dowodów, administracja hitlerowska posyłała kogoś do obozu.

Bez wątpienia najcenniejsze są w pamiętnikach Sławoja epizody. Te, których humor jest przez autora absolutnie niezamierzony, gdyż opowiada je z niekłamana powagą i namaszczeniem.

Mamy — na szczęście za granicą — wielu awanturników piszących po polsku, wielu faszyzów, biaznow i idiotów. Ale Szwęjk, czysty, prawdziwy Szwęjk z mimowolnym humorem w najpoważniejszych sprawach państwowych, jest tylko jeden — był premier, generał dr Felician Sławoj-Składkowski.

Symbolem jego rządów, poza Goledźnowem i Berezę, były jak wiadomo tzw. „sławojki” (też swego rodzaju „posag trawiszoy od spier...”). Dowódca patrolu bynajmniej

nie unika tego tematu, ani tematów podobnych. Powiada nawet sam:

„Przykładów mieszania polityki z higieną mógłbym przytoczyć setki. (Naturalnie — z własnej działalności — W.B.). Burmistrz miasta Radzimina np. prosił o pomoc w budowie kąpieliska miejskiego. Pomogłem i stanęło kilka wanien i kilkanaście natrysków... Cóż, kiedy w kasie stwierdzilem wydawanie do kąpiel jedynie szkolnych biletów ulgowych; bilety normalne dla dorosłych zupełnie nie szły. Burmistrz stwierdził, iż dorosli krepną się kapać. Poleciłem mu żądać od radnych miejskich biletów z kąpiel, przy wejściu na salę obrad. Brudasy nie będą wypuszczeni na posiedzenie Rady Miejskiej (głęboko mądry ten system ma jedną wadę: przecież nie wszyscy dorosli są członkami rady miejskiej, co więc począć z pozostałymi? — W.B.). W parę miesięcy później z satysfakcją stwierdziłem sprzedaż w kasie biletów również dla dorosłych. Burmistrz, nie dzieląc mej radości, pokwiał głową, mówiąc: radni przed każdym posiedzeniem placą podwójnie za bilet, byle się tylko nie kapać i otrzymać bilet do okazania przy wejściu na salę obrad!” (Nawet radni „kiewęli” premiera, rozpacz — W.B.).

Widzimy nie tylko przykład „mieszania polityki z higieną”, ale fatalne skutki zastępowania polityki przez higienę. Gdyby przynajmniej, zazdroszcząc laurów niektórym wslawionym przez poczynania higieniczne cesarzom, pan premier ograniczył się do samej tylko działalności higienicznej, może wspominałby go dzisiaj Radzimin (jak Rzym — Caracale) i liczni użytkownicy sławojek. Niestety, błądem byłoby sądzić, że pan premier-dowódca patrolu wcale nie widział poważnych zagadnień, trapiących Polskę. A jakże, widział, i niestety — zatłwiał.

A więc sprawa bezrobotnych. Sam pan premier stwierdza ze smutkiem, że okrzyczony Centralny Okręg Przemysłowy „nie zdolał z trudni bezrobotnych wiejskich z większych obszarów Polski”. Należało „coś zrobić” poza metodami goledźnowskimi.

„Dla bezrobotnych, zatrudnionych przy budowie schronu w ministerstwie spraw wewnętrznych wydałem po ukończeniu roboty obiad... Była popłana zupa pomidorowa z ryżem, kiełbasa na gorąco z kapuszą i ziemniakami, deser, piwo i woda sodowa...”

Pan premier wprawdzie nie przekazał potężności, co było na deser i ile wypito piwa, ale z ogromnego ustępu, poświęconego temu obiadowi, dowiadujemy się, że „i minister, i bezrobotni wypowiedzieli przedmówienia polityczne”. Przemówienie gospodarza było jak zwykle — „krótkie, żołnierskie”, po prostu życzli, aby bezrobotnie się skończyło. Za to jeden z gości powiedział mi śmiało w oczy, że trzeba jak najszybciej skończyć z nieszczęśliwym bezrobocia, bo „dawnie oszczędności, zapasy ubrań bezrobotnych, wreszcie zdrowie i cierpliwość (podkreślenie moje — W.B.) ich rozdział są już na ukończeniu”. Sławoj nie przejął się tym zbytnio, bo po tym obiedzie zagadnienie głodowania bezrobotnych było już dla niego naturalnie zlikwidowane.

Pod Jabłonną, „dowiedziawszy się z rozmów z bezrobotnymi, iż wielu z nich mieszka o kilka kilometrów od miejsca pracy i muszą robić kilkanaście kilometrów dziennie, kazałem zakupić z funduszu dyspozycyjnego trzy rowery i rozlosować je wśród pracujących bezrobotnych...”

Zagadnienia komunikacyjne bezrobotnych zostały więc również szczęśliwie zlikwidowane. Jeśli po tym wszystkim pozostali jeszcze w Polsce malkontenci wśród bezrobotnych (rekrutujący się przeważnie spośród tych, którzy nie byli na historycznym obiedzie, ani nie wycisowali roweru), to już ich własna wina i dowód nastrojów antypaństwowych (Goledźnowo, „uderzenie na białą broń”, Berezę).

Toteż pan premier jest z siebie zupełnie zadowolony. Co więcej — zapewnia nas, że i Polska była zupełnie zadowolona. I tylko ukradkiem, mimochodem, wymyka mu się takie oto wymowne wyznanie na temat miłości rodaków:

„Staralem się uskutecznić ten krótki przejazd (do Prezydium Rady Ministrów) możliwie w różnych porach między 11-tą a 12-tą, gdyż uważałem, że niepunktualne zjawienie się na ulicy jest najlepszą, a może jedy- ną ochroną ministra spraw wewnętrznych...”

Co jeszcze pozostało ze spraw wewnętrznych? Aha, zblizenie z ludnością, nieodprowadzone do końca przez jeden wyjazd do Łowicza na początku urzędowania. Ale to najprostszą sprawą. Właśnie odbywa się jakaś uroczystość, na której dekorowano chorąki, za zasługi w stosunku do legionistów. „uczałowam ręce zasłużonych chłopów, a za moim przykładem poszli i moi podwładni. Wywo-

(Dokończenie na str. 11-ey)

JERZY PUTRAMENT

JULIAN TUWIM

PARĘ WSPOMNIENI

DO JERZEGO BOREJSZY

Znałem ludzi, którzy uwielbiali Jerzego Borejsz. Znałem ludzi, którzy go nienawidzili. Takich, którzy go podziwiali. Czuli doń wdzięczność. Opowiadali o nim anegdoty. Nie potrafili — mówiąc — nie mówić o Borejszy. Przejmowali się jego stanem zdrowia. Zazdrościli mu. Usiłowali go naśladować. Dopytywali się o niego zawsze, gdy rozmowa zahaczała o Warszawę.

Nie znałem tylko takich, którzy byli dlań obojętni.

Pewnie ta różnorodność postaw uczuciowych, którą wzbudzał, wpływała z wielostronnością jego charakteru. Nie znam bowiem człowieka, którego osobowość składała się z tylu cech różnych i sprzecznych. Genialne koncepcje — i słabostki, czasem urocze, czasem irytujące. Bezblędne rozgrzywanie spraw ważnych — i potykanie się na codziennych drobiazgach. Nieporównany upór w realizacji jakiegokolwiek swego zamierzenia — i zniechęcenie przy innym. Wielkoduszność — i małostkowość.

Ale dwie cechy jego charakteru dominowały w nim zawsze: nieprawdopodobna zdolność pracy i niezachwiany zapal rewolucyjny, oddanie sprawie rewolucji polskiej, wierność ideom marksizmu — leninizmu.

Borejszę poznałem we Lwowie, w zimie 1939—40 roku. Słyszałem o nim i przedtem, czytywałem artykuły jego w „Czarno na białym” i w „Sygnałach”. Nie orientowałem się wtedy, w jakiej mierze czytelność, ciekawość tego pierwszego pisma zależała od Borejszy.

W listopadzie 1940 roku uroczście obchodzone we Lwowie najmniej zaokrągloną rocznicę, o której słyszałem: 85-lecie śmierci Mickiewicza. Był to pomysł Borejszy i on to dołożył starań, by uroczystość wypadła możliwie okazale. Czyż trzeba rozpisywać się nad esensem politycznym tego obchodu? Była to pierwsza publiczna demonstracja przyjaźni między Związkiem Radzieckim a postępowymi i rewolucyjnymi kołami polskimi. Powstałe później „Nowe Widnokręgi” kontynuowały tę drogę, która poprzez Polską Partię Robotniczą, Związek Patriotów Polskich i armię polską w ZSRR doprowadziły nas do Polski Ludowej.

Narad hitlerowców na ZSRR zastał Borejsz w Kijowie, gdzie omawiał druk polskich podręczników szkolnych. Spotkałem go zaraz następnego dnia po dostaniu się do Kijowa w tamtejszym Związku Literatów. Właśnie zebrało się nas kilku ze Lwowa, z Wandą Wasilewską na czele, gdy przyszła urzędniczka Związku oświadczając, że za parę godzin ma odejść pociąg ewakuacyjny literatów i że wszyscy uchodźcy ze Lwowa mają nim odjechać. — Za nic w świecie! — oświadczył Borejsza. — Zostaję w Kijowie!

Został! po jakimś czasie przy pomocy Wasilewskiej dostał się do armii radzieckiej, przez blisko dwa lata pracował w sztabie jednej z armii frontu kalinińskiego.

Spotkałem go dopiero w I dywizji. Gdy zaczęła się tworzyć, wezwano go do Moskwy, gdzie objął redakcję organu ZPP „Wolna Polska”. W krótkim czasie udało mu się nadać piśmie żywy charakter, uczynić je pozytywnym organem emigracji polskiej w Związku Radzieckim.

Przyjechał do dywizji i ledwo go poznałem. Schudł bardzo, co mu wyszło na dobre, stracił tę otyłość, która mu we Lwowie przeszkadzała. Ale jeszcze bardziej zmienił się psychicznie.

Znikły w nim zabawne, ale i denerwujące czasem nawyki mówienia o sobie, stał się jakiś surowszy, głębszy, nie zwracający uwagi na zewnętrzne efekty, bardziej przyjacielski. Zdawał sobie sprawę z tych przemian i rozumiał ich przyczynę. Długo opowiadał o środowisku, w którym spędził te blisko dwa lata, o oficerach radzieckich. Notował poszczególne sceny, opisywał postaci. Część tych notatek drukowaliśmy rok przedtem w „Nowych Widnokręgach”. Chciał z tego zrobić książkę i miał nawet tytuł: „Ludzie pierwszego frontu”.

Był znakomitym redaktorem. Przekonałem się o tym w zime tegoż roku. Napisałem cykl wierszy, poświęconych odjazdowi 2 dywizji na front. Przejrzał je, pochwalił, ale jedną z części tego cyklu radził usunąć. Posłuchałem go i nie żałuję. Była dużo słabsza od reszty. Sam bym tego nie zauważył. I później, wielokrotnie rady jego pomagały mi w odrzuceniu słabych elementów z reportaży, nowel, artykułów, które posyłałem do jego pisma.

Pamiętny dzień 1 sierpnia 1944 roku. Wylecieliśmy z Moskwy: redakcja pierwszej gazety w wyzwolonej Polsce. Mielśmy już tytuł: „Rzeczpospolita”. Mielśmy redaktora: Borejsz. Było nas kilku w jego zespole. Nie wiedzieliśmy tyl-

ko, gdzie będziemy tę gazetę robić, na jakim papierze, na jakich maszynach, w jakim mieście.

Wylądowaliśmy na małym lotnisku wojskowym w Chełmie. Jeden za drugim wyją startowały myśliwce radzieckie: front zbliżał się do Wisły, ale był jeszcze niedaleko. Borejsza ruszył do miasta — PKWN przeniósł się już jednak do Lublina.

Drugiego sierpnia byliśmy w Lublinie — czwartego zaś wyszedł pierwszy lubelski numer „Rzeczpospolitej”.

W tym bohaterstwie okresie Borejsza żył jakimś potrojnym i poczwórnym życiem. Redagował gazetę — drobiazg, zważywszy, że w całym zespole znalazł się tylko jeden taki, który miał z wydawaniem gazety kiedyś coś wspólnego. Borejsza pisał artykuły wstępne, przyjmował personel techniczny i redakcyjny, dawał im zadania, kontrolował nasłuch radiowy (innych źródeł wiadomości wówczas przecież nie było!), poprawiał artykuły innych, biegał na dziesiątki konferencji dziesięciu powstających ministerstw, organizował stołówkę redakcyjną, przydzielał pokoje i łóżka współpracownikom redakcji, wykiłcał się o papier, o maszyny, werbował zecerów, snuł fantasmagoryczne plany o jakichś wielkich spółdzielniach wydawni-

czych (pamiętam, że się odnosiłem do tego bardzo sceptycznie: jescześmy tej gazety nie rozkreślił, a ty już...), wysyłał ludzi po odnalezionych tu i ówdzie literatów. W nocy wracał do domu przy Radziwiłłowskiej 9, walił się na łóżko, zaczynał chrapać. Po półgodzinie przyjeżdżał rozklekotany „Willis” z drukarni, przywoził cztery mokrą plachtę kolumn. Budzono Borejsz, ziewał, kaszlał, tarł oczy, zasiadał do kolumn, czytał od wiersza do wiersza, łapał nieskładności polityczne, wynajdywał najdrobniejsze lapsusy zecerские.

Pamiętam Borejsz z tej lubelskiej jesieni i gdy któryś z redaktorów rozkłada ręce — że nie ma rady na błędy korektorskie, że odwieczne prawo historii — nie mam dla niego żadnej ilości. Jest niechlujem, niedołęgą, oferma.

Wylczyłem tuzin ówczesnych zajęć Borejszy. Pisze się to zwyczajnie — organizował, wysyłał... A przecież każde z tych póladań można rozwinąć w wielki artykuł.

Pierwsze pomysły spółdzielni wydawniczej. Gazeta — jedyna! — istotnie kulała. Ludzie nie mieli pojęcia o tej robocie, a baza techniczna była jak najgorsza. Ale Borejsza wpadł właśnie na taki pomysł. Potrafił zapalić innych, z Dembińską na czele. Długo wykiłcano się o nazwę. Jedni propono-

wali ekscentryczną: „Czytaj”, inni bardziej spokojną: „Czytelnik”. Borejsza wyjątkowo był za wersją spokojniejszą. Przykro mi, ale ja byłem za „Czytaniem”. Spółdzielnia powstała, przez okres lubelski zajmowała się organizacyjnymi głupstwami, któż by się mógł spodziewać, że za parę miesięcy skoczy na całą Polskę.

Mówi się: sprowadzał. Któregoś dnia Borejsza był w kolejnym, acz przejściowym, niehumorze. Krzywiąc się powiedział mi: — W tym Lublinie jakoś niewyrażnie. Czegoś tu brakuje. Ba, żebym wiedział czego? Już wiem — Kuryluka.

Pojechałem szukać Kuryluka. W Krasnymstawie samochód się wywrócił, wszyscy poszli do szpitala, z wyjątkiem mnie, szofera i samochodu. Znaleźliśmy Kuryluka, ściągnęli do Lublina, Borejsza miał właśnie konferencję prasową z radzieckimi dziennikarzami. Wyszedł zza biurka, otworzył ramiona: — Kahlcu, musisz zhołbić piśmo litehackie...

Ile się nakręcał Borejsza zbierając tych literatów! Po Przyboścu — do Rzeszowa i po Piętaka — do Wielowoli — wysyłał samochody. Po Parandowskiego zorganizował samolot. Na Radziwiłłowskiej pod numerem 9 (nie chcę mówić, co mi lubliniacy uczynili z tego domu, zamiast go oddać swoim literatom, gnieżdzącym się w zimnej, mokrej, „zabytkowej” piwnicy) każdy przybywający z wyzwolonego skrawka Polski literat czy malarz, czy profesor uniwersytetu — znajdował posiek, łóżko, pracę. I co najważniejsza — natychmiast.

A właściwie co to Borejsz mogło obchodzić? Były przecież w Lublinie odpowiednie resorty, od kultury i sztuki poczynając, na prasie i informacji kończąc. Iluż by na jego miejscu ręce rozłożyło: nie do mnie, do tamtych...

Ale Borejsza miał tę złykę — przejmować się wszystkim, absolutnie wszystkim, co jego zdaniem idzie nie tak jak trzeba, i gdzie jego zdaniem mógłby on sam do pomocy. Czasem nastawienie takie wprowadza pewne zamieszanie, ale przecież tacy będą ludzie przyszłości, ludzie epoki komunizmu. Przecież w tej przyszłej epoce rasa urzędasów zniknie z powierzchni ziemi.

Przyszła styczeń 1945 r., marsz za Wisłę, Borejsza kilkanaście dni przeżył w niezwykłym, nawet jak na niego, rozgardzaniu. Formował ekipy, które iść miały do Krakowa, Łodzi, Warszawy, Wrocławia, Poznania, tworzyć gazety, zakładać „Czytelniki”, odnajdować i ratować polskich literatów. Były to ekspedycje odkrywcze, zdobywcze i ratownicze naraz. Pamiętam wyjazd z nim do Nałkowskiej, ukrywającej się gdzieś pod Warszawą. Pamiętam paczkę z żywnością, którą ją porzuciła Dąbrowskiej, która na pęchotkę wracała na swoją Polną i którą poznał jakiś nasz oficer na moście pontonowym. Iluż literatów swoje czynne życie w Polsce Ludowej zaczynało od rozmowy z Borejsz!

Potem chyba było mu jeszcze trudniej. Wielki wysiłek pierwszych tygodni Wyzwolenia minął, ale utworzenie sieci czytelnikowskiej musiało być dlań dziecinną zabawką wobec trudu kierowania dziesiątkami gazet i pism. Redaktorzy byli niedoświadczeni, albo — co gorsza — doświadczeni, ale nie w tym, czego Polska Ludowa od swej prasy musiała wymagać. Nadanie kierunków kierunkom wszystkim pismom czytelnikowskim wymagało od Borejszy obfitego repertuaru środków przekonywania.

Byłem świadkiem paru takich rozmów. Sam zresztą prowadziłem jedną z gazet czytelnikowskich. Wobec mnie jednak nie stosował swego najcięższego oręża. Orężem tym była ruchoma płyta na jego biurku. Mówił Mówił podniesionym głosem. Prawie krzyczał. Krzyczał. Krzyczał klepiąc dłoń o płycę. Krzyczał i bił płytę pięścią. A gdy tego nie starczało, walił pięścią z taką siłą, że płyta pękała. Ten argument zwał z nóg najpartyznych, najbardziej zarozumiałych. Wychodził zataczając się, przyrzekał, że wyrzekną się ikacowskich czy czerwoniackich złomnactw. Borejsza po ich wyjściu pot ocierał z czoła, wołał sekretarkę, kazał zmieniać płytę. Przygotował sobie niezły zapasik tych płyt. Nie miał złudzeń co do łatwości reedukacji przedwojennych naszych dziennikarzy.

Przez parę lat następnych widywałem go rzadziej. Ale wszyscy przyjeźdźni z kraju opowiadając, co się u nas dzieje, nie mogli go pominać. — Borejsza znowu coś wymyśla — mówili. Raz to był Dom Słowa Polskiego. Raz to podarowanie rowerów listonoszom wiejskim, żeby chętniej załatwiali prenumerały.

Przez parę lat następnych widywałem go rzadziej. Ale wszyscy przyjeźdźni z kraju opowiadając, co się u nas dzieje, nie mogli go pominać. — Borejsza znowu coś wymyśla — mówili. Raz to był Dom Słowa Polskiego. Raz to podarowanie rowerów listonoszom wiejskim, żeby chętniej załatwiali prenumerały.



Rys. Tadeusz Kuliszewicz
Jerzy Borejsza

K. I. GALCZYŃSKI

FINAŁ IX SYMFONII

Jurkowi Borejszy, synowi Jerzego

Jerzy kochał Beethovena. „Willysem” lceić na budowę Domu Słowa Polskiego i nucił Beethovena: to był; w tym był cały Jerzy. Antybiurokrata. Twórca. Komunista. Obrońca. Pokoju. Wielki jak niedźwiedź. Ciężki i rubaszny jak niedźwiedź.

„O, radości, iskro bogów!” lubił nucić ten niedźwiedź, ilekroć to jego gorące, antybiurokratyczne serce rozżarzało się do białości. I wtedy miał prześwieconą twarz. Strumień energii muzycznej przepływał przez niego i wzbogacał go nowymi i nowymi energiami, tak jak majowy deszcz wzbogaca pola o nową i nową wołę rozkwitu, o nową i nową radość.

„O, radości, iskro bogów!”

Dlatego, kiedy wieczór w wieczór, podczas wielkich dni Warszawskiego Kongresu, rozbrzmiewał na cały cywilizowany świat z rozgłośni „Polskiego Radia” finał IX Symfonii Beethovena, ta schillerowska „Oda do Radości”, ta oda „An die Freude”, dlatego wtedy myślałem o Jerzym.

On pierwszy wśród nas lubił nucić tę pieśń; i nucił ją tak długo, aż stała się ulubioną pieśnią obrońców pokoju.

- Pokój.
- Friede.
- Mir.
- Paz...
- Staliśmy w warcie u trumny Jerzego.
- Maszerujemy dalej.
- Śpiewając —
- poeci —
- robotnicy —
- chłopi —
- żołnierze.
- Lewa!!

Warszawa, 26 stycznia 1952 roku

Jerzy! Nie było czerwonych róż!
Zabrakło czerwonych róż w Warszawie!
Ściął je tej nocy śmiertelny mróz
I umarły — jak mogły najkrwawiej.

Zmiótł je pomór, żalobny trąd,
A te, co pozostały,
Wyrwali sobie ludzie z rak
W kwaciarniach opustoszałych:
Po stopniach rewolucyjnej chwały
W ziemię, w głąb.

Jerzy! Zabrakło czerwonych róż,
Zabrakło i słów boleści!
Schodziliś w głąb, schodziliś w grób,
Cały w bojowej pieśni!
Wyprostowany — bo w dalszy bój,
W bój ostatni, żarty,
I szedł przy Tobie towarzyszu Twój.
Sztandar Twojej Partii.

Czerwieńszy on i piękniejszy
W swej dawnej i przyszłej sławie,
Niż wszystkie czerwone róże,
Których nie mogłem złożyć
Na trumnie komunisty Jerzego Borejszy,
Bo ich zabrakło w Warszawie.

Składam — Słowo
Służące tej samej sprawie.

Oto ona, ta sprawa:
Walczyć!
Wierzyć!
I w bębny bić!

Mówię do Ciebie żywego, Jerzy:
— Wielki to czas,
Kiedy nie trzeba wcale zmartwychwstać.
By dalej żyć.

23. I. 1952 r.

sił się z zamiarami rozbudowy „Czytelnika” na kraje zachodnioeuropejskie. W Genewie to nie wyszło, ale w Paryżu założył swoją placówkę, która przetrwała parę lat.

Mając umysł niesłychanie bujny, tryskając koncepcjami, Borejsza posiadał charakter bardzo burzliwy, ale nie trudny do odcyfrowania. Znając go, można było z dużym prawdopodobieństwem przez naciskanie pewnych guzików wywołać żadaną reakcję.

Na przykład dominującą jego cechą w tym okresie było niesłychane przywiązanie do „Czytelnika”. Jak u jedynego dziecka — Borejsza w „Czytelniku” nie mógł dostrzec żadnej wady, nie mógł się wyzbryć przeświadczenia, że „Czytelnik” zdolny jest do wszystkich go.

Kiedys przyjechałem do Warszawy. Co z Borejsz? Nie dobrze, mówią, jest ciężko chory. Miał krwotok. (Nie wiedzieliśmy wówczas, jak tragiczną chorobę to zwiaśtowało). No i jest przemęczony. Musi jechać na urlop. No, to dlaczego nie jedzie? Uparł się. I nie potrafił przełamać jego uporu? Ale, skąd. Telefonowali don: A, B, C — tu wymieniamy nazwiska osób na poważnych stanowiskach państwowych — ale on za nic. Czekać, mówię, ja wam to zaraz załatwię. Kijawja poblażliwie głowami, nieprzekonani.

Jadę do Borejszy. Istotnie wygląda fatalnie. Leży na kanapie, w swoim gabinecie, otulony kołtem. Przed nim pięciu czytelnikowskich dyrektorów. Odprawa. Borejsza uśmiecha się, pokrzykuje, a twarz mi nie mu się bólem.

Wyczekałem, aż pójdą, następnym nie wpuściłem. Czemu nie jedziesz na urlop? — zapytałem. — Wiesz. A telefonował. B. telefonował, nawet C! Odmówiłem! Muszę tehas pophacować...

— Ja wiem, czemu nie chcesz wyjechać — mówię cynicznie. — Boisz się. Takie sobie urządził tego „Czytelnika”, takich ludzi sobie dobrał, że boisz się, by bez Ciebie w trzy dni wszystko się nie rozjechało.

Borejsza siał na kanapie. Oburzenie i wściekłość były z jego oczu. — Ja mam takich ludzi! — wrzasnął i rękę zgął w łokciu. — Ja mogę na dwa lata wyjechać! I rzeczywiście zaraz wyjechał na dwa tygodnie.

Ta jego zdolność do pracy! To nie sztuka w krytycznym okresie, przez tydzień, czy nawet miesiąc pracować dziennie po dwadzieścia godzin. Ale Borejsza w tym stylu pracował całymi miesiącami, całymi latami. Przyjeżdżałem, szedłem do niego. Pięć telefonów, dziesięciu rozmówców. Około drugiej w nocy robiło się trochę spokojniej. — Pozwól, że choćę się wyciągnę — mówił — wygodniej będzie rozmawiać. Wyciągał się na kanapie, zdejmował okulary. Mówił: — jeśli chodzi o naszą litehatkę, uważam, że Przyboś i Zółkiewski... — i zaczynał chrapać. Wstawałem, na palcach szedłem do drzwi. Borejsza otwierał oczy: — W niektórych punktach mają hację!

Gdzie uciekasz! Tehaz najlepszy czas na rozmowę. Nikt nie przeszkadza.

Borejsza zamęcał swoich najbliższych pracowników, sekretarki, szoferów, sprzątaczkę. Pracował, jak powiedziałem, od rana do późnej nocy i nierzadko się zdarzało, że i oni musieli siedzieć dłużej. Żądał od nich takich czy owakich materiałów, dyktował listy, które potem z wymówkami przerabiał. Nie dotrzymywał terminów, przedtem oznaczonych jako nieodwołalne, czytał im swoje artykuły i wymagał uwag krytycznych cierpiąc niewymownie, jeżeli te krytyczne były naprawdę. Krzyczał, czasem niesprawiedliwie.

A przecież był lubiany przez nich wszystkich, jak rzadko który z szefów. Pewnie dlatego, że w dzieli w nim człowieka, i że on w nich zawsze widział ludzi.

Borejsza był pierwszorzędnym publicystą. Lubił efekty stylistyczne, czasem wpadał w lekko stylizowaną staropolszczyznę. Ale waga jego artykułów polegała na czym innym: pisał wtedy, gdy miał coś do powiedzenia. Miał kilka koncepcji, które weszły do potocznej języka politycznego naszych czasów. Jego artykuł o Mikołajczuku, wydrukowany w przeddzień wyborów 1947 roku („Prima-donna jednego sezonu”) odegrał swoją rolę w dobiegu tego agenta amerykańskiego w oczach jego własnej klienteli.

Wrocław zrobił Borejsz popularnym w postępowych kołach intelektualnych całego świata. Ile razy, spotykając jakiegokolwiek poetę z Południowej Ameryki, angielskiego profesora czy francuskiego malarza słyszałem: „Pan jest z Polski? No, co tam z Borejsz? Cóż za nadzwyczajny człowiek!”

Nie byłem we Wrocławiu. Opowiadali mi tylko o wyczynach Borejszy. Nie spał całymi nocami. Pił kawę, przemawiał w kilku językach. Był wszędzie, poznał wszystkich, wszystko załatwiał. Po prostu szalał porwany troską, by kongres wypadł jak najlepiej. Od Wrocławia jaką drogę obrzyma przemierzył światowy ruch pokoju, i u początku tej drogi czerwone z niewyspania czy Borejszy, jego niespokojny pośpiech, jego pokrzykiwania.

Oto kilka wspomnień. Ani wszystkie, ani najbardziej typowe. Jak trudno to postać ciągle w ruchu, ciągle w akcji — uchwycić portrety! Jego żywotność nie płynęła z siły biologicznej. Tryskał życiem — mówił się nie rzadko. Borejsza tryskał życiem, ale nie nadmiar zdrowia czynił go tak aktywnym. Jego motorem życiowym była idea. Idea ta natchniony — umiał nie tylko skłonić innych do roboty. Umiał przekazać im cząstkę swego catchienia, trochę swego żaru ideowego. Iluż z nas, literatów jego dziennikarzy tę iskierek jeszcze w sobie nosi.

To jest właśnie odwet komunisty Borejszy na bezsensownej śmierci, która od lat po cichu się doń skradala.

Jerzy Putrament

MARIAN CZERWIŃSKI

O NOWEJ LITERATURZE FRANCUSKIEJ

W życiu literackim Francji po II Wojnie Światowej nastąpiła zmiana jakościowa, która nie ma, jak może niektórym przyszczać, charakteru ilościowego, lecz jest wyraźnie zmianą jakościową.

O ile przed wojną byli we Francji powieściopisarze lewicowcy, wśród których zresztą były takie nazwiska jak Aragon czy Barbusse, o tyle po wojnie powstała francuska lewicowa literatura powieściowa. Różnica polega nie tylko na ilości pisarzy tej orientacji, nie na tym też tylko, że stanowią oni obecnie środowisko żywej wymiany intelektualnej, że otoczeni są czującą uwagą krytyków - lewicowców, komentujących ich myśli, analizujących ich środki wyrazu i oceniających ich osiągnięcia, ale przede wszystkim na tym, że są oni jako grupa i właśnie po raz pierwszy jako grupa, w żywym kontakcie z masą czytelniczą, do której się zbliżają, likwidując w samych sobie przyczyny dawnej społecznej izolacji pisarza. Proces ten ujęty jest już dziś w ramy planowego działania, zmierzającego do stworzenia nowego systemu kulturalnego, odcinającego się od kultury warstw rządzących, stanowi część polityki Partii Komunistycznej. Pisarze ci, jeśli nawet nie należą do Partii Komunistycznej, grupują się wokół niej.

Wojna i lata powojenne dopełniły kompromitacji burżuazji, zaostriły przeciwności społeczne, a nade wszystko odsłoniły w sposób oczywisty dla wszystkich treźwo państwowych (nawet wrogów) się, zwartych organizacyjną oraz wysoki stopień świadomości i wartości moralnej proletariatu. W tej sytuacji charakteryzującej się pełną dojrzałością francuskiej klasy robotniczej do objęcia odpowiedzialności za rządzący krajem, w centrum zagadnień społecznych i politycznych stanęły dwie sprawy: utrwalenia i pogłębienia świadomości proletariatu oraz przyciągnięcia i trwałego związania z masami robotniczymi ich najbliższego potencjalnego sojusznika: inteligencji technicznej i intelektualistów; tą drogą okrzepnąć miał sam trzon ruchu rewolucyjnego. Ze strony inteligencji, przed wojną w przeważającej części związanej z mieszczaństwem, motywy takiego zbliżenia są oczywiste: jest to sprawa odnalezienia nowego miejsca społecznego ujętego w rozległej perspektywie historycznej. Nie jest to więc zagadnienie oportunistyczne, ale ocena wartości własnej roli.

2.

Bezpośrednim odbiciem drogi — od inteligencji izolacji, czy nawet świadomego zaangażowania po stronie kapitalizmu, ku ruchowi robotniczemu — są książki, które powstały jako produkt takich właśnie wysiłków i doświadczeń i w odniesieniu do takich także i tylko takich problemów mogły służyć za wzór życiowy. Pragnę tu uchylić możliwe nieporozumienia: mówiąc o bezpośrednim odbiciu mam na myśli takie książki, które referują proces zwalczania trudności na drodze do wtopienia się inteligenta w ruch, ujmowały te sprawy z punktu widzenia inteligenta, który dąży do tego właśnie przebywania, stanowiły więc odbicie tego procesu. Żywe są w nich więc motywy wyjściowe, a ewentualny (osiągany przy końcu książki) moment złagodzenia się moralnego i praktycznego z ruchem zamyka całą problematykę książki. Pełnia problemów należących już do życia upartyjnionego" leży poza obrębem tematu, a w toku rozwijania walki — po możliwych momentach odczuwania, a do pewnego stopnia i rozumienia protagonisty. Są to książki, które nie realizują, ani nawet nie zbliżają się do postulatów socjalistycznej metody pisarskiej, wyrastają one bowiem z dręczącej jeszcze wewnętrznej sprzeczności, efemerycznej i płynnej kategorii społecznej. Dlatego też w podobny sposób wtórna i przypadkowa jest metoda pisarska, służąca do odcięcia się od starego i otworzenia wrażliwości i inteligencji na nowe.

Wyodrębnić tu można dwie grupy utworów. Jedne z nich domagają się, aby bohaterowi - inteligentowi przysługiwały pewne „pozhistoryczne" i „asocjalne", to znaczy praktycznie antysocjalne swobody. Przy zasadniczym akceptowaniu generalnych dyrektyw politycznych Partii prowadzą — a jednak targ o zaworowanie odrębności, i to podniesionym jednak do jakiejś zasadniczej rangi, grupy inteligentów - komunistów. Jest więc tu jakby próba zatrzymania owej kategorii społecznej inteligentów nawiązujących współpracę z ruchem robotniczym właśnie na tym jej etapie przejściowym, zatrzymanie za wszelkimi jej wewnętrzny sprzecznościami, podniesienia do znaczenia absolutnego najczęściej tych jej cech, które wykształciła w jałowym, bo samotnie realizowanym opozycji przeciw układowi ustroju kapitalistycznego. Drugą grupę stanowią utwory, które wchodzą w tradycyjne wątki mieszczańskich sprzeczności, ukazują w konkluzji ich rozwiązanie w pełnym moralnym i praktycznym zespoleniu inteligenta

z ruchem robotniczym. Utwory te odcinają tym samym radykalnie postępową inteligencję od jej dawnej bazy społecznej i wskazują na konieczność pełnego związania się z klasą robotniczą. I one nie są wolne od zniekształceń w przedstawieniu wielu spraw.

Omówmy jednak obie te grupy w przyjętym porządku. Dla grupy pierwszej przykładem może być znamienny, choć zapewne szczególnie dramatycznym, jest udostępniona polskiemu czytelnikom w przekładzie powieść Rogera Vaillanda „Dziwna zabawa". Książka ta ukazuje wszystkie niebezpieczeństwa płynące z podstępno-błędnymi postawami ideologicznej, ujawnionej w książkach pierwszej grupy. Protagonista Vaillanda pilnie przestrzega granicy dzielącej jego osobę od mas, w których służbie zużywa całą swą energię i czas, waga jego aktywności równa się bowiem wadze istnienia owych mas. Istnienie to nawet o tyle tylko jest ważne, o ile stanowi pole dla swobodnej działalności przywódcy (tu nie partyjnego, lecz wojskowego, w partyzantce lewicowej) pojętej jako akt irracjonalny. Okoliczności społeczne i historyczne są warunkiem zewnętrznym spełnienia się „artystycznego" gestu bohatera. Równocześnie autor zrywa wszystkie więzy łączące jego bohatera ze społeczeństwem — poza stosunkiem beznamietnego estety i równie beznamietnego „agenta historii". Na przykładzie tym widzimy, że próba zatrzymania procesu wtopienia inteligenta w ruch robotniczy na takim etapie, który by przyznawał inteligentowi odrębną pozycję moralną od mas, oznacza w najlepszym razie popadnięcie we wszystkie fałszywe moralności romantycznego gestu, w najgorszym — w zupełny nihilizm, oraz otwiera praktyczne możliwości dywersji od wewnątrz. Zdyscyplinowanie organizacyjne Vaillanda'ego bohatera jest więcej niż niebezpieczne, abstrahuje ono bowiem od całej konkretnej problematyki społecznej i moralnej ruchu, który wierność swych członków opiera przecież na rozumieniu zagadnień w całej ich nieustannej zmienności. Te same przyczyny sprawiają, że bohater ten jest ideowo bezproduktywny.

Jeżeli odwołałem się do przykładu tej zapomnianej już dziś powieści, to dlatego, że stanowi ona patologiczny przykład cech, charakterystycznych w pewnej mierze również i dla tych książek, których myślą jest ukazanie pełnego wtopienia inteligenta w ruch robotniczy, jest więc karykaturalnym wprowadzeniem w zagadnienie.

Zarówno „Dziwna zabawa", jak i książki drugiej kategorii, ciągle pozostające w kręgu problematyki inteligentkiej traktowanej „od wewnątrz", wprowadzają Partię na sposób „Deus ex machina". O ile dla Vaillanda Partia daje tylko okazję do spełnienia historycznego czynu wyobcowanemu klasowo inteligentowi, który pozostaje sobą, to znów dla autorów książek tej drugiej kategorii, a mam tu na myśli np. Eugera Garaudy'ego („Huitième jour la création"), Elsy Triolet („Kochankowie z Avinonu" i „Inspecteur des ruines"), żeby wymienić tylko nazwiska i książki znane na polskim rynku księgarskim, Partia jest historią niosącą w sobie na zasadzie swojej definicji rozwiązanie sprzeczności dręczących warstwę inteligentną. Nie szukają oni również momentów składających się na taki a nie inny charakter Partii, decydujących o sposobie jej wkręcania w historię, nie zajmują się oni społeczno - historyczną genealogią ruchu i Partii ani założeniami jej taktyki. Partię przyjmują się tu „na wiarę", ba! — wręcz mesjanistycznie! Obraz, który by syntetyzował te postawy i ułatwił jej rozumienie dałby się tak naszkicować: jest pewna suma doświadczeń osobistych inteligenta związanych ze starym ustrojem, w którym żyje — kłamstwo wolności politycznej, kłamstwo równości praw, kłamstwo wspólnej ojczyzny, kłamstwo tradycyjnej rodziny. Brak perspektywy dynamicznego rozwoju jakiegokolwiek sprawy, do której człowiek może się szczerzym sercem przywiązać. I oto w miejsce całości przywykłej pojawia się w latach wojny i zaraz po niej — niedostrzeżona poprzednio, bo zaduszona przez krępkię jeszcze i bardzo panoszące się burżujstwo — nowa całość: świat robotników, świat komunistów. Ta nowa całość, nowa jakość, przeciwstawia się całą sobą staremu ustrojowi, starym wartościom. Jest więc tu sprawa likwidowania różnych niedoświadczeń moralnych i uczuciowych, samotności „wśród ludzi", jest potrzeba czystości, potrzeba kohezyji spraw przeszłych, powstających i żyjących, jest wyrwanie się ku optymizmowi, znajdujące tu swe zaodczytanie artystyczne w wyziny, zwykle na ostatnich stronach, obrazach owych hasłowych już „lendemain qui chantent".

Tak wygląda ta próżnia psychologiczna, która zapelniona zostaje aktem akcesu do ruchu, a przegotowana krótszym lub dłuższym procesem, przewyższeniem bardziej przyzwyczajenia, lektów, nienawieści i chandru całej mieszczańskiej migracji i czkawki, aniżeli poglądów (te dostęły już swój czas zadany przez

historię). Jest w tym wszystkim jakiś przekonywujący i zmuszający do szacunku motyw wstydu za dawną swą osobowość społeczną, bardzo wiele szczerze pragnienia i prawdziwie zaufanie do nowych wartości. A pamiętajmy, że rzecz jest nie bylejąka: chodzi tu o ludzi, którzy mogli być złamani, którzy trochę mniej lub więcej, ale byli w jakimś tam momencie złamani, mogli przecież stracić w katastrofie dawnej swej klasy wszystko, a coś, przejściowo, stracili na pewno. Ta kategoria książek przedstawia więc sytuację inteligenta zwyciężonego przez prawdę moralną reprezentowaną przez Partię, ale pojętą dopiero intuicyjnie i jeszcze nie wypraktykowaną.

Interesującą przez swą typowość sprawą jest to społeczne tych powieści. To dojrzenie inteligenta do zasadniczej decyzji odbywa się często na oym marginesie społecznym, na który sprowadza go wykołowanie w środowisku kapitalistycznym.

Jest to ten margines, gdzie spotykają się i inne ofiary ustroju, nie dostrzegające przed sobą żadnych perspektyw, gdzie spotyka się artysta bez mecenasa, prostytutka, splajnowany kupiec, zneurasthenizowany urzędnik bez posady, na obszarze pozornej asocjalności. Bohaterowie Vaillanda przebywają tam stale, gdy nie pochłaniają ich swolście sparamafrozowane obowiązki konspiracji, ci i owi bohaterowie



Postępowi pisarze Francji prowadzą „Bataille du livre — walkę o dobrą książkę i nowego, robotniczego czytelnika. W tym samym czasie faszysty prowadzą walkę — z książką. Na zdjęciu widzimy książki zniszczone wybuchem bomby podłożonej przez zwolenników De Gaulle'a w księgarni „Clarté" w Paryżu.

Elsy Triolet znajdują się tam czasem.

Jest w tym konsekwencja, nie jest to przypadkowe. Obszar ten jest istotnym dnem ustroju kapitalistycznego, obszarem klęski całkowitej, jakim nie jest bynajmniej proletariatu ufny we własną przyszłość. Mieszczańskimi inteligent rozpoznaje w tym środowisku własne rysy, tylko przestylizowane w kształt doskonałego absurdu. Nie bez przyczyn literatury ideologicznej imperializmu uprawiają metafizykę lumpenproletariatu i zdeklasowanej inteligencji. U omawianych pisarzy (z wyłączeniem jednak Vaillanda) środowisko to pojawia się natomiast jak zła gorączka, jest jeszcze jednym dowodem negatywnym na to, że stary ustrój musi zginąć.

W powieściach tych, jeśli pojawiają się robotnicy (u Garaudy'ego), to mocno odrealnieni, wystylizowani w tym sensie, że zbudowani są z tych tylko cech, które są reprezentacją ruchu jako całości. Pojawiają się raczej epizodycznie, ale to ich wejście na scenę mają znaczenie centralne, wchodzi bowiem z nimi „sprawa". Wejście to w budowane są w wątek dość umowne. Powieści te mają budowę zbliżoną do tradycyjnej powieści psychologicznej, przytłoczony doświadczeniami, to co jest sugerowanym lub pokazanym rozwiązaniem konfliktu, wejście w ruch, jest jeszcze nie w pełni przeżyte, stąd częsta publiczność tych partii (u Garaudy'ego). Okoliczność ta, że dążą one do rozrachunku jak najbardziej generalnego, sprawia, że zagęszczenie problemów psychologicznych przy równoczesnym ciężarze ich i zasadniczości rozsadza realne ramy konstrukcji, zmusza do sztucznego łączenia rozbudowanych relacji „dziejów wewnętrznych" z faktami walki obiektywnej.

Tak by się przedstawiała w syntetycznym ujęciu ta grupa książek rozwijających „od wewnątrz" problem inteligenta na drodze do ruchu i Partii. Nie należą one do właściwego nurtu socjalistycznego, odbijają zledejęty proces dochodzenia inteligenta do świadomości socjalistycznej. Spełniły one swą rolę, ułatwiając skałkowanie zdrowego odłamowi inteligencji z ruchem robotniczym. Ułatwiwszy w pewnej mierze to skałkowanie, przyczyniły się do powiększenia ekipy intelektualnej Francuskiej Partii Komunistycznej, ta formacja literacka dokonywa już dziś, jeśli już nie dokonana, swego żywota. Spełniwszy owo zadanie, uległa ona, lub przynajmniej ulega, samolikwidacji.

Obok niej francuska literatura lewicowa ma już dziś liczne dzieła, które stanowią odbicie świadomości socjalistycznej. Niektóre z nich wyprzedzają nawet datę powstania tamtych lub są im współczesne. Niektórzy z autorów przeszli zmianami i rozumiały ewolucję i wyrazili w swym piarstwie moment przełomu, stanęli następnie na gruncie socjalistycznej metody pisarskiej. Inni dopracowali się tej metody wcześniej lub też umieli ją zastosować od pierwszej książki. Tak czy owak nurt piarstwa socjalistycznego nie tylko we wnioskach, ale w metodzie, a więc stanowiącej właściwie odbicie nowych sił społecznych, potężnie z każdym rokiem powojennym i przynosi nowe książki. Dokonując tu ich przeglądu zastrzeżę się muszę przed możliwością wyciągania na tej podstawie przez czytelników wniosków dotyczących dalszej ewolucji wymienionych pisarzy. Ograniczam się tu celowo i z ogromnego materiału podając jako ilustrację przykłady tych tylko książek, które znalazły się bądź w przekładzie, bądź w kryginalu na rynku polskim, pomijając inne (to zresztą, co dotarło do nas, były to pozycje najlepsze i jako reprezentacja swego specyficznego rodzaju wystarczające). Wynika stąd niemożność przedstawienia w każdym wypadku przemian poszczególnych pisarzy i dlatego to, co o którymkolwiek z nich napisałem,

dotyczy go tylko jako autora cytowanej książki, będącej składową szerszego zjawiska literackiego, dotyczy w ogóle raczej samego zjawiska, samej formacji literackiej. Ilość książek znanych nam z naszego rynku księgarskiego, reprezentujących tę kategorię, jest stosunkowo duża. W powieściach tych, które odbijają już świadomości w pełni socjalistycznej odnajdujemy tę samą miarę spraw, ten sam oddech, który ożywia naszą literaturę.

Nowa literatura francuska, ta, którą ująć można za odbicie świadomości socjalistycznej, stanowi też niewątpliwie zaczątek realizmu socjalistycznego w beletryście francuskiej. Rozmaicie oceniał można stopień jej dojrzałości w urzędziwieniu nowej metody twórczej, elementy tej metody znajdują się w niej niewątpliwie. Odpowiada to obecnej sytuacji klasy robotniczej we Francji, która osiągnęła stopień świadomości i wartości organizacyjnej pozwalający na pewność, że nie da się ona sprowadzić ze swej drogi. Klasa ta skupiona wokół Partii Komunistycznej stała się, mimo że rządy krajem pozostają w rękach burżuazji, świadomym i odpowiedzialnym podmiotem historii. Stąd to paradoksalna sytuacja polityczna we Francji, przedłużająca sztucznie władzę burżuazji, ma wszelkie cechy okupacji. We francuskiej literaturze socjalistycznej jest widoczna obecność tego świadomego podmiotu, obecność Partii — jako czynnika normującego i kierowniczego dla świadomości pisarza i jako nieodłącznego składnika konstruowanego przezeń obrazu.

W literaturze nowego typu układem, do którego odnosi się autor w swych sądach oceniających, który wyznacza strukturę i charakter jego osiągnięć poznawczych, nie jest już izolowany drobnozeszczelniony „nadszkiełek", ale człowiek jako całość, stając się socjalistycznym. Francuscy pisarze nowego typu wiedzą, że w centrum stosunków społecznych pojętych w ich perspektywie dynamicznej stoi dziś Partia Komunistyczna. Wiedza ta nie jest „punktem dojścia" procesu rozwojowego bohaterów, pozostającym bez wpływu na metodę konstruowania powieści, jak w niektórych utworach poprzednio omawianych. Wyrastają one już z takiej wiedzy tak, iż od pierwszej strony wizja artystyczna kształtuje się pod jej naporem.

Proces zrastania się pisarza z ruchem i postępującego zrastania się wpływów Partii na życie nie tylko polityczne, ale co-

dzienne mas, znaczący jest w literaturze stopniowym likwidowaniem licznych na początku rezerwatów „asocjalności" przeniesionych (na ten grunt) przez pisarzy z literatury burżuazyjnej, a w ogólności schyłkowej burżuazyjnej kultury. W warunkach charakterystycznych dla Francji wyrafinowania dekadentkiej kuchni literackiej zarazienie choćby częściowe typowymi dla niej ambicjami musiało także odgrywać pewną rolę w łamaniu się pisarzy z nowymi zadaniami. Drogę tę określić można jako powolne przebijanie się pierwocin realizmu socjalistycznego. Prowadzi ona z jednej strony do coraz doskonalszego wypełniania utworów nową treścią moralną, w jej aktualnym, coraz lepiej rozpoznawanym kształcie historycznym, na ukazywaniu jej zasięgu, z drugiej zaś prowadzi do oddawania jej w coraz bardziej adekwatnej formie artystycznej, przy stałym oczyszczaniu jej z formalistycznych cudzysłowów oddających przedmiot od czytelnika, zewalających na wahanie, na bierną obserwację.

Przykładem takiego likwidowania formalistycznego dystansu od przedmiotu może być rozwój Vladimira Poznara dający się stwierdzić na przykładzie jego przedwojennej książki „Ostrze włóczęgi" (wznówionej we Francji i przyswojonej językowi polskiemu po wojnie) oraz dwu jego utworów powojennych „Szlakiem klęski" i „Ludzie jednej wsi". W „Ostrzu włóczęgi" autor, wykazując pełne zrozumienie historycznego sensu opisywanych wydarzeń, rezerwuje sobie przecież prawo do „poigrania" z tematem. Pokazuje więc kuchnię literacką; dzieje formowania się pomysłu, aby dać nam perspektywę nieco odrealnioną, perspektywę zapyłanych bibliotek, własnych autorskich zwątpień i wzdolów, powiązania jego, autorskiego, stosunku do książki ze sprawami czysto prywatnymi. Równocześnie, obok tego „odsłupu" od tematu, który autor odgrywa dzięki takiemu przedślowi, ulega on urzędziwej pokusie: estetyzacji zła. Nie idzie w tym daleko, nie prowadzi go to do wypaczenia zasadniczego sensu wydarzeń, nie mniej przeto stwarza wokół postaci ucieleśniającej zło kontrowersję, wokół jej zbrodni, lekko demoniczną poświatę. Inaczej już sprawa wygląda w powojennych powieściach tego autora, cechuje je, przy rozumieniu problemów, poczucie odpowiedzialności. Autor dojrzał, bowiem ułóżam się nie tylko jako podmiot poznający, ale jako podmiot moralny z tezami, które reprezentuje. Nie ma więc w nich przefortyfikowanej formalnej, a brud nie przofortyfikuje.

Niektórzy z autorów podejmują rozrachunki z przeszłością z tej nowej płaszczyzny, z wyższego piętra świadomości niż to, które reprezentowała wyodrębniona poprzednio grupa książek. André Wurmser uczynił to celem cyklu powieściowego, który otwiera tom „Okuty w powłociu". W tym rachunku wystawianym za dziecinstwo skrzywione i zatrute fałszami mieszczańskimi moralności, autor przejawia już świadomość faktu, że spór nie może się rozstrzygnąć w granicach subiektywnych wrażeń, że wybór jest wyborem między obiektywnym, określonym społecznie złem, a takimże dobrem. Podobny charakter ma książka „Zatrute ziarno" Claude Morgana.

Kontynuację nurtu „oporu" w jego okresie obecnym, powojennym, pokazują powieści André Silla „Wola i gniew" i „La Seine a pris la mer". Zmieniona tu jest w stosunku do okupacji hitlerowskiej aktualna mapa polityczna, zasadniczy układ sił jest oczywiście ten sam, jeszcze bardziej wykrystalizowana jest sama Partia, pogłębiona znacznie świadomość polityczna. Frontem walki są przede wszystkim zagrożone przez Amerykanów warsztaty pracy, jest niedola robotnicza, „odwrotna strona", „marshallizacji". O ile pierwszej omawiane w tym szkicu powieści znały już żywych, nie hipostatycznych robotników, o tyle Silla wprowadza już bezpośrednio w środowisko proletariatu, ukazując przy tym jego węzłowe problemy, perspektywę historyczną widzianą własnymi, robotniczymi oczyma proletariatu. Daje on więc największe zbliżenie samego podmiotu ruchu, jakim jest klasa robotnicza.

Odrębne omówienie należy się powojennemu cyklowi powieściowemu Aragona „Komuniści". To, co jest tu szczególnie interesujące, to okoliczność, że cykl ten stanowi dalszy ciąg serii rozpoczętej na kilkadziesiąt lat wcześniej, może więc być przedmiotem studium o przemianach świadomości pisarza w tym rozstrzygającym okresie. Zamierzam także wykraczać oczywiście poza ramy tego szkicu. Wszystko, co można by powiedzieć o samych „Komunistach", wydaje się krytyką niepełnoprawną ze względu na to, że znamy dopiero część cyklu. Pewne uwagi można by jednak poczynić, gdyż wydaje się, że Aragon objawił już w pierwszych tomach niektóre strukturalne cechy swej nowej powieści.

Niewątpliwie zasięgiem i czystością obrazu, walorami stylu i wagą problemów przedstawianych autor przewyższa znaczenie innych autorów omawianych tu książek. Zamierzenie jego, nadzwyczaj ambitne, jest „wyższego lotu" niż te, które sobie stawiali pisarze poprzednio omówieni. O ile miały one być w pełni zrealizowane, o ile „Komuniści" miały stać się rzeczywistością pełnym i adekwatnym odbiciem swego czasu, musieliśmybyśmy doczekać się, że autor zastosuje w dalszych tomach nowe środki odpowiadające dalszemu okresowi historii, latom krzepnięcia Partii i jej wzrastania w walce tak jak te, które zastosował w pierwszych tomach, znajdując swe uzasadnienie w sytuacji psującej w ruchu robotniczym i w społeczeństwie Francji w okresie 1939 — 1940, w okresie „dziwnej wojny". W czasie tym burżuazja dzięki jednemu w swoim rodzaju, prowokatorskiej grze politycznej zdołała zdezorientować znaczną ilość członków i sympatyków Partii jak również po prostu ludzi dobrej woli i postawić ich w tej sytuacji, w której dopiero dalszy rozwój wypadków mógł dać im dyrektywę działania.

Aragon zbudował swój utwór jako szereg „powieści" w powieści. Poszczególne „powieści" tego szeregu mają daleko większą autonomię, niż się to dzieje w wątkami kompozycji klasycznej. Ich więc kompozycyjna znajduje się nie w sferze realności, ale w dziedzinie ideologicznej. Dopiero z przeciwstawienia, z kontrastowej mozaiki tych usamodzielnionych wątków wynikają pewne wnioski składające się na autorską ocenę przebiegu historycznego. Poszczególne „powieści" tego szeregu mają daleko większą autonomię, niż się to dzieje w wątkami kompozycji klasycznej. Ich więc kompozycyjna znajduje się nie w sferze realności, ale w dziedzinie ideologicznej. Dopiero z przeciwstawienia, z kontrastowej mozaiki tych usamodzielnionych wątków wynikają pewne wnioski składające się na autorską ocenę przebiegu historycznego. Poszczególne „powieści" tego szeregu mają daleko większą autonomię, niż się to dzieje w wątkami kompozycji klasycznej. Ich więc kompozycyjna znajduje się nie w sferze realności, ale w dziedzinie ideologicznej. Dopiero z przeciwstawienia, z kontrastowej mozaiki tych usamodzielnionych wątków wynikają pewne wnioski składające się na autorską ocenę przebiegu historycznego.

Przeważającą część swojej nowa literatura francuska związana jest ze sprawami aktualnymi, jest ich bezpośrednim refleksem. Wyróżnia się w tym jej związek z życiem społecznym, a mówiąc dobitniej z tocząca się w społeczeństwie francuskim walka. Literatura ta jest aktem świadomości strony walczącej.

Powieść Elsy Triolet „Upiory pod bronią" wskazuje wyższy poziom jakościowy w porównaniu z poprzednio wymienionymi książkami: „Inspecteur des ruines" i „Kochankowie z Avinonu". „Upiory" są świadectwem wzrostu świadomości historycznej pisarki, która od wrażliwości bezpośrednio przechodzi tu do postawy intelektualnej, poznawczej. Niemniej jednak to, co w tej książce niepokoi, to pozostałość pewnego pluralizmu moralnego, nieco w typie tego, który znajdujemy w Vaillanda, choć nieporównanie mniej jaskrawego.

Powieści: „Zolnierze wolnej Francji" Paul Tullarda, „Milczące maszyny" Jean Laffitte'a, „La dernière forteresse" Pierre Dax'a i „Dix pour un" Janine Boissourene meją pewien wspólny ton, który czyni je cenniejszym i każe upatrywać w nich szczególnie zmiennie przykłady nowej literatury. Tym wspólnym rysem jest moralizm nowego gatunku. Wszystkie one wyrastają z walki jeszcze z pierwszą, hitlerowską okupacją i wszystkie „czasem pogardy" przeciwstawiają moralny walec i klimat ruchu robotniczego.

Partia jest tu przeżyta, jako rzeczywistość moralna, nie jest już z pewnością tylko problemem intelektualnym. W powieściach tych postawiony jest też problem odpowiedzialności jednostki przed Partią jako odpowiedzialności z istoty swej moralnej.

O ile przed wojną byli we Francji powieściopisarze lewicowcy, wśród których zresztą były takie nazwiska jak Aragon czy Barbusse, o tyle po wojnie powstała francuska lewicowa literatura powieściowa. Różnica polega nie tylko na ilości pisarzy tej orientacji, nie na tym też tylko, że stanowią oni obecnie środowisko żywej wymiany intelektualnej, że otoczeni są czującą uwagą krytyków - lewicowców, komentujących ich myśli, analizujących ich środki wyrazu i oceniających ich osiągnięcia, ale przede wszystkim na tym, że są oni jako grupa i właśnie po raz pierwszy jako grupa, w żywym kontakcie z masą czytelniczą, do której się zbliżają, likwidując w samych sobie przyczyny dawnej społecznej izolacji pisarza. Proces ten ujęty jest już dziś w ramy planowego działania, zmierzającego do stworzenia nowego systemu kulturalnego, odcinającego się od kultury warstw rządzących, stanowi część polityki Partii Komunistycznej. Pisarze ci, jeśli nawet nie należą do Partii Komunistycznej, grupują się wokół niej.

Wojna i lata powojenne dopełniły kompromitacji burżuazji, zaostriły przeciwności społeczne, a nade wszystko odsłoniły w sposób oczywisty dla wszystkich treźwo państwowych (nawet wrogów) się, zwartych organizacyjną oraz wysoki stopień świadomości i wartości moralnej proletariatu. W tej sytuacji charakteryzującej się pełną dojrzałością francuskiej klasy robotniczej do objęcia odpowiedzialności za rządzący krajem, w centrum zagadnień społecznych i politycznych stanęły dwie sprawy: utrwalenia i pogłębienia świadomości proletariatu oraz przyciągnięcia i trwałego związania z masami robotniczymi ich najbliższego potencjalnego sojusznika: inteligencji technicznej i intelektualistów; tą drogą okrzepnąć miał sam trzon ruchu rewolucyjnego. Ze strony inteligencji, przed wojną w przeważającej części związanej z mieszczaństwem, motywy takiego zbliżenia są oczywiste: jest to sprawa odnalezienia nowego miejsca społecznego ujętego w rozległej perspektywie historycznej. Nie jest to więc zagadnienie oportunistyczne, ale ocena wartości własnej roli.

Jeżeli odwołałem się do przykładu tej zapomnianej już dziś powieści, to dlatego, że stanowi ona patologiczny przykład cech, charakterystycznych w pewnej mierze również i dla tych książek, których myślą jest ukazanie pełnego wtopienia inteligenta w ruch robotniczy, jest więc karykaturalnym wprowadzeniem w zagadnienie.

Zarówno „Dziwna zabawa", jak i książki drugiej kategorii, ciągle pozostające w kręgu problematyki inteligentkiej traktowanej „od wewnątrz", wprowadzają Partię na sposób „Deus ex machina". O ile dla Vaillanda Partia daje tylko okazję do spełnienia historycznego czynu wyobcowanemu klasowo inteligentowi, który pozostaje sobą, to znów dla autorów książek tej drugiej kategorii, a mam tu na myśli np. Eugera Garaudy'ego („Huitième jour la création"), Elsy Triolet („Kochankowie z Avinonu" i „Inspecteur des ruines"), żeby wymienić tylko nazwiska i książki znane na polskim rynku księgarskim, Partia jest historią niosącą w sobie na zasadzie swojej definicji rozwiązanie sprzeczności dręczących warstwę inteligentną. Nie szukają oni również momentów składających się na taki a nie inny charakter Partii, decydujących o sposobie jej wkręcania w historię, nie zajmują się oni społeczno - historyczną genealogią ruchu i Partii ani założeniami jej taktyki. Partię przyjmują się tu „na wiarę", ba! — wręcz mesjanistycznie! Obraz, który by syntetyzował te postawy i ułatwił jej rozumienie dałby się tak naszkicować: jest pewna suma doświadczeń osobistych inteligenta związanych ze starym ustrojem, w którym żyje — kłamstwo wolności politycznej, kłamstwo równości praw, kłamstwo wspólnej ojczyzny, kłamstwo tradycyjnej rodziny. Brak perspektywy dynamicznego rozwoju jakiegokolwiek sprawy, do której człowiek może się szczerzym sercem przywiązać. I oto w miejsce całości przywykłej pojawia się w latach wojny i zaraz po niej — niedostrzeżona poprzednio, bo zaduszona przez krępkię jeszcze i bardzo panoszące się burżujstwo — nowa całość: świat robotników, świat komunistów. Ta nowa całość, nowa jakość, przeciwstawia się całą sobą staremu ustrojowi, starym wartościom. Jest więc tu sprawa likwidowania różnych niedoświadczeń moralnych i uczuciowych, samotności „wśród ludzi", jest potrzeba czystości, potrzeba kohezyji spraw przeszłych, powstających i żyjących, jest wyrwanie się ku optymizmowi, znajdujące tu swe zaodczytanie artystyczne w wyziny, zwykle na ostatnich stronach, obrazach owych hasłowych już „lendemain qui chantent".

Tak wygląda ta próżnia psychologiczna, która zapelniona zostaje aktem akcesu do ruchu, a przegotowana krótszym lub dłuższym procesem, przewyższeniem bardziej przyzwyczajenia, lektów, nienawieści i chandru całej mieszczańskiej migracji i czkawki, aniżeli poglądów (te dostęły już swój czas zadany przez

Obok niej francuska literatura lewicowa ma już dziś liczne dzieła, które stanowią odbicie świadomości socjalistycznej. Niektóre z nich wyprzedzają nawet datę powstania tamtych lub są im współczesne. Niektórzy z autorów przeszli zmianami i rozumiały ewolucję i wyrazili w swym piarstwie moment przełomu, stanęli następnie na gruncie socjalistycznej metody pisarskiej. Inni dopracowali się tej metody wcześniej lub też umieli ją zastosować od pierwszej książki. Tak czy owak nurt piarstwa socjalistycznego nie tylko we wnioskach, ale w metodzie, a więc stanowiącej właściwie odbicie nowych sił społecznych, potężnie z każdym rokiem powojennym i przynosi nowe książki. Dokonując tu ich przeglądu zastrzeżę się muszę przed możliwością wyciągania na tej podstawie przez czytelników wniosków dotyczących dalszej ewolucji wymienionych pisarzy. Ograniczam się tu celowo i z ogromnego materiału podając jako ilustrację przykłady tych tylko książek, które znalazły się bądź w przekładzie, bądź w kryginalu na rynku polskim, pomijając inne (to zresztą, co dotarło do nas, były to pozycje najlepsze i jako reprezentacja swego specyficznego rodzaju wystarczające). Wynika stąd niemożność przedstawienia w każdym wypadku przemian poszczególnych pisarzy i dlatego to, co o którymkolwiek z nich napisałem,

dotyczy go tylko jako autora cytowanej książki, będącej składową szerszego zjawiska literackiego, dotyczy w ogóle raczej samego zjawiska, samej formacji literackiej. Ilość książek znanych nam z naszego rynku księgarskiego, reprezentujących tę kategorię, jest stosunkowo duża. W powieściach tych, które odbijają już świadomości w pełni socjalistycznej odnajdujemy tę samą miarę spraw, ten sam oddech, który ożywia naszą literaturę.

Nowa literatura francuska, ta, którą ująć można za odbicie świadomości socjalistycznej, stanowi też niewątpliwie zaczątek realizmu socjalistycznego w beletryście francuskiej. Rozmaicie oceniał można stopień jej dojrzałości w urzędziwieniu nowej metody twórczej, elementy tej metody znajdują się w niej niewątpliwie. Odpowiada to obecnej sytuacji klasy robotniczej we Francji, która osiągnęła stopień świadomości i wartości organizacyjnej pozwalający na pewność, że nie da się ona sprowadzić ze swej drogi. Klasa ta skupiona wokół Partii Komunistycznej stała się, mimo że rządy krajem pozostają w rękach burżuazji, świadomym i odpowiedzialnym podmiotem historii. Stąd to paradoksalna sytuacja polityczna we Francji, przedłużająca sztucznie władzę burżuazji, ma wszelkie cechy okupacji. We francuskiej literaturze socjalistycznej jest widoczna obecność tego świadomego podmiotu, obecność Partii — jako czynnika normującego i kierowniczego dla świadomości pisarza i jako nieodłącznego składnika konstruowanego przezeń obrazu.

W literaturze nowego typu układem, do którego odnosi się autor w swych sądach oceniających, który wyznacza strukturę i charakter jego osiągnięć poznawczych, nie jest już izolowany drobnozeszczelniony „nadszkiełek", ale człowiek jako całość, stając się socjalistycznym. Francuscy pisarze nowego typu wiedzą, że w centrum stosunków społecznych pojętych w ich perspektywie dynamicznej stoi dziś Partia Komunistyczna. Wiedza ta nie jest „punktem dojścia" procesu rozwojowego bohaterów, pozostającym bez wpływu na metodę konstruowania powieści, jak w niektórych utworach poprzednio omawianych. Wyrastają one już z takiej wiedzy tak, iż od pierwszej strony wizja artystyczna kształtuje się pod jej naporem.

Proces zrastania się pisarza z ruchem i postępującego zrastania się wpływów Partii na życie nie tylko polityczne, ale co-

Marian Czerwiński

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Mickiewicz i wersyfikacja narodowa

NORWID

Nowa książka krytyczna Ważyka „Mickiewicz i wersyfikacja narodowa” jest wydarzeniem w naszym życiu literackim.

Jest to próba zastosowania do problemów wiersza polskiego konsekwencji prac Stalina o językoznawstwie, pojęć trwałych wartości w sztuce i trwałych tradycji literackich narodu.

Książkę Ważyka nazwałem wydarzeniem ze względu na jej wielostronne nowatorstwo. Nie wielka ta praca jest poważniejszą od innych wkładem do dyskusji nad formą i tendencjami rozwojowymi techniki wierszowej współczesnej poezji; jest zupełnie nową próbą znalezienia jednocześnie historycznych i normatywnych kryteriów oceny wiersza współczesnego i kierunkowych tendencji jego rozwoju; wreszcie jest w całym tego słowa znaczeniu przełomem metodologicznym w badaniach nad rozwojem dziejowym wersyfikacji polskiej.

Ważyk pierwszy konstruuje historycznie i w sposób konkretny pojęcie narodowej tradycji literackiej. Wprowadza pierwszy do arsenału nowoczesnych pojęć krytyczno-literackich pojęcie narodowych cech wersyfikacji.

W dyskusjach o poezji z konieczności wiele miejsca, o wiele więcej niż w dyskusjach o prozie, poświęca się analizie środków wyrazu. Wiemy, iż środki literackie odznaczają się pewną inercyjnością. Żyją i służą pisarzom, gdy treści, dla których zostały powołane, są już martwe. Oczywiście nosność poetyckich środków wyrazu jest ograniczona, a więc ograniczone jest i ich trwanie literackie. Niektóre stare środki nie potrafią już wyrazić ich treści. Ale czasem bywa inaczej. Złota, że poezja każdego narodu ma swój tradycyjny dorobek.

W okresach upadku literatury pisarze zwykle odwracają się od tradycji. Poza najwybitniejszych poeci lat międzywojennych mieli na ogół — przynajmniej w praktyce twórczej, bo rzadko w wypowiedziach teoretycznych — niechętny, pełen niezrozumienia stosunek do poetyckiej tradycji narodowej. „Mamy za sobą tradycję Mickiewiczowską, która stawia wiersz wolny na drugim miejscu po sylabowcu” słusznie pisze Ważyk. Tymczasem w latach międzywojennych niektórzy poeci — nie wybitni twórcy jak Tuwim, Słonimski — łamali te propozycje. Wbrew polskiej tradycji przesuwali wyraźnie punkt ciężkości na wiersz wolny. Wrócić do właściwych proporcji — to uznać w tej architektonice wersyfikacyjnej przewagę wiersza regularnego, sylabowego.

Argumenty Ważyka są historyczne. Toteż poważnym brakiem jego książki jest urwanie toku rozważań koło r. 1900. Właśnie analiza wersyfikacji XX w., próba odziedzenia w tym okresie plew od ziarna istotnych zdobyczy poetyckich byłaby doniosłym wkładem do dyskusji o najnowszej poezji i jej przyszłości.

Ważyk przemawia przeciwko reliktom ekspresjonizmu w poezji współczesnej, przeciwko kontynuowaniu dekadentnego rozstrutu z narodową tradycją poetycką — w najnowszej poezji. Argumenty Ważyka czerpane są z dziejów walki o realizm w poezji polskiej. Dzieje te uczą, że określone tendencje wersyfikacyjne wiążą się z realistycznymi poetykami, powoływane są do życia w toku poetyckiej walki o realizm, o wyzwolenie postępowe treści poezji.

Nasza dotychczasowa literatura wersyfikacyjna (Łoś, Wójcicki, Zawadzinski, Siedlecki, Dłuska, Furmanik) przyniosła wiele cennych obserwacji. Na szczególną uwagę zasługują prace Dłuskiej z dziedziny prozodii i rozwinięta przez nią teoria „zestroju akcentowego”. Iniewątpliwie szkoda, że Ważyk tak zasadniczo rewidując podstawy metodologiczne i wiele przeto wniosków naszej nauki o wierszu nie podkreślił sprawiedliwie, że z wielu empirycznych obserwacji korzysta, tych obserwacji, które opierają się na ogromnym, cierpliwie zebranym materiale, na wnioskach statystycznych, wymagających drobiazgowego, wielokrotnej lektury Kochanowskiego czy innych poetów.

Niestety poza cennymi empirycznymi spostrzeżeniami i poza trafną na ogół typologią systemów wierszowych (ale „niekoniecznie trafna klasyfikacja utworów”) — nasza nauka o wierszu ma wiele braków. Zaczęła się w nowszych czasach nieszczerliwie od rzekomej historii wierszy polskich Łośia, które były tylko chronologią schematów wersyfikacyjnych. Ta niechęć do historii pozostała naszej nauce o wierszu. I to jest jej grzech śmiertelny.

Teoretycy wiersza polskiego rozpatrują swój materiał nie tylko w całym odczynie odcieraniu od życia społecznego, ale także w całym odczynie odcieraniu od historii literatury, od historycznie zmiennych poetów, od przyczyn i skutków przemian literatury i przemian normatywnych poetek różnych okre-

sów. W naszej literaturze o wierszu rozważa się izolowany od treści wiersz — rozwój, bogactwo się, komplikowanie wyodrębnionych od początku naszej literatury do dziś systemów wierszowych: zdaniowego, sylabowego, sylabo-tonicznego, tonicznego. Uzupełnione to jest problematyką prozodyczną, traktowaną (do rozprawy Turskiej) właściwie ahistorycznie, problematyką rytmu poetyckiego, rymów i trochę gatunków lirycznych (szczególnie konwencjonalnych np. sonety).

Teoretycy naszego wiersza przyjmowali bez dyskusji i naiwnie burżuazyjną tezę „jednego potoku w rozwoju literatury”. Wiersz miał się w ciągu dziejów bogacić i doskonalić, przede wszystkim przez komplikację, przez muzyczność dla muzyczności, przez łamanie regularności dla samego łamania porządku. Prowadziło to do zupełnie dowolnych i ahistorycznych przekonań, że tonizm i sylabotyzm jako późniejsze systemy wierszowe są jakoś doskonalsze od sylabizmu. Co ważniejsze jednak, panowało w nauce o wierszu przekonanie, że im bliżej XX w. tym wiersze są doskonalsze. Szczyt wersyfikacji polskiej to miał być Wypiański. Reakcyjna teoria „jednego potoku” nie pozwalała przypuścić, że okresom dekadencji klasy towarzyszy dekadencja jej kultury, literatury, poezji, rozkład wersyfikacji.

Stanowisko omawianych badaczy w sprawie wiersza całkowicie odpowiadało stanowisku reakcyjnych historyków w sprawie literatury w ogóle. Właśnie na podobnych zasadach Feldman opierał swoje twierdzenia, że literatura „młodopolska” to szczyt natchnień narodowych.

Ważyk jest właściwie pierwszym, który naszą dyskusję z Feldmanami, Kołaczkowskimi, Chlebowskiemi rozszerzył na teren wersyfikacji. Pierwszy wskazał, że poeci „młodopolscy” dawali często nie tylko literaturę dekadentką - burżuazyjną i antyrealistyczną, ale także — tandetną pod względem wersyfikacyjnym. Dawali wiersze skłócone z narodową tradycją poetycką, a nie przynoszące nic nowego poza igraszką techniczną dla samej igraszki.

Punkt wyjścia Ważyka jest głęboko przekonujący:

„Poezja narodu socjalistycznego przejmując poznawcze, ideowe, humanistyczne doświadczenie dawnej poezji narodowej, dziedziczy język nie jako surowy materiał, ale jako wykształcony instrument. Formy poetyckie nie powstały przypadkowo — przelatają się w nich uroda języka. Odrzucanie lub lekceważenie tego zasobu doświadczenia wersyfikacyjnego skazałoby poezję na życie awanturnicze i zdziżale. Zasklepianie się w gotowych formach, robenie z nich kanonu — tamowałyby rozwój poezji. Z tradycji można wyciągnąć nowe wnioski, ale trzeba ją dokładnie określić.

Wielka tradycja poezji jest równocześnie właściwą tradycją wiersza. Jedynie w oparciu o wielką tradycję można scharakteryzować wersyfikację polską, znaleźć trwałe kryteria oceny, określić zdrowe normy rytmiki. Sama prozodia polska i klasyfikacja wierszy wymaga połączenia dwóch czynników — rzeczywistego rytmu języka i tradycji wersyfikacyjnej.”

To ostatnie zdanie nie będzie zrozumiałe, jeśli nie zauważymy, że rozmaite teorie dają rozmaite klasyfikacje tego samego utworu. I tak na przykład wiersze, które Wójcicki uważał za różnomiarowe („Czasy” Mickiewicza), Siedlecki i Dłuska traktują jako jednomiarowe. Co ciekawsze, Ważyk wykazuje, że „Alpuhara” jest sylabowcową przepłatką Trembeckiego, jak wiele innych ballad Mickiewicza, kiecy Dłuska doszukuje się w niej „baroku sylabotonicznego”. Słusznej klasyfikacji nie można przeprowadzić, nie uwzględniając historycznego procesu dziedziczenia.

Norm dostarcza nam właściwe rozumienie dziejów poezji jako walki o realizm, wyjaśnianej i ocenianej z punktu szczytowego rozwoju realizmu, punktu osiąganego w drodze dziejowych doświadczeń, ale przecież krokiem rewolucyjnym, z pozycji realizmu socjalistycznego i jego estetyki. W rozwoju samego wiersza także musimy dojrzeć kierunki wstępujące i zstępujące, musimy powiązać te procesy z walką o realizm w poezji. Trzeba więc rozważać rozwój form wierszowych w ścisłym, przyczynowym związku poetyki każdej epoki, jej przemian i walk o wyraźnym przeciwieństwie społecznym.

Ocena historyczna, marksistowska samej poezji, ocena jej z punktu widzenia walki o postęp społeczny i postęp w sztuce pozwala nam wybrać właściwe historyczne kryteria oceny różnych form wierszowych. Według Ważyka należy się orientować na Mickiewicza jako na szczytowo osiągnięcie wielkiej tradycji. Wtedy spojrzymy inaczej na poezję staropolską i poezję wieku Oświecenia niż np. Feliński, który swoją wersyfikację traktował jako normę ogólną - historyczną, jako szczytowy punkt dojścia wiersza polskiego. Inaczej też anieli Dłuska i Zawadzinski spojrzymy na dekadencję wersyfikacji chylącej się do upadku literatury burżuazyjnej schyłku XIX i początków XX w.

Ważyk rozważa tradycję wiersza polskiego wychodząc od tych trwałych cech, które wierszowi naszemu narzuca struktura języka polskiego.

„Z pewnym przybliżeniem możemy powiedzieć, że rytm polski ma charakter amfibrachiczny - trocheiczny. Na tej zasadzie i na podstawie historycznego rozwoju kultury wiersza można przedstawić obraz rytmu polskiego w poezji”.

Zasadniczą zmianą w stosunkach prozodycznych języka polskiego ważną dla wiersza było zanikanie tzw. akcentu zestrojowego u schyłku XVIII w. Istnienie tego akcentu w staropolszczyźnie decydowało o stałym przestrzeganiu średniówki w wierszu sylabicznym. Naruszenie zaś średniówki stało się świadomym efektem, zdobyczą sylabowca romantycznego.

Walka o zróżnicowanie i wzbogacenie wiersza polskiego — to była ta sama walka dziejowa naszej przodującej literatury o nowatorstwo i postęp społeczny, o świadomość i wyzwolenie narodowe, o prawa ludu i aspiracje ludowe. W pięknym skrócie wyjaśnia Ważyk z tego punktu widzenia zasadnicze linie i kierunkowe rozwoju wiersza polskiego.

Staropolski etap w rozwoju wersyfikacji polskiej wiąże Ważyk z osiągnięciami Kochanowskiego.

„Poezja polska po Kochanowskim przejął jego ogólny model sylabowca, uprawiano jednak tylko niektóre formaty Kochanowskiego”.

Ważyk docenia przymet nie tylko dobrze utwalone, częste formy wierszowe Kochanowskiego, ale i jego wyjątkowe osiągnięcia:

„Trzeci Chór” Kochanowskiego to jeden z tych zawiązków poetyckich, które wpływają na ogólną kulturę rytmiczną - intonacyjną. Na tym polega jego niezwykła rola w naszej tradycji”. Jest to ważne dla pełni metody Ważyka. Jego pojęcie tradycji nigdy nie pokrywa się z prostą przewagą statystyczną jakiegoś formatu wierszowego, ale wymaga rzeczywistej interpretacji i oceny historycznej i estetycznej.

Przedstawienie staropolskiego dorobku wersyfikacyjnego jest zresztą uboczną sprawą omawianej książki, potrzebne jest po to, by przedstawić w pełny sposób stosunek Mickiewicza do tradycji wersyfikatorskiej, szczególnie staropolskiej, która w liryce czarnońskiej została trwale skarby naszej kultury narodowej.

Na przykładzie wiersza poezji Oświecenia ukazuje Ważyk wyraźne cechy swego nowatorstwa metodologicznego, analizując związek rozwoju wiersza z rozwojem literatury i życia społecznego. Uwydatnia przede wszystkim wpływ nowych instytucji kulturalnych, które powołał u nas początek doby nowożytnej, doby kapitalizmu, na język i jego dalsze doskonalenie. Instytucje te wpływają „na oszlifowanie języka”.

„Poezja Oświecenia w ogniu walki politycznej i społecznej dokonała wielostronnej próby sylabowca polskiego. Sylabowce zawarł w sobie całą skalę myśli i uczuć Oświecenia, pomiescił rozmaite estetyki”.

„Poezja polityczna wypowiedziała się najchętniej w trzynastozgłoskowcu, potwierdzając w nim najbardziej bezpośrednią formę rozumowej wypowiedzi wierszowanej” (str. 29).

Nowe treści ideologiczne zmuszają do przełamania sylabowca:

„...filozoficzna fantastyka Krasickiego pod postacią bajki obchodziła poetykę gatunkową, zaczęła przemycać dynamikę treści i formy, czerpaną ze źródeł ludowych, rozszerzać wyrwę, przez którą miała później wtargnąć z nowych pozycji ideologicznych Mickiewiczowskiego romantyzmu wyobraźnia, narracja, dramatyzm, moralność ludowa” (str. 34).

Poszukiwania wersyfikacyjne poety, są nieoddzielne od drogi jego poszukiwań ideologicznych. I te ostatnie stanowią o godności form wierszowych.

Wiemy, że Oświecenie nasze ma i okres plebejski u schyłku wieku. „Przed pieśnią polską w okresie Oświecenia — pisze Ważyk — stały nowe zadania rytmiczne... Zadania te podjęli poeci orientujący się na warstwy plebejskie”.

Tacy poeci jak Jasiński tworzą świadomie typ rytmiczny pieśni prawie wolnej od transakcentacji na wzór niektórych pieśni ludowych.

Nowatorstwo rytmiczne — wiąże się tu wyraźnie z polityką, z plebejską postawą ideologiczną poety.

„Nie jest to wcale przypadkiem — pisze Ważyk — że poeta i żołnierz, który nie był ani uczonym prozodystą, ani melomanem, otwierał zwyciężającym polskiemu ludowemu drzwi do sylabotonyki pieśniowej...” (str. 55).

Świetny rozdział «Artysta „mechanizmu”» ukazuje ograniczenie wersyfikacji polskiego Oświecenia wraz z upadkiem i uwstecznieniem jego ideologii na początku XIX w., gdy pseudoklasycy polski stanął na usługi kolejno reakcji napoleońskiej, monarchizmu, ugody z cara-

tem, w okresie, gdy rodziła się antyfeudalna walka narodowo-wyzwoleńcza.

Epigoni Oświecenia „urobili sobie estetykę dworską, arystokratyczną...” Ich teoretyk i główny poeta Feliński „stworzył sobie fikcję „mechanizmu” sylabowca, który miał się powoli udoskonalać od czasów zymuntowskich przez Krasickiego i Trembeckiego”. Ten mechanizm składał się „z rymów i średniówek”. Troska o wiersz Felińskiego, to troska o doskonalenie „mechanizmu”, tropienie niedokładnych rymów, poskrabianie przetrzniętych, warty przy średniówkach. Martwe i drobiazgowo efekty. W najlepszym razie „przemysłowa konstrukcja sztucznie rozbudowanego zdania...”

Z tym wszystkim, z tą epigońską estetyką walczyli wielcy romantycy.

„Nie ma tu miejsca na miarowy rozwój „mechanizmu” od czasów Kochanowskiego do Trembeckiego, ani perspektyw dalszego mechanicznego rozwoju. Sprawy dzieją się na terenie wielkiej estetyki — narodowej” (str. 68).

Mickiewicz, Słowacki — od których Ważyk dobrze odróżnia drugorzędnych romantyków — nawiazali twórczo do staropolskiej tradycji wierszowej:

„Odbicie rzeczywistości i wcale nie idei zawsze góruje nad wpływami literackimi, ale poeta nie pracuje bez wzoru. Złazcza w poezji wzory rodzim: przenikają silniej niż jakiegokolwiek inne” (str. 70).

Nowatorstwo ideologiczne romantyków wyrażających dążenia rewolucji szlacheckiej, pośrednio plebejskie aspiracje roządczych się ruchów społecznych znajdowało swój wyraz w nowatorstwie treści literackich, w odkrywczości literackich gatunków romantycznych, w nowej poetyce i nowej wersyfikacji.

„Ballada — nowy rodzaj literacki, mała forma liryczno-dramatyczna — podkopała estetykę klasyczną. Autora Ballad i romansów przestawili obowiązywać nie tylko przegródki gatunkowe w drobnych utworach, ale nawet rozróżnienie wielkich gatunków — epiki i dramatu...” (str. 72). „Zrywając więzy estetyki pseudoklasyckiej Mickiewicz przestał się liczyć z jej kategoriami wersyfikacyjnymi. Konrad Wallenrod jest pierwszym poematem polskim, który nie ma jednorodnej formy wiersza. Poczynając od Ballad i romansów Mickiewicz mieszał rozmaite formaty. Rozwijał wiersz nieregularny, potem zestawiał go z regularnym” (str. 73).

Mickiewicz korzysta ze swobodnej, obecnej doskonałości „mechanizmu” Felińskiego, staropolskiej rozbudowy zdania w wierszu Kochanowskiego i Szymonowicza, ich swobody intonacji na tle ustalonego modelu wierszowego.

Mickiewicz nawiązuje do autentycznych zrodzonych w walce o realizm tradycji poetyki i wiersza XVIII w.

Mickiewicz wreszcie pełniej niż dotąd sięga do skarbow poezji ludowej.

Do poezji Mickiewiczowskiej wdziera się sylabotyzm pod wpływem poezji rosyjskiej, wyrosłej ze swoistej struktury prozodycznej języka rosyjskiego. „Opanowanie sylabotonyki miało decydujące znaczenie dla kultury pieśniowej”.

Lecz jak trafnie zauważa Ważyk, gdy Mickiewicz pieśniom nadaje ostry kontur rytmiczny — rytm jambiczny wchodzi w konflikt z główną tendencją naszego rytmu językowego, amfibrachiczno - trocheiczną. Jamb w polszczyźnie otrzymuje „dodatkową silną energię, która się szybko spala”. Tak można pisać tylko krótkie wiersze. Długie poematy polskie są sylabiczne. I to decyduje o roli sylabowca w innych poezji Mickiewicza umiejętnie i zgodnie z tradycją narodowej poezji, poezji walczącej kojarzy odziedziczone i rozwinięte przez siebie obyczaje rytmiczne z nowym sylabotonicznym instrumentem. Kierunek tych odkryć determinuje potrzeby poetyckiej walki rewolucyjnej, walki społecznej, nowe treści ideowe:

„Dziady drezdeńskie przyniosły nowe zastosowanie i równocześnie uogólnienie sylabotonyki.

Dramatyczne widowisko Działów rozwijało się wraz z wypadkami historycznymi. Powstanie listopadowe przekształciło Gustawa w Konrada. Konflikty romantyczne kobieństwo - wileńskie przerosły w dramat narodowy. Równocześnie rozszerzyła się kompozycja, stała się dramatycznie - epicka. Rozrosła się w rzecz wielostronną, w której mięci się i epos, i oratorium dramatyczne. Dawne chóry grają na nowych instrumentach wersyfikacyjnych, a równocześnie chóry te mają najstarszą tradycję polską” (str. 109).

Ważyk w dłuższej analizie przekonywająco uzasadnia powyższe tezy (str. 110-113).

W epoce dojrzalszej Mickiewicz zespała wreszcie swe doświadczenia, tworzy typy wersyfikacyjne (Gdy tu mój trup...) „na skrzyżowaniu sylabowca i wiersza wolnego, na skrzyżowaniu sylabowca i sylabotonyki”.

„Wielką różnorodnością rodzajów i form Mickiewicz zaświadczył, że

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Gdy mrok nad krajem nawisł, jakże tu nie gasnąć?
Jak przydać mowie czystą czarnoleską jasność?
Jest ciemno i ta ciemność wsiąka w rękopisy,
I słowa są niejasne jak mroczne cyprysy,
Tym ciemniejsze im dalsze od ludu i kraju.
Jest noc, noc wielkiej klęski, noc nieurodzaju.

Rok sześćdziesiąty trzeci. W lasach trwożne sarny
Przez splot gałęzi patrzą na powstańców czarnych
Od prochu. Z drzew niekiedy spać na armaty
Płatki śniegu, jak białe, bardzo smutne kwiaty
I ktoś w domu przy lampie niespokojnie czeka
Na list, co jak jaskółka przyfrunie z daleka,
A lud, który o wolność kraju walczy w lasach,
Wyczekuje nowego ludowego hasła.
Chaty od dworu dzieli lodowata przepaść,
Jasnawrocza nieufność i nienawiść ślepa.

Takie są wieści z kraju. Jeszcze miłość dodaj
Nieszczęśliwą i ciemną jak jesienna woda
I samotność, co wszystkie dni i noce gmatwa,
A pojdziesz, czemu w słowie, jak w studni, brak światła,
Kłaniać się protektorom możnym — cóż za męka!
Grosz wyżebrany staje się pokrzywą w rękach,
Gdy garździ żebranią dumną jego praca
Niezapłacona, którą mu wydawca zwraca.
Tam, gdzie wyzysk człowieka rani najboleśniej,
Ten sam wyzysk odbiera głos tłumionej pieśni
I zaciemnia ją cieniem swej więziennej kraty,
A wtedy słowa pieśni są jak czarne kwiaty.

Niekiedy tylko wiersze wymkną się ciemności.
Kiedy bunt zabrzmi w słowie, ono się uprości.
W nieosobistej pieśni ciemnych rysów nie ma,
Jasne słowo za czarną pójdzie trumną Bema,
Nad Browna szubienicą błysnie jak lećca
Mewa, co niesie w dziobie prócz promieni słońca
I gromy dla tych Stanów Zjednoczonych, które
Własną wolność mordują szubienicznym sznurem,

Paryż, Paryż! Płomienny Paryż Robespiera!
O bolesna ironio! Cóż w Paryżu teraz?
Biała chorąb Szopenom, biada Mickiewiczom!
Nowobogacy w domach brudne złoto liczą
I zagłuszają błogo im dzwoniącym frankiem
Całą w nędznych lachmanach, chudą Marsylianek!
Ta ciemność, co w zawiłych rośnię poematach,
Nie przychodzi z powietrza. To jest ciemność świata.
Klawisze pod palcami Szopena ciemnieją
Tą samą bezzadnością, śpiewną beznadzieją.

Bywa tak, że się przysiągną w Paryżu Łazienki
I zmierzchni jasienny czysty, chłodny i tak miękki
Jak wspomnienie dzieciństwa i kraju wspomnienie.
Wówczas słowa przychodzą jak dalekie cienie,
Jak muzyka zgłuszona, jak ptaki odbite
W zamglonym, wielkim lustrze wraz z warszawskim świtem.

Samotność, co złamała ster, maszty i wiosła,
Nie ujrzysz robotników, lecz ludzi rzemiosła.
Patriarchalną pracę ujrzy rzemieślnika
I w słowie, jak w warsztacie, czule ją zamyka,
A mistyka obrazu kościelne przywoła
I postawi nad pracą białego anioła,
I zapatrzona w pustę otchłani wieczności
Rychło oddzieli piękno od użyteczności,
Jakbyś deszcz urodzajny oddzielił od tęczy.
Ujrzy świat jest ciemny. W słowach ciemność dzwicy,
Nadciąga noc ogromna, noc z twarzą Murzyna!..

Kiedy słowa zawodzą, to przychodzi inna
Cicha Muza, gardząca słowami, bogini
Barw rozrzuconych i ścisłych, harmonijnych linii,
I polotnymi stopy depcząc wszystkie słowa,
Przemawia obrazami — natchniona niemowa.
Wtedy duch pełen troski i głuchej lęku,
Jak człowiek ciężko chory, ucieka od dźwięku
I kładzie się na oczach cały ciężar świata,
Jak lipcowe upały na znużonych kwiatach.

Jest noc paryska. Dom Świętego Kazimierza
Dach swój chmurom, a okna ciemności powierza.
Jest samotność przy świecy, kęś chleba na stole,
Pióro w dłoni i cienie liryki na czole.
I nagle, gdy o ludzkiej własnej nędzy pisze,
Słowa stają się jasne, człowiekowi bliższe,
Muza otwiera c'cmne, zatrzaskane wrota,
Przez które wchodzi wielka ludowa prostota,
Jasna jak kołysanka przez chłopkę śpiewana,
Kiedy miesiąc do chaty wnika z wionią siana,
A wieczór poprze: sennie szmery głos jej niesi
Po stawach i ogrodach, po łąkach i lesie.

Nagie, zgubione w mroku i równie samotne,
Jak on przy swoim stole i jak wiatr za oknem,
Gałęzie drzew za szyba, jak narysowane,
Wyrastają nad śniegu paryskiego pianę.
Wtem jakby się zielenią, choć wyje zawieja.
Ich zieleń — w prostych słowach zawarta nadzieja,
Wyjście z ciemnego słowa, które musi zgasnąć,
W tę, która nie oślepia, czarnoleską jasność.

*) Adam Ważyk: „Mickiewicz i wersyfikacja narodowa”. Czytelnik, Warszawa, 1951, str. 144.

(Dokończenie ze str. 5)

WILHELM SZEWCZYK

ZYCIORYS CZŁOWIEKA I EPOKI

nasza wersyfikacja jest systemem otwartym. Mickiewicz wyciągnął z tego faktu ostateczne konsekwencje artystyczne. Forma wersyfikacyjna stała się kwestią przemyślanego wyboru. Żaden poeta polski nie był tak wolny od inercji wersyfikacyjnej jak on, żaden zresztą nie wkładał tyle ambicji w zespolenie formy z treścią. Doświadczenie Mickiewiczowskie, częściowo uzupełnione doświadczeniami Słowackiego, nie stwarza kanonu — byłoby to sprzeczne z otwartym systemem wersyfikacji polskiej, natomiast daje nam podstawową orientację. W poezji Mickiewicza trzeba widzieć nie tylko poszczególne formy, ale i proporcje, w jakich występują, nie tylko schematy, do których można albo nie można nagiąć wiersza Mickiewiczowskiego, ale przede wszystkim główne cechy jego wersyfikacji, jego ujęcie rytmiki polskiej. Wreszcie — pamięta trzeba, że była to rytmika związana z ogromną odpowiedzialnością za słowo, zawsze posłuszna tematowi, treści, pulsom uczucia" (str. 116).

Gdy spojrzymy z trafnie historycznie wybranych osiągnięć Mickiewiczowskich na rozwój poezji i szczególnie wersyfikacji polskiej, odsoniemy nam się właściwe linie narodowej tradycji wersyfikacyjnej. Zobaczymy jej historycznie, poprzez konkretne poetyki — wyraz społecznych dążeń — uwarunkowane wzrastanie w dobie staropolskiej ze szczytami osiągnięć Kochanowskiego, ujrzymy twórczy wkład do tej tradycji realizacyjnej poezji reformatorskiej Oświecenia. Z tej właściwej perspektywy dojrzymy i zrozumiemy regres pseudoklasycyzmu. Z kolei zaś to historyczne kryterium — wersyfikacja Mickiewicza pozwoli nam ocenić właściwie stosunek narodowej tradycji wersyfikacyjnej i kierunku rozwoju wersyfikacji poetów pozytywizmu i poetów burżuazyjnych piszących w dobie imperializmu. Ten ostatni kierunek będzie wyraźnie zstępujący, dekadentcki. Wazek subtelnie wyróżnia tu wyjątkowe osiągnięcia Konopnickiej (w innych zakresach dostrzeżone trafnie i przez Długą).

"Otwarty system naszej wersyfikacji po Mickiewiczu, system, w którym nie słychać było wyraźniejszych dyktatów języka, stał się wystawiony na zmienną grę upodobań artystycznych, a wraz ze schyłkiem kultury burżuazyjnej upodobań i kierunek rozwoju wersyfikacji poetów pozytywizmu i poetów burżuazyjnych piszących w dobie imperializmu" (str. 116).

W dobie imperializmu poezja burżuazyjna „zeszła na „nastrojowość”, wprawki rytmicznej”. Pamiętamy przesadne słowa Verlaina'a o muzyce wiersza! „Obsesja rytmu zagłusza słowa, pojęcia, myśli”. Z Wazką jesteśmy na przeciwległym biegunie ocen aniżeli Feldman i nasi tradycyjni badacze wiersza, entuzjaści „swobody i rozmachu” Wyspiańskiego. To „ścisłe” wibracje biegun. Usadźmy te oceny i historyczną wiedzę o literaturze burżuazyjnej początków XX w., i umiejętna historycznie prawdziwa konstrukcja pojęcia wersyfikacji narodowej, której dokonał Wazka.

Książka Wazki imponuje inteligencją, szerokością horyzontów, trafnością subtelnej obserwacji i głębokim pojmowaniem materiału poetyckiego. Nowatorstwo metodologiczne tej książki, umiejętne zastosowanie nowoczesnych, materialistycznych metod historycznych do badań nad wierszem wywodzi ten dział nauki o literaturze — co tu gadać — ze ślepej ulicy.

O wierszu pisano w Polsce książki gruntowniejsze, ale Wazka napisał nareszcie książkę żywą. Książkę, która każdym wierszem wspógra z naszą walką o kulturę socjalistyczną, narodową formę dla socjalistycznych treści literackich.

Stefan Żółkiewski

ZOFIA BYSTRZYCKA

TWÓJ OJCIEC

Zosi O

Tamto miasto jest płowe od pyłu.
Niebo w nim drapią cienkie kominy,
Wagony z węglem grają na szynach.
Ziemia jest żyzna i rodzi siłę.

W tamtym mieście, jak wszędzie, gdzie chcecie
Zielony półmrok na oknie siada,
Ciężkich gawronów szybuja stada
I patrząc w okno, czekają dzieci.

Skończone lekcje, zamknięte książki,
Żółte tramwaje brzęczą na dole,
Lampa jak księżyc zesza nad stołem;
Światło zmieniło w warkoczach wstążki.

Chwile są długie, godziny ciemne,
Wieczór się szaleńcem dymów owinał,
Sen ujął w dłonie główkę dziecinną
— Snami czekanie skróci daremne.

*

Placzą się cienie pękających sprzętów,
Noc niewyspana blednie za oknem.
— Wstajesz od biurka i szarym wzrokiem
Widzisz świt wczesny w drzwiach Komitetu.

Piasek rysuje kroki na dróżce,
Tamtym spraw jeszcze pełna jest głowa.
Sekretarz Partii wszedł. Klucze schował,
Patrzy w uśpioną twarz na poduszeczce.

Węzki włosów zeszyły na czoło,
Ojciec je lekko ręką poprawia;
Ma ciepłe oczy, gdy postanawia:
„Odprowadzę ją jutro do szkoły!”

Georg von Giesche zaczął od handlu sukniem. Wkrótce dorobił się znacznego majątku, uchochodząc we Wrocławiu za najlepszego znawcę towarów sukiennych. Marcin Wieczorek, ojciec Józefa, od najmłodszych lat pracował na kopalni. Nie dorobił się żadnego majątku, stracił zdrowie i siły. W tym czasie, kiedy Marcin Wieczorek pochylony biegnął do pracy, w pięciu wiliach Gieschego dopiero gasiły światła po wieczornych przyjęciach. Spadkobiercy Gieschego, wychyliwszy ostatnie kieliszki, zasiadali przy biurkach i liczyli, ile zarobili na minionym dniu. Kopalnie i hutę należały do nich, hrabiowie i księżta kłaniali im się z wysokich kolasek, imię Gieschego równało się z imionami książąt Pszczyńskich, Ballestremów i Donnersmarcków.

W roku 1881 spadkobiercy Gieschego kupują dziewięć dalszych pól węglowych na terenie Szopieniec, Różdzenia i Janowa. Skonsolidowana kopalnia nazywają imieniem swego dobroczyńcy, założyciela i twórcy fortuny — Georga von Gieschego. W tym samym czasie Marcin Wieczorek pilnie uczy się na zebraniach socjaldemokratów w Świętochłowicach. Jest to czwarta z kolei grupa socjaldemokratyczna na Górnym Śląsku, przeciwko której — tak jak w Zabrze czy Królewskiej Hucie — rząd mobilizuje wszystkie antysojalistyczne i antydemokratyczne towarzystwa, grupy, upodobańca, nastroje.

Różnie bogactwo Gieschego, strzelają pod niebo kominy, wydłużają się wykazy dochodów. Kilka tysięcy hektarów płonej, skąpo obsianej trawy ziemi pokryły już własności Gieschego. Marcinowi Wieczorkowi wkrótce jednak wystarczy tylko tyle ziemi, ile jej potrzeba na okrycie ciała.

10 września 1893 żona Wieczorka z domu Knapik urodzi w Lipinach syna. Dadzą mu imię Józef. Dzieciństwo Józefa potoczy się wśród takich samych hałd, na takich samych czarnych, brudnych podwórkach, w takie same przymgłone ponure dni, co dziesięć lat temu jego rówieśnikom. Słuchał będzie wysokich syren, zwiastujących długimi, beznadziejnymi tonami śmierć towarzyszy na dole lub strajk. Krótkie urwane dźwięki zwolnają będą do pracy tych wszystkich, którzy zdołali przeżyć jeszcze jeden dzień, jeszcze jedną noc, jeszcze jedną zsyche. Wczesnie Józef Wieczorek pójdzie do pracy. Jako maszynista przebiegał będzie aleje i ścieżki kopalni Giesche. Czujny i skupiony, zacięty i milczący — podobaj się będzie wszystkim, którzy podobnie jak on odczuwać będą swoją ciężką, niewolniczą dole, żalować będą swego trudu — dla spadkobierców wrocławskiego kupcy.

— Zeflik — szeptać mu będą na ucho towarzysze — wiesz, co się zdarzyło na „Kleofasie”? Czternastu przyniośli. Dziesięciu na śmierć. Tak!

— Zeflik — usłyszy innego dnia — w Chebziu już są strajkują. Ułani byli na koniach. W Rudzie policja pobita Kubiczka. Znasz go przecież? No ten...

— Zeflik!... Zeflik!... Zeflik!...

Stanie się kronikarzem buntu, pamiętując wszystkie te wydarzenia, o których informować go będą to-

warzysze, widząc w nim chłopca mądrego i czujnego.

Przyjdzie wojna. Dojdą go głosy z Berlina. Ścigane przez zandarmów, dotrą aż tu do Janowa. Waffen nieder! Wir wolen keinen Krieg! Będą to głosy robotników Berlina i innych miast niemieckich. Z nich zrodzi się później Spartakus, organizacja bojowa niemieckich komunistów.

Ale Spartakus pojawi się również i na Śląsku. W Zabrze spotka się Wieczorek po raz pierwszy z ludźmi, którzy mówić będą tym samym co i on językiem, choć myśli swoje formułować będą po niemiecku. Z tych zapalań i nadziei, z tej gorącej atmosfery przemiany, z tej zorganizowanej już wyraźnie woli walki — zrodzą się oddziały powstańców.

W małej grupie powstańców, wyruszających z Janowa na punkt zborny w Szopienicach, znajdzie się również i Józef Wieczorek. Opatany jak wszyscy jego towarzysze wojskowym pasem, czyli kopłą, przyniesioną przez kogoś z frontu, z patron-tasami, wypięcionymi złośliwymi nabojami, z karabinem przewieszonym zawadliwie przez ramię.

Od Bytomia bita droga
różami wysadzona...

— mówi powstańcza piosenka. Ale już na drodze do Bytomia natkną się na patrol zandarmów, a nieco dalej ku Odrze, jak wiadomo, przyjmą powstańców Freikorpsy, pancerniki i armaty.

Już w tych latach zapisa go nie raz protokolami policyjnymi jako den beruechtigen Hauptagitator namens Wieczorek. Śląsk pokryje się czarnymi chorągiewkami, zwiastującymi strajki. Spadkobiercy Gieschego, wypłoszeni ze swych wili, oczekiwali będą we Wrocławiu na szczęśliwszą sposobność powrotu na Górny Śląsk.

Łata powstań dla Wieczorka będą najgorętszymi latami pierwszych starć ze zleniawionym kapitałem. On to najprawdopodobniej będzie autorem lub przynajmniej współautorem słynnej odezwy powstańców do robotników całego świata. Bracia nasi we wszystkich krajach! — odezwy się mocnym echem. — Robotnik górnośląski pod żadnym warunkiem nie zezwoli na to, by zrobiono z niego przedmiot przetargów dyplomatycznych i wszelkimi środkami wymusi uszanowanie swej woli, wyrażonej przez plebiscyt. Nieposzanowanie woli ludu robotniczego oznacza zank zupełny produkcji węgla i żelaza na Górnym Śląsku, bo lud ten odmówi dalszej pracy i zdecydowany do walki na życie i śmierć raczej zniszczy wszystkie kopalnie i hutę!

2

Minęły już tygodnie i miesiące od chwili, gdy generał Szeptycki wjechał uroczystie na Górny Śląsk. Z wysokości swego białego konia nie dostrzegł wielu rzeczy. Oficerowie generała Szeptyckiego wypili wszystkie koniaki w szynkarniach Katowice, a kiedy brakło koniaków, zaczęli strzelać do luster i szub. W jednym z szynków Katowice zastrzelono w ten sposób powstańca, robotnika Franciszka Świdra. Kiedy się zwał na ziemię, z kieszeni jego kurtki powstańczej wypadł skromny tomicek wierszy i pieśni, wydrukowany w Miechowicach. Autorem jego był — Franciszek Świder.

Wieczorek nie dał się zamordować przez pijanych oficerów legionowych. Jeszcze nie usunięto z ulic Szopieniec bram triumfalnych, jeszcze nie zdążyły spłowieć białe i amarantowe pasy na szlabanach powitalnych, a już zaczęły się kłopoty, już zaczęła ludzi siadać bieda. Wieczorek, wybrany przewodniczącym Rady Zakładowej na swojej kopalni, coraz ostrzej zaczyna domagać się praw, które obiecywano. Dyrektorami na kopalni są Niemcy, a jeśli nawet dodano im inżyniera Polaka, to przeważnie takiego samego łobuza, który dotykając końcem rekawiczki rekawa górnika cedził przez nos: Słuchajcie, Koźlik, nie podobacie mi się... Spadkobiercy Gieschego kursują pospieszonymi pociągami między Katowicami, Wrocławiem a Berlinem. Nazwisko Wieczorka krzyżuje się w rozmowach między nimi a Warszawą.

Bo Wieczorek w tym okresie to nie tylko przewodniczący Rady Zakładowej kopalni „Giesche”. To także współtwórca Komunistycznej Partii Polski na Górnym Śląsku.

Dyrektor Lange ze spółki Gieschego oświadcza na zebraniu Spółki:

— Najgorszy jest Wieczorek. Trzeba go wykurzyć z kopalni. Zetrzeć z powierzchni Śląska. Oto nasze zadanie.

A jakie są zadania Wieczorka? Suchy, z wychudłymi policzkami, z zapadniętymi głęboko oczyma jeździ to na rowerze, to tramwajem, to pociągami od miasta do

miasta. Między Szopienicami a Rudą widać codziennie prawie jego pochyloną postać, zatłuszczoną czapkę, ostrą zdecydowany chód.

W Polsce panują rządy Chjeno-Piasta. Generał Szeptycki, który na białym koniu wjechał na Śląsk, uchodzi za zdrajcę i łotra. W warszawskim „Głosie Opozycji” (oczywiście nie tej, którą montował Wieczorek) nazwał hr. Szeptyckiego po austriacku cynicznym, oraz „proszę wybaczyć, chame!” Wciąż jednak imiona Szeptyckiego zdobią narożniki ulic śląskich, a w Bielsku nadgorliwcy chcą mu zbudować pomnik. Mnóstwo się zdrada interesów robotniczych. Szaleje straszliwy kryzys, a policja utrwała żrący władzy, uganiając się za strajkującymi, pałkami i kolbami rozbijając głowy robotnikom Katowic, Szopieniec, Chebzia, Janowa. Poza Komunistyczną Partią Polski na Górnym Śląsku — działają następujące partie:

Polska Partia Socjalistyczna, Narodowa Partia Robotników, Chadoja, czyli Partia Korfantów, SPD, czyli pravicowa niemiecka partia socjalistyczna.

Wszystkie związki zawodowe łączą się w t. zw. Zespół Pracy. Ale na szczęście istnieją i działają wśród straszliwego terronu wolne związki zawodowe, będące pod wpływem KPP. Tutaj, na tym terenie śledzić możemy dalszą działalność Józefa Wieczorka.

Jest lato roku 1923. Sytuacja wymaga działań skonsolidowanego, jednokierunkowego. Toteż Wieczorek organizuje słynny jednolito-frontowy Komitet 21. Krcnika walki, jaką stoczy Komitet 21, jest w większej części kroniką walk samego Wieczorka. 5 października 1923 Komitet 21 proklamuje strajk generalny. W siedem dni później po zebraniu na kopalni Giszowice policja aresztuje Wieczorka. Nie jest to jego pierwsze spotkanie z więzienną celą. Ale klasa robotnicza umie bronić swych przywódców. Tysiące robotników pod zakratowanymi okienkami — to ma swoje znaczenie. A więc znowu wolność. Na krótko. Ale za to w trzy dni później przed gmachem województwa w Katowicach odbędzie się demonstracja, o jakiej dawno nie było słyhać.

Już z rana ze wszystkich okolic suną do Katowic tłumy pochody. Z samego Janowa dziesiąte tysięcy ludzi, kobiety i dzieci na przodzie, inwalidzi kuszykującą wózką się na końcu. Policia konna i piesza weszły na skrzyżowaniach dróg. Opadają gwałtownie słabawo, przy których kiedyś pobierano myto od przejeżdżających furmanek. Gdy zabrakło drogi, gdy nie pozwolono iść ulicą — ludzie poszli polami, hałdą, brnęli przez mokradła i krze. Z Królewskiej Huty, z Zalegą i Zawodzia. Z Szopieniec. Z Małej Dąbrówki. Z północy i zachodu, z południa i ze wschodu. Cztery robotnicze strony świata, naradowane jak chmury elektryczności, zebrały się przed zimnym, brudnym gmachem urzędu. 50 tysięcy ludzi!

— Towarzysze! — grzmiało z przodu. — Towarzysze, nie rozjeżdżmy się, dopóki...

W gmachu za szczerline zamkniętymi bramami stali przedstawiciele władz i kapitału. Ręka w rękę, a raczej cylinder w cylinder, bo cylinder nadożyli na głowy, jak na pogrzeb swojego wspólnego krewnego.

Spadkobiercy Gieschego także byli reprezentowani. Od 1922 ich kopalnie były już wspólną własnością niemiecko-amerykańską. Ale co im tam nierodowość. Najważniejsze, że praca była polska.

Potęny wlec miał swój cel, swoją polityczną rację, swoją logikę. Przedstawiciele Komitetu 21 z Wieczorkiem na czele weszli do gmachu. Panowie w cylindrach czuli się tutaj bezpiecznie. Z okien wglądały na plac lufy karabinów. Policja otoczyła robotników.

W piętnaście minut później już rozeszła się po placu niasie: Wieczorek aresztowany! Nasi przywódcy zdradziecko aresztowani! Teraz dopiero ośmieliła się policja. Przypuściła szturm do tłumy. Ale tłum oparł się. Krzyczał i wygrażał pięściami. Zmierzył już czerwonymi jarzyl się nad dachami, kobiety otulały dzieci przed chłodem. Inwalidzi postukiwali groźnie protezami, gotowi raczej umrzeć niż opuścić ten plac bez rezultatu.

Późnym wieczorem jeszcze raz otwary się bramy gmachu. Wieczorek i jego towarzysze opuścili gmach. Zorganizowana wola zgromadzonych uolnili ich. Tylmy wyjściem wymknęli się z gmachu delegaci spadkobierców Gieschego i autami pomknęli do swoich wili, by stamtąd przekablować do Warszawy i Berlina, a poprzez Berlin dalej, do Nowego Jorku: Wieczorek i komuniści na razie górą. Co robić?

Jakoż mogła nadejść odpowiedź z Warszawy, z Berlina i z Nowego Jorku? Tyle razy jeszcze gonici będą z Wieczorkiem policjanci. Dyrektorzy kusiąć go będą miszkami i pieniędzmi. Prawicowi so-

cjaliści — denuncjować i prowokować. Komitet 21 — aż do 24 lipca 1924 roku, kiedy to na jego wezwanie zastrajkuje 120 tysięcy robotników Górnego Śląska, a on sam raz jeszcze w pełnym składzie powódzuje do więzienia, dbać będzie o nowe, zwycięskie formy walki proletariatu, a wypracowawszy metodę, nauczy się rozpowszechniać ją, tak jak w dniach głodu rozpowszechnia się chleb.

3

Więzienia Wronek i Katowic to dalsze etapy walki Józefa Wieczorka. W roku 1927 wraca z więzienia na Śląsk. Wybrany posłem do Sejmu Śląskiego z listy Jedności robotniczo-chłopskiej (zakonspirowana lista KPP) nauczy się walczyć słowem — przemówieniem i celnym argumentem politycznym, tak jak dotąd cały czas walczył czynem. Wojewoda Grażyński unosząc się na palcach nie raz wskazywał na drzwi, woźni sejmowi będą usiłowali wyrzucić go z sali, gdy słowo jego zaudni zbyt mocno, ale on sam, wciąż czujny i nieugięty, poprowadzi walkę dalej. W aktach Wydziału Śledczego w Katowicach z roku 1930 oskarża się go o to, że zapowiadał zwycięstwo klasy robotniczej, przy czym zapewniał zebranych, że maszy robotnicze posiadają wiele sił do dalszej walki o zwycięstwo (akt z dn. 11 lipca 1930, l. dz. 8320-IV-30).

W akcie z dnia następnego zapamiętana zostanie jego nieugięta postawa internacjonalisty. Albowiem Józef Wieczorek, jak cytujemy, jako poseł na Sejm Śląski urządził dnia 30 czerwca br. o godzinie 7.15 nielegalnie masówkę przed kopalnią „Kleofas”, podczas której podburzał masę do walki klasowej oraz wychwalał stosunki panujące w Rosji Sowieckiej, gdzie istnieją rządy robotniczo - chłopskie...

— Won z tej sali, wy chamie! — krzyknął pewnego razu wojewoda Grażyński, gdy przemówienie Józefa Wieczorka obnażył całą podszewkę ucisku i korupcji, stosowanej przez rząd. Ostatecznie Sejm Śląski stworzono nie dla robotników śląskich, ale właśnie dla takich Grażyńskich, by mogli się tutaj wyżywać i zaprowadzać swobodnie polityczny system gwałtów i ucisku. Podjechało wówczas pod gmach Sejmu Śląskiego małe auto więzienne, ale wkrótce pod więzieniem na ulicy Mikołowskiej zaczęły się gromadzić tłumy. 20 tysięcy robotników zmusza Grażyńskiego do uwolnienia posła Wieczorka z więzienia. 20 tysięcy górników formuje pochód, by na ramionach waleń posła Wieczorka do sali Sejmu. Takich manifestacji dawno znowu nie widziały Katowice.

Oczywiście pośpieszyli się telefonistki, by to wszystko przekazać do Warszawy. Przyjeżdża trzydziestu szpicłów i po następnym posiedzeniu Sejmu Śląskiego Wieczorek przestał być posłem. Sejm rozwiązano. W procesie wytoczonym szybko, skazuje się go na trzy lata więzienia.

Na dworcu katowickim było tłoczno i duszno. Perony zaroily się od podróźnych, gdy boczym wejściem wprowadzono na peron do pociągu poznańskiego więźnia Józefa Wieczorka. Zanim nadjechał pociąg, Józef Wieczorek był wolny. Tłumy na peronach wciśnięły się między niego a grupę policjantów. Policjanci omal nie wpadli pod koła nadjeżdżającego pociągu.

Następnego już dnia widzimy go w Zabrze wśród towarzyszy z niemieckiej KPD. Znają go tutaj tak samo jak po polskiej stronie Śląska. Znają go z czasów powstań, z okresu judy Spartakusa gromi na Śląsku junkrów i podstawił nogi Freikorpsom. Z kim się spotyka w tym czasie? Z którymi niemieckimi komunistami? Czy jest we Wrocławiu, czy zajęzda do Berlina? Nie mamy na to dowodów. Ale że gromadzi dalsze doświadczenia do walki, to prawda. We Wrocławiu spadkobiercy Gieschego kłócą się o podziały. Godzą ich Amerykanie, zagarniający coraz większą ilość dewiz. Wieczorek dowiaduje się o tym z gazet robotniczych. Ma oko zwrócone bez ustanku na Janów, na Katowice, na towarzyszy z KPP. Ale i na — Wrocław, na Berlin i Nowy Jork, na Warszawę, na te wszystkie ośrodki międzynarodowego kapitału, skąd idzie dalszy ucisk.

Gdy zdecydował się wrócić do Polski — w Niemczech zapanuje już faszizm. Ostatnie pożegnalne uściski towarzyszy z KPD są serdeczniejsze niż zwykle. Obóz koncentracyjny w Dachau rozpoczął produkcję więźniów politycznych. Komuniści staje się synonimem diabła. Heil Hitler!

Ma szczęście do dworców. Bo w Niemczech wszystko idzie gładko, ale w mieście zostaje rozpoznany i w błyskawicznym procesie skazany na 7 lat więzienia. W Rawiczu zastaje go wreszcie 1929. Wywalone bramy więzienia zapraszają na wolność. Na wolność? Szosami idą czołgi

hitlerowskie. Maszeruje w jednej grupie z Marianem Buczkim i Alfredem Lampe. Ku dalszej bezpardonowej walce.

4

Trudno zapomnieć Śląsk z tych lat. Zdrada i gwałt sąsiadowały z sobą tak blisko, że trudno rozemnać się było w prawdziwym oliczu ziemi i człowieka. Gdy Wieczorek przyjechał do Katowic, wszędzie języcze trzepotały tu znieprawione faszystowskie chorągwie, wszędzie jeszcze strach zamykał usta najodważniejszym. Zanim pierwsza fala terronu minie na Śląsku, zanim obudzi się pierwsza uciśniewiona kłęska odwaga, Wieczorek, omal nie zdradzony, uchodzi stąd do Warszawy. Ale postanawia wrócić tu wkrótce, zwłaszcza że towarzysze proszą go o to, służyć kwaterami i pomocą.

Od tego czasu miną lata najważniejsze. Z Nowotką, Finderem i Fornalską przystąpi do zmontowania Polskiej Partii Robotniczej. W rocznicach Partii jego imię świecić będzie tą samą nieklamaną odwagą, tą samą bystrą inicjatywą, co imiona jego wielkich towarzyszy. Ten sam — suchy, z zapadniętymi policzkami i z osadzonymi głęboko oczyma — krząć będzie po gruzach Warszawy, po wsiach i miasteczkach Generalnej Guberni, przypominając twardym śląskim akcentem, że Śląsk ani na chwilę nie odpadł od Polski, że walka z wrogiem ani na chwilę nie zelżała. Kieruje szkoleniem politycznym i wojskowym Gwardii Ludowej. Były powstańcze śląski umie przelać swe doświadczenia bojowe w nową formę walki, w nowy kształt oporu.

Tak jak kiedyś pochylał się nad ulicami, tak teraz — w roku 1942 — przytakuje mikrofon zakonspirowanej stacji nadawczej do ust, przypominając robotnikom Śląska o konieczności ustawicznej walki, o oporze do zwycięskiego końca.

Latem 1943 jako członek KC PPR przyjeżdża pociągiem do Krakowa. Ślad kierować będzie przez krótki czas organizacją sieci partyjnej w Krakowskim, na Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim. Ale — celem jego jest przede wszystkim Śląsk: najbardziej odosobniony, najbardziej odcięty od wspólnego pnia, najbardziej osamotniony w walce. PPR docierając tu trafia na grunt podatny. Długa walka Wieczorka ma swoje żywe echa. Cele nieospełnione dotąd — domagają się spełnienia. Kapitalizm w postaci faszizmu, najbrzydliwsza forma ucisku i gwałtu, budzi najbardziej osamotnionych. Już przed powstaniem PPR łączą się w spontaniczne grupki byli KPP-owcy, ludzie pamiętający zmagania Komitetu 21, Spartakusowcy i KPD-owcy.

Przyjechał znowu do Katowic. Na fałszywym dowodzie osobistym widzimy twarz wymęczoną i oszłą, ale z palającymi oczyma. W Janowie czekał nań towarzysz Zymła, w Szopienicach towarzysz Zabiński. W Rybnickim i Pszczyńskim zekali inni towarzysze. Przy ich pomocy organizuje pierwsze grupy partyjne.

I znowu Kraków. I znowu Warszawa. Pamiętają „Ryszaria” na Śląsku, a gdy wraca tu po raz drugi, tworzą wokół niego jakby pierścien żelazny, chronią go przed oczyma zdrajców i gestapo. Cóż jednak mogą zrobić ludzie bezbroni, uzbrojeni jedynie w pewnością zwycięstwa i w zwycięską wiedzę o swych prawach? Szpicel przedwrześniowej „defy” wskazuje go palcem gestapo. Z zamieszania na ulicy nie wyjdzie już cało. Przekłeta katowicka ulica. Tak jak ongiś w Poznaniu.

To samo więzienie na Mikołowskiej. Wąskie brudne cele, z siennikami wpychanymi stoma przed lat piętnaście chyba. Z Wrocławia samego przyjeżdżają na śledztwo dygnitarze gestapowscy. Że jest wśród nich jeden ze spadkobierców Gieschego, to już tylko ironia losu, a raczej przypadek w tej odwiecznej zda się walce.

— Also Wieczorek! — śmieje się gieschowski gestapowiec.

Tortury i śledztwo nie złamią go, półroczny pobyt w więzieniu katowickim mija szybko, szybciej niż czas, przetrzymany na życie. Dopiero w Oświęcimiu pod koniec roku 1944 zamordują go, wściekli, że nie udało się przelać jego zaciętości, że zamknął w sobie całą mądrość epoki, którą chcieli zniszczyć.

5

Kopalnia Giesche w Janowie nosi dziś jego imię, imię Józefa Wieczorka. Towarzyszem jego z dawnych i nowszych walk jest cieśla górniczy Franciszek Palowski. Palowski mówi tak:

— Pamiętam go na tej kopalni. Tam gdzie on był, tam my wszyscy czuliśmy się mocniejsi. Jeżeli na moim oddziale dzisiaj mówię o nim młodszym, którzy go nie znali, to nie mogę się powstrzymać od radości, że żył wśród nas i że my możemy opowiadać o nim naszym młodym górnikom.

Wilhelm Szewczyk

JERZY KORCZAK

Ilustrował ANDRZEJ WADAS

NOC W STRZYGONIOWIE

(Rozdział powieści)

W środku izby skakało kilkanaście przegrzanych par. Tkali piętami o podłogę, kołowali szybko jak na karuzeli. Lampa na suficie rozkładała się naczyniem dżwon. W jej młym świetle błyskały wilgotne, czerwone twarze. W kącie rozsiadli się muzycanci. Rżnęli od ucha na harmonii i skrzypcach pokrzykując co chwila. Jeden z nich oparł się rękami o piec i ochryple podspiewywał: „a kto nie wy-pi-i-je, tego we dwa ki-i-je”.

Pod oknem — lisy jak szklany abażur walcili chałupę, sklepu i dwudziestu morgów francuszek Ziulczyk wyciągnął z kieszeni zakorkowaną butelkę i mocno uderzył ją od spodu. Korok piasnął, urocę płynu rozlało się na podłogę. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Chłop wytarł rękawem butelkę, przyłożył do ust. Zadarł do góry głowę jak trębacz przy pobudce.

Kwaśny odór łaskotał gardła. Na ścianach osadziły się gęste jak kłęby weiny spirale dymu.

Okolo godziny wpół do dziewiątej, skulony w kącie mężczyzna o włosach koloru piasku mrugnął na dwóch wojskowych: podporucznika i sierżanta. Po krótkiej chwili wojskowi skierowali się w stronę drzwi. Za przepierzeniem był sklep.

Oficer rozejrzył się po słabo oświetlonej izbie: słoje, stoiki, blaszane pudła, jakies szare paczuski, na niskich półkach zwoje kolorowego papieru. Nad półkami niebieskobiła reklama: „Radion sam pierze”.

— No, tu możemy pomówić! — rzekł cywil i zamknął za sobą drzwi na klucz. Wysupiał z kamizelki grubą zegarek. — Czasu za wiele nie ma. Nowacki spi po służbie w domu, ale...

— Prawda — przytaknął oficer — o dziesiątej odprawa! — Głos miał wysoki jak dziewczyna; mimo tykającej sylwetki nie wyglądał na więcej niż dwadzieścia lat. Wyszła z obcęgów kolumny cienką sztygą i nerwowo potrząsnął malenką głową.

— Panie Maliniak, czy nikt tu nie podsłucha? — spytał niespokojnie.

— Ależ skąd, muzyka dudni, że krzyć można. Słowa tam nie słychać. — Zniżył jednak głos i dodał: — Tylko Ziulczyk wie o niektórych sprawach, ale on nasz człowiek.

Wspiął się lekko na palcach i szeptał porucznikowi do ucha: — Gdyby mógł, to by ich wszystkich w smole utopił. Dobrze mu o n... — Chciał mówić dalej, ale porucznik machnął niecierpliwie ręką i przeciął krótko: — Dobra jest, ale do rzeczy, panie Maliniak. Gdzieś małdzi Ziulczyka. Tu nie o niego chodzi.

Siedli przy stole lepkiem od piwa. Sierżant wyciągnął z kieszeni zwiniętą chustkę i gospodarskim ruchem wytarł stoł do sucha.

Zmieniłmy plan — powiedział porucznik — tak jak wczoraj kombinowaliśmy, nie da się zrobić. — Przechylił się w stronę Maliniaka i spojrzął mu prosto w twarz. — Nie obędzicie się bez zlikwidowania.

Zlikwidowania? — zachrypnął Maliniak. — Ocy mu się zaokrągliły z przejęcia. — Zlikwidowania?... — Sierżant przytaknął poważnym kiwnięciem głowy.

— Postanowiliśmy zrobić tak — ciągnął dalej oficer: — Nowacki wyjdzie z domu przed samą dziesiątą. Na pewno będzie spał do odprawy. Odprawa późno, bo dowódca pułku jeszcze z dywizji nie wrócił. Zda się, że na jutro planują wymarsz ze Strzygoniowa. Za godzinę staniemy z sierżantem koło młyna i poczekamy na wasz sygnał. Zgasicie na chwilę lampę w swoim pokoju. To wszystko. Reszta należy do nas...

— Tak, reszta należy do nas — powtórzył jak echo sierżant.

Maliniak milczał. Wyciągnął metalowe pudełko z grubo krajającym tytoniem, wolno skręcił i starannie zakleił bibułką. Obydwaj wojskowi czekali cierpliwie.

— No, zgoda, panie Maliniak? — Porucznik znów przeszedł na „ran”. Za przepierzeniem zadudniła rozhuśtana polka — hu-ha! Maliniak zapalił i odprowadził spojrzeniem siwą chmurkę dymu. Dym podpełznął do czarnego prostokąta szyby i skrył się pod firankę w kwiatki.

— Ja wam panowie powiem — zaczął wolno, ważąc każdy wyraz — słowo się rzekło, kobyłka u plutu. Ale po mojemu, to nie wiem, czy dobrze robicie. Nie żeby mi go tam żał było — chociaż zawsze to też przecież człowiek, tylko...

— No więc? — przerwał mu niecierpliwie sierżant. — O co chodzi? Na naszego porucznika możecie się zdać. Młody bo młody, ale ma łeb na karku. Nie bójcie się! — Zasmiał się i przyniósł spojrzał na oficera. — Nie takie już poruczniki akcyjki organizował. Pamięta pan, panie poruczniku, Jędrzejów? Prawie rok mija. Iluśmy wtedy wyhodowali Alowców... Chyba z tuzin, co?

— Chyba! — rzucił Puźiakowski ze źle ukrytą dumą.

— Rozumiem, panowie, rozumiem. — Maliniak zamachał rękami, jak gdyby odganiał natrętne owady. — Skoro się inaczej nie da, to trudno. Ale mnie idzie o to, że...

— Ze co? — nachylił się nad nim sierżant — że co, panie Maliniak?

— Ta cała chryja może się wydać! — wytrząskotal jednym tchem. — Przecież Nowacki u mnie na kwaterze stoi. Gdy zniknie, to przede wszystkim do mnie przyleżą z raportami, protokołami, dziury w brzuchu zaczną wiercić. I co wtedy? Wy będziecie już daleko, szukaj tatka latka, a ja... Młyn zabiora, wszystko diabli wezmą — i jeszcze do ciupy wsadzą.

— Przesztańcie Maliniak biadolić. Czas leci, trzeba się zbierać. Muszę jeszcze do kompani zająć. Jestem dzisiaj inspekcyjnym. Nie suszcie sobie głowy tym czerwonym hylem. Nawet w piekle po nim nie zapłaczą. Takiego sprzątnąć to nie grzech. Trudno! — przez głos Puźiakowskiego przebiegła nuta ugodowa — nikt dla przyjemności nie ryzykuje. Myślicie, że ja się wry-



wałem do tej z...nej II-giej Armii. Nie lepiej byłoby mi za granicą? Na zachodzie? Ale kazali — poszedłem. Trzeba swoich ludzi w wojsku! A straciłem więcej niż wy. Zafajdany młyn!

Nachylił się nad Maliniakiem, mało się nosami nie zderzyli.

— Taki z was Polak? Jak się coś poważniejszego kroci, to rączki za pas, nożki w garść i chod... Wycofać się chcecie...

— Wcale się nie chcę wycofać. Co pan opowiada, panie poruczniku. Niech tam będzie po waszemu. Lepsi z was politycy niż ja. — Maliniak przygłowił obcasem niedopalek i złapał Puźiakowskiego za rękę.

— No, zgoda, panie poruczniku! — Na twarz wypełił mu niepewny uśmiech. — Chodźmy jeszcze na jednego. Ziulczyk postawi.

Schylił głowę i przez mgnienie patrzył na podłogę, jak gdyby liczył deski.

— A za te robótkę... dostanę... rozumie pan poruczniku... człowiek ryzykuje...

— Dobrze już, dobrze, krzywdy wam nie zrobimy. Nie bójcie się!

Nowacki zerwał się z łóżka: wystający brzuch miękkiego materaca skrzyknął gwałtownie. Budzik rozdzierał się jak głodne niemowlę. Zdusił go dźwięk. Przeciągnął się kilka razy, ziewając. Spał nie więcej niż dwie godziny. O szóstej zdał służbę Puźiakowskiemu. Poprzedniej nocy oka nie zmrugał. Teraz zrzucił z siebie resztki twardego snu. Pokój wypełniła rozleniwiająca ciepło — dołożył węgla przed spaniem. Na ścianach drgał purpurowy odbłask. Zapalił światło — drgające smugi zniknęły. Z gęsto poobwieszanych ścian patrzyły na niego smutnie jarmarczne twarze świętych. Rozejrzył się po pokoju: był wielki i nieprzytulny. W kątach stały stare graty: szafa z jedną połową drzwi, obszarpany, wytarty foteł, trzy stołki. Lepsze meble młynarz przestał do siebie.

Wolno wkładał mundurową bluzę, naciągał zablocone cholewy. Psia pogoda! Mokra śnieg jedno-stajnie zaczął po sbybie. Usiadł na łóżku, zapalił papierosa. Zatrzymał wzrok na amatorskiej fotografii w drewnianej ramce. Stała tuż za budzikiem pod okienną framugą. Oparta o szeroki pień drzewa, krótko ostrzyżona dziewczyna śmiała się bezbroczo. Dokoła niej sterczały rozczapierzone gałęzie krzewów. Fotografia pożyłkła od wilgoci, ramka nadłamała się u góry. Krótko ostrzyżona dziewczyna była jego żoną.

Słub wzięli w ziemie 1943 roku w zapadłej dziurze w Kielecczyźnie. Kilka godzin potem wrócił do oddziału. Dopiero przed miesiącem spotkali się w Warszawie. Minuty mieli znów wyliczone jak przy przesiadaniu z pociągu do pociągu. Czekała na punkcie kontrolnym. Trzy dni wędrowała do miasta, nad którym unosiła się jeszcze nieznosna woń spaleniźny. Była opatulona w grubą chustkę. Ledwo ją poznał. I znów, jak wtedy w kieleckiej wiosce, spoglądał z bijącym sercem na zegarek. Nie mógł oddalić się od kolumny, zaraz ruszali dalej. Stanęli przy pontonowym moście. Mówili szybko i byle co. Nie zdobyli się nawet na pocałunek. Zbyt wiele oczu ślizgało się po nich. I znów rozłąka.

Takie było jego życie: przerywa-

ne wątki, których nigdy nie mógł ze sobą powiązać. W 38 roku dostał po dwóch latach bezrobocia pracę w fabryce rowerów. Cztery czy pięć miesięcy stał przy tokarce. Zdawało mu się, że wygrał los na loterii. Miał na utrzymaniu rodziców: wreszcie mógł im przelaść parę złotych. Sam żył jak mnich: zerwał z paleniem, zamieszkał w brudnym kępie w stróżówce, jadł co popadło.

Pewnego dnia przed samym fajerantem przyszło do fabryki trzech młoczących w płóciennych płaszczach. W osłoniętym deskami kantorze rozmawiali chwilę z kierownikiem. Czulił właśnie maszynę, gdy jeden z nich położył mu rękę na ramieniu. „Z policji śledczej” — powiedział bezbarwnym głosem i pociągnął go przed budynek do ciężarów-

nym wzgórku. Gęsta ciemność rozlewała się dokoła jak w bezwiedną noc na morzu. Do traktu przecinającego wieś nie było stąd dalej niż sto metrów.

Przytupywali w miejscu dla rozgrzewki i zagadywali podniecenie. Wszyscy mieli upianowane jak w kalendarzu. Pomimo to Wierciński był trochę zdenerwowany: kilka razy przerywał w środku zdania i pytał niespokojnie:

— Rozkazy wyjazdu przygotowane?

— Przygotowane, przygotowane... — uspokajał Puźiakowski.

— Nie nawali ten punkt przerzutowy w Rakolnicy?

— Głupsi! Na pewno nie nawali.

Wracali do oklepnych kawałów i jałowego miocenia zdań.

Naraz światło u Maliniaków zgasiło: najpierw w jednym, za mgnienie w drugim oknie.

— Sprawdź spluwał! — rzucił krótko Puźiakowski. Wypróbował pod płaszczem kieszonkowy reflektor. Działał. Wyciągnął z kabury pistolet i wsadził do kieszeni.

— Wolalbym parabelkę. Może pan porucznik pożyczycy...

— Masz, ale spróbuj nie trafić, to...

— Pogroził mu przed nosem ręką.

Zamienili pistolety. Wierciński wprowadził naboje do lufy i założył broń za pas. Stali w bezruchu patrząc na ścieżkę. Mrużyli oczy chcąc przebić ciemność.

— Powinien już iść — szepnął cicho sierżant.

Porucznik nerwowo spojrzął na zegarek. Pochylił nisko głowę, ale nie dojrzał godziny. Wskazówki zamazywały się w mokrej czerni. Słychać było tylko plusk deszczu i krótkie, chrapliwe oddechy.

— Uwaga! — Puźiakowski szarpnął sierżanta za ramię — słyszysz? Wyszliście się lekko spod daszka. Ścieżką od Maliniaków ktoś szedł. Młaskalo błoto pod nogami. Porucznik posunął się nieco w bok. Sknął na Wiercińskiego. Odgłos kroków przybliżył się. Na ścieżce zarysował się ciemny kontur idącego. Puźiakowski pociągnął palcem guzik latarki. Błysk przesłaniał się po plecach i głowie opatulonej w kaptur. Małe, żółte kółeczko drgało przez mgnienie na zatamanych kapturach.

— To on...

Suchy klask przeciął deszczową ścianę. Ciężko piasnęło błoto — i cisza. Nachylił się we dwóch nad leżącym: oświetlili twarz przykrytą od lepszej ziemi. Sierżant odwrócił umazaną błotem głowę. Spod włosów Nowackiego sączył się cieniutki sznurzek krwi. Usta miał zaciśnięte i lekko wykrzywione. Cienkie drgały na przymkniętych powiekach: wyglądały jak puste oczodółki.

Puźiakowski wsunął mu rękę pod mundur. Nie namiętał serca, ale rękę cofnął szybko z nagłym przestaniem. Nowacki jęknął i zrobił ruch, jak gdyby chciał podnieść głowę. Dłoń zaciśnął kurczowo na kolanie.

Na stole dymia pełna miska żuru. Obok na talerzu wznosił się pagórek dobrze okraszonych kartofli. Maliniakowie przeżegnali się i zwało złapali łyżki w garść. Po zaspokojeniu pierwszego głodu jedli wolniej już, spokojnie i dużo, jak przystało na bogatych gospodarzy.

Nagle przed domem krótko zaszczekał pies i trzasnęła furtka. Maliniak wstał wolno od stołu i przekreślił kontakt za szafą.

— W imię ojca i syna, oszalałeś? — zawołała młynarzowa. — Po co gasisz?

— Przesztań jęczeć. Sprawdzam, czy się coś nie zepsuło. Nie widzisz, że żarówka miga...

Zgasł papierosa, ogień widać z daleka! — powiedział Puźiakowski do sierżanta.

Sierżant bez słowa wypluł niedopalek. Mimo że był od porucznika starszy o dobre sześć lat, uważał Puźiakowskiego za najwyższy autorytet. Gospodarstwo Wiercińskich leżało tuż koło majątku Puźiakowskich. Puźiakowski, oficer czy cywil, pozostawał przede wszystkim panem. Nieraz — jeszcze w partyzancie — sierżant łapał się na tym, że zamiast „panie podchorąży” chciał powiedzieć „pniczu”. A gdy panicz dostał stopień oficerski, podziw jego jeszcze wzrósł. Promował go sam „Bohun”.

I oto znów zeszyli się ich drogi. Wierciński wstąpił do wojska jeszcze w Chełmie. Brygada została po tamtej stronie. W Kieleckiem. Wiosną udało mu się na dwa dni wyrwać do rodziny. Chciał pomóc przy zasiewach. Nie zdążył już wrócić. Na przejście przez front nie mógł się zdecydować. Zresztą mało było szans, żeby wyprawa się udała. Wybrał inne wyjście. Zgłosił się w Komisji Weryfikacyjnej. Po dał pierwszy lepszy oddział Batalionów Chłopskich. Któż miał czas sprawdzać. Tysiące obrończych ludzi wyszło z lasów i toczyło się w poczekalniach Komisji. Zmobilizowali go raz-dwa. Nawet stopień podnieśli. Załował potem, że się za oficera nie podał. Może by się udało. Miesiące temu zjawiał się w jednostce Puźiakowskich.

Stali już dłuższą chwilę pod spadającym dachem młyna. Deszcz pluskiał nad głowami i ściekał z brzochem po rynnie. Co jakiś czas dobiegało z oddali krótkie, żałosne szczekanie psa. Patrzyli w kierunku domu Maliniaka: migotało tam światło jak w latarni morskiej. Młyn stał tuż przy ścieżce na ma-

— Jeszcze złpie! — Twarde ścierwo! — rzekł Wierciński z nutą uznania w głosie.

— Kończ go, ale szybko! — nakazał Puźiakowski.

Sierżant sknął głową i odszedł o krok. Drugi strzał zabrzmiał w chwili, gdy ranny próbował odemknąć powieki. Strzał był głuchy jak uderzenie w bęben.

— No, teraz to gotów! — zakomunikował z triumfem. — W sam tył czachy!

Szybko dźwignęli ciało. Zaciążyli im w rękach jak worek z mąką. Parę kroków za młynem przystanęli. Wierciński pobiegł do przykrytej komórk. Szarpnął za drzwia. Po krótkiej chwili wrócił z łopatą i kilofem. Przez ten czas porucznik wymacał portfel z dokumentami Nowackiego: wsunął go do polowej torby. Sapiąc z wysiłku ruszyli dalej. Nogi grzęzły im w lepkiem gruncie. Co chwila przystawali i kiadli ciężar na ziemi. Odwracali się, jak gdyby mierzyli odległość od młyna.

— Szefie! — Puźiakowski odwrócił się do sierżanta — zarządzicie natychmiast pobudkę w trzecim plutonie. Raz dwa!

— Tak jest! — warknął sierżant.

Izba wypełniła się piskliwym głosem Puźiakowskiego. Poganiał, krzyczał, kręcił się jak bąk. Przed niektórymi siennikami stawał i patrzył. Franek Wiśniewski tak się zdenerwował tym patrzyeniem, że zamienił z Burakiewiczem buty.

Z kątów dochodziły urwyki rozmów:

— Diabli wiedzą, co się stało: na cholere ten wymarsz w nocy?

— Pewno ćwiczenia!

— Wariat jesteś, ćwiczenia o tej godzinie? A Łubek i Nowacki gdzie?

Kłębilo się jak w targowy dzień na jarmarku. Migotała bielizna, stuknęły buty, brzękały męszki. Gotowi do wymarszu stawali przy stojakach: przewieszali karabiny i automaty. Spod oka patrzyli na Puźiakowskiego: zacićkawienie tłumilo złość.

— Za blisko... — stwierdzał wciąż Puźiakowski. Po dobrej pół godzinie drogi zdecydował wreszcie.

— Tu chyba już można...

Mimo rozmięklej odwilży ziemi kopanie przeciągało się w nieskończoność. Było już po jedenaście, gdy ockającą wodą, obłepieni błotem, wchodzili na drogę do wioski.

Ruszyli szybko. Puźiakowski nawet odliczać nie zaczął.

Bogdan szedł na przódzie, nie mógł się wyrwać do Cholewy i Wiśniewskiego. Aż go język świerzbiał, żeby z nim pogadać. Nie wiedział, co myśleć o wymarszu. Kompania była zdekompletowana: drugi pluton pewno spokojnie śpi na swoich kwaterach. Tym to doo! Nie łatwo ich poderwać. Przy takiej pogodzie w błocie można by się wpiwor utopić. Strzyknie go naraż pod kołosem: świeża blizna przypominała się od czasu do czasu.

Szli nierówno wolnym, człapiącym krokiem.

— Szybkie, chłopcy! — nawoływał Puźiakowski. — Deszczu się bójcie?

— Dokąd idziemy, panie poruczniku? — spytał jakiś głos nieśmiało. — Czy to już wymarsz na nowe miejsce?

Porucznik nie odpowiedział. Skręcił w wąską drogę koło młyna. Ciasno było, że ledwo mićcił się po dwóch. Kolumna wydłużała się. Droga opadała lekko w dół. Szczęśli się i potykali.

Po blisko godzinny marszu wyrosła przed nimi wysoka ściana lasu. Došli do skraju drzew. Było tu cicho i prawie przytulnie. Wiatr nie zawiwał, deszcz ze śniegiem zatrzymywał się na gęstej zastonie konarów.

— Stój! — zawołał szef donosnie.

Stanęli pod drzewami; rozżarzyły się światełka papierosów. Było chłodno — „zabijali” więc rękami jak dorózkarze na zimowym postoju.

— Chłopcy! — odezwał się Puźiakowski miękko i łagodnie — za chwilę ruszymy dalej!

Trzy sylwetki skupiły się przy nim. Bogdan rozpoznał Małasia, Biedronkę z plutonu Puźiakowskiego i szefa.

— ...Ruszymy dalej, do prawdziwego wojska polskiego! — ciągnął tym samym miękim i łagodnym tonem — do naszego leśnego wojska! Jako polski oficer — głos za drgął mu dumą i patosem — jako prawdziwy polski oficer, nie zawiodę was! Nie staniecie się bolszewickimi pacholkami!

Na kilka sekund przerwał, jak gdyby wsłuchując się w echo. Nikt nie odezwał się słowem: deszcz szemrał monotonnie.

— Zolnierze! Wasze miejsce jest w lesie! W lesie przetrwamy krótki czas, a potem będziemy rachować się ze zdrajcami. Nie bójcie się! Na niczym wam nie będzie zbzywać! Nie jesteśmy sami. Mamy mocnych i bogatych przyjaciół. Pomogą!

— Obejmuję dowództwo oddziału partyzanckiego imienia Bolesława Chrobrego!

Puźiakowski przy ostatnich zdaniach porucił łagodne pieszczotliwie: mówił donosnie, głos łamał mu się z przejęcia. Obok miejsca, gdzie stał, odezwały się pojedyncze okłaski. Wierciński wrzasnął:

— Niech żyje porucznik Puźiakowski! Niech żyje Chrobry! Precz z pacholkami Rosji!

Nikt nie podtrzymał okrzyku. Przez parę sekund dęła napięta cisza. Trzasnęła przydeptana gałąź. Pod cienkiem, wysłalym świerkiem rozległ się szepc i sapanie. Kilka głów odwróciło się. W migającym ogniku błysnęła przestraszona twarz Fronczaka: rozdzawił usta i wypluł oczy.

Naraz pod którymś drzewem rozległ się szczęk szarpniętego bezpiecznika i krzyk:

— Ludzie, do jasnej cholery! Nie dajcie się tumanic! Z Hitlerem trzymaj!

Cholewa doskoczył do Puźiakowskiego. Zabrzmiał wystrzał. Kula świsnęła koło uszu Wacka. Nie zdążył nacisnąć spustu. Zaterkotała pojedyncza seria. Ktoś go uprzedził. To Bogdan — nawet się sam nie orientował, jak automat już mu skakał pod brodą.

— Zolnierze! Kto chce walczyć o Polskę, za...

Puźiakowski nie skończył. Czyjeś ręce zatkały mu gardło. Ktoś jęknął. Głos Wiercińskiego nawoływał jak gdyby z drugiego brzegu:

— Szybko, szybko! Małasiak, Biedronka, gdzie...

Automat zatrzeszczał jak kamyki rozsypane po dachu.

— Wykręć mu kikuty, gotów się jeszcze wyrwać! — mówił po chwili Cholewa do Burakiewicz.

Bogdan stał przed Puźiakowskim, który aż charczał ze złości. Automat przyłożył mu do brzucha. Puźiakowski przewyższał go wzrostem o dobre dwie głowy. Porucznik wypychał wciąż chustkę z gardła i wierzgał nogami.

— Nie denerwuj się. Zdażysz jeszcze, zdażysz. Gałgaczka na ciebie czeka — tłumaczył mu łagodnie Franek Wiśniewski — Chrobrego niedługo zobaczysz. Plucie ci w twarz, fajdaku!

Wypchnęli Puźiakowskiego na skraj. Plutony uformowały się szybko.

Już w marszu, który złapał go za kłapę płaszcza i chlupiąc po kostki w błocie powiedział z pogardą:

— Oj, panku, panku, pomyliliście się... mocność się pomylili...

Jerzy Korczak

POECI DEKABRYŚCI

KONDRATIJ RYLEJEW

DO FAWORYTA

(Naśladowanie satyry Persjusza Do Rebelliusza)

Wniosły faworycie, podły, niegodziwy,
Władcy chytry pochlebco i druha zdradliwy,
Ojczyzny swej tyranie i nieposkromiony
Łotrze, zdradą na wielki urząd wyniesiony!
Ty, co się mnie z pogardą ośmielasz traktować
I gniew swój wściekły groźnym wzrokiem okazować!
Nikczemniku, o względy twoje nie dbam wcale,
A przygana z ust twoich służyj mojej chwale!
Śmieję się, kiedy ty mi okazujesz wzdarcie!
Czyż mogą mnie poniżyć twoje słowa harde,
Kiedy ja sam ze wstrętem przyglądam się tobie,
Dumny, że innych uczuć nie znajduję w sobie?
Czym jest dźwięk cymbałow twój przelotnej chwały?
Czym twa straszliwa władza, twój urząd wspaniały?
Ach, wolałbym się ukryć w prostaczej skromności,
Niż z podłą duszą, w której niska żądzą gości,
Przed współobywateli surowe wejście
Wystawiać się na sąd ich i na pohańbienie!
Jeśli enót nie mam, jeśli nie wolny od błędu,
Jakaż korzyść z godności moich i urzędu?
Nie urząd, nie ród możny, lecz zasługi czcimy;
Bez nich nawet samymi królami gardzimy;
Nie za konsulat, za to wielbię Cyncerona,
Ze przezeń była wolność Rzymu ocalona...
Przyjdź znowu, godny mężu. Jęczących w okowach
Swych współobywateli wyzwólże od nowa.
Drż, tyranie! On zrodzi się, przyjdzie z odplatą,
Kasjusz, Brutus lub królów nieprzyjaciel, Kato!
O, jak się będę starał lirą mą wysławiać
Tego, kto przyjdzie moją ojczyznę wybawić!
Sądziś, że zdolasz ukryć przed ogółu okiem
Pod fałszywym pozorem źródło zła głębokie?
Okropny los cię czeka; złą puściwszy wodzę,
Nie wiesz w swym zaślepieniu, jak mylisz się srodze.
Choćbyś niezmiernie chytry, niezmiernie udawał,
Nie skryjesz przywar serca, stracona to sprawa:
Czyny twoje cię zdradzą przed całym narodem,
Pozna, żeś to ty jego kępował swobodę,
Ciężkimi podatkami o nędzę przyprawiał,
Wioski i pola dawnej urody pozbawił...
Wtedy drż, faworycie dumny napuszony!
Lud jest okrutny, kiedy tyranstwem wzburzony!
Lecz kiedy zła fortuna, nikczemnemu miła,
Od sprawiedliwej zemsty ciebie ocaliła,
Tak samo drż, tyranie! Za twe nieprawości
Już wyrok wypisany masz u półomności.

DO A. A. BESTUŻEWA

(Dedykując mu poemat „Wojnarowski”)

Jak pątnik smętny i samotny
W Arabii pustyni srogiej,
Szedłem po świecie i markotny
Błąkałem się szukając drogi.
Już chłód dla ludzi nienawistny
Dotkliwie przejął mnie w tej dobie,
A jam w szaleństwie myślał sobie,
Że nie ma już przyjaźni czystej.
Tyś niespodzianie tu zagrościł,
Przepaska z oczu mych zleciała,
Byłem już pełen wątpliwości,
Gdy znów z niebieskiej wysokości
Gwiazda nadziei zajaśniała.

Przymij plody moich prac niewielu,
Marzenia swobodnego ducha:
Wiem, że je przyjmiesz, przyjacielu,
Z całą dbałością, sercem druha.
Ty, syn Apolla sprawiedliwy,
Nie znajdziesz sztuki w nich, niestety,
Za to uczucia potok żywy
Obywatela, nie poety.

Przełożył Seweryn Pollak

ALEKSANDER ODOJEWSKI

NA WIEŚĆ O POWSTANIU POLSKIM

Jak martwi, w grobach nieruchomo śpiący,
Pomimo woli w sercach bolejących
Chronimy poryw uczuć niemych,
Ale nie ujął ich jeszcze sen wieczny
I struna wyda dawny dźwięk serdeczny,
Jeszcze w nas drży, jeszcze żyjemy.

Ledwie nas dobiegł od brzegów odległych
Dźwięk spadających kajdan niepodległy
I drgnęło strun niebiańskich wiele,
Wszystkie uczucia w jeden dźwięk spłynęły,
Nie, nie stargały się harfy i drgnęły,
Jeszcześmy młodzi, przyjaciele.

W kim serce nie drgnie pięścią niezawisłą,
Słyszycie: tam wrę krwawy bój nad Wisłą,
Z Rusią Lach walczy o swobodę,
Requiem śpiewa w zgielku bitw i w gromie
Ofiarom walki, co rzuciły promień
Na rosyjskiego noc narodu.

Jesteśmy braćmi ich Święte nazwiska
Jeszcze w nas płoną i jeszcze w nas błyska
Obrazów, myśli, cierpień dusza,
W niej dźwięki tają się cudownej siły,
Minionych mąk tęsknoty w nas zbudziły,
Wysokich marzeń powrót wzrusza.

Jeszcze w nas dumy ich dawne nie zgasły,
Rysy ich w sercach wyryliśmy własnych,
Niby imiona w glaz nagrobny.
Ledwie w nas ogień wybuchnie, wnet szyje
Pięciu skazańców płomieniem owije
Wieniec okrutny i żalony.

Ten ogień spali ich oprawców czoła,
Gdy katów i ofiary Pan zawoła
I przed sądem staną Władcy carów —
Niech sądzi Bóg! A nas, druchowie moi,
Niechaj dziś stępa spokojna ukoi
Obrzędem tajemniczych czarów.

Przełożył Mieczysław Jastrun

Twórczość poetów dekabrystów,
nie znana na ogół polskiemu czytelnikowi,
stanowi nader ciekawą kartę w historii
postępowej literatury rosyjskiej XIX w.

Ruch dekabrystowski, który skupiał
niewątpliwie najbardziej światłe umysły
epoki, wiązał sprawę o balenia samowładztwa
i zniesienia pańszczyzny z rewolucją na polu
literatury. Jakkolwiek trudno mówić o
jednolitych poglądach literackich dekabrystów,
niemniej jednak wszyscy oni widzieli w sztuce
potężne narzędzie zmiany ustroju społecznego,
uznawali konieczność podporządkowania
swej twórczości wymogom walki politycznej,
dążyli do oczyszczenia literatury rosyjskiej
z obcych naleciałości, często i chętnie
nawiązując do wzorów poezji ludowej. Pogląd
te znalazły szczególnie silny wyraz w
programowych wierszach



Kondratij Rylejew



Aleksander Bestużew-Marliński

KONDRATIJ RYLEJEW

I ALEKSANDER BESTUŻEW-MARLIŃSKI

PIOSENKI AGITACYJNE

Ach, opowiedz, opowiedz,
Jak to rządzi carowie
Rusi.

Ach, opowiedz nam zaraz,
W jaki sposób się cara
Dusi.

Jak to Piotra kaprale
Prowadzili przez sale
Gracko.

A małżonka przed pałac
Na koniu wyjeżdżała
Chwacko.

Jak zbrodniarz krótkonosy
Po niej wziął rządy w Rosji
Krwawo.

Ale rosyjski Pan Bóg
Dobrym ludziom dopomógł
Niebawem.

Przełożył K. I. Galczyński

Ech, siedzi kowal z kuźni,
Z kuźni kowal, z kuźni.
Sława,

Ech, niósł kowal z kuźni,
Ech, trzy noże z kuźni.
Sława.

Pierwszy nóż, pierwszy nóż
Na bojarów, panów niósł.
Sława.

Drugi nóż, drugi nóż
Na świętoszków, popów niósł.
Sława.

A nóż trzeci, w imię Boże,
Ten na cara będzie nożem.
Sława.

Przełożył K. I. Galczyński



Wilhelm Küchelbecker

ALEKSANDER ODOJEWSKI

ODPOWIEŹ NA PISMO PUSZKINA

Dotarł tu do nas dźwięk wspaniały,
Tych strun płomiennych wieszczę dźwięk —
Ręce do mieczy się porwały...
A tylko zabrzmiął kajdan brzęk.

Jesteśmy dumni — wiedz to, bardzie —
Z kajdan i z losu każdy rad.
W wiecznych murach, spoza krat
Każdy z nas carów ma w pogardzie.

Nie zgini nasz bolesny trud,
Z iskry płomień rozgorzeje
I światły będzie dźwięk lud,
Kedy wolności zorza dnije.

Wolności rozpalamy znicze,
Niejeden z kajdan wyjdzie miecz —
I carów przepędzimy precz,
I lud rozjaśni swe oblicze.

Przełożył Leopold Lewin



Aleksander Odojewski



Michał Bestużew

ALEKSANDER BESTUŻEW-MARLIŃSKI

SZEBUTUJ

(Wodospad w Górach Stanowych)

Jęcz, szum, samotny mój potoku,
W szalonym pędzie niewstrzymany!
Ze spadzistego zlatuj stoku
I wstrząsaj gniewnie grzywą piany!

Mgły, chmury, wichry borealne
Na łonie skutych w lód ogromów
Kołyszają cię w kolebce skalnej
I karmią jasnym ogniem gromów.

Lecz przebudzony, w dzikim pędzie
Łodowych zwałisk rwąc okowy,
Frzeszadasz w harach skał krawędzie
Jak młody lew, gdy mknie na łowy.

Jak z urny wieków lat kaskada,
Jak mleczna droga niebioskonu —
Lawina fal wzburzonych spada
Na chłodne piersi chalcodonu.

Nad tobą zaś w powietrzu czystym
Roztacza czary swe natura,
Nad tobą pereł most świetlisty
Lśni jak rajskiego ptaka pióra.

I orzeł, kędy gromów drogi
Lecąc, omywa skrzydła w tęczy,
I jeleni, pochylając rogi,
Ogląda w wodzie kształt swój wdzięczny.

A ty, swe wody łoczając pienne,
Szybszy od młodych lat strumienia,
To nam uśmiechy ślesz promienne,
To się zasnuwasz smutkiem cienia.

Przed siebie rwij, nieokielzany,
Gdzie siły gnają cię złowieszczę! —
Twa skarga — głosem ukochanym,
A pocałunkiem bratnim — deszcze.

Gdy słyszę pomruk twój gromowy
I wodny pył me włosy rosi,
Myślę o losie swym surowym,
Który mi kazal męki znosić...

Ja także, dumny i wzburzony,
Ścigając młodych lat marzenia,
W porywie górnym i szalonym
Runąłem w otchłań zatracenia!

I czemuż to upadku mego,
Jak twego z górskiej wyniosłości,
Łuk przebaczenia niebiańskiego
Nie oprómieni z wysokości!

O losie! Jeśli nie sążone,
By wieńczył laur pieśniarza skronie,
Spraw, niech choć wspomnień lzy spóźnione
Zroszą mogiły mej ustronnie!

Przełożyli Zienowit Fedeki i Tedcusz Mongird

WILHELM KÜCHELBECKER

CIEŃ RYLEJEWA

W tych przeraźliwych murach, gdzie Iwana,
W chłopięctwie wyzutego już z purpury,
Pośród ciemności, pod więzienną ścianą
Zastylętował morderca ponury —
W mroku, na łożu więziennym spoczywał
Śpiewak, przyjaciel płomienną swobody,
I oderwany od matki przyrody
W świecie zadumy szczęścia poszukiwał.
Lecz nie powrócą dni minionie,
Marzenia piękne znikły w mroku
I zachwycenia ozłoczone
Żelaznych nie ozłocą oków.
I wtedy (to nie sen był) w mrok więzienia
Niebiańska jakaś postać wkroczy.
Brzmia lutni triumfalne pienia,
Strwożony śpiewak wznieśli oczy:
Niesiona na obłoku
Jawi się postać znana więźnia oku.
„Przynoszę tobie pozdrowienia
Z krainy wolnej od tyranów,
Gdzie pokój w wiecznych lśni promieniach,
Gdzie nie ma mgieł ni huraganów.
Od losu mam niemalą chwałę:
W wolność z rosyjskim ludem biegłem,
Potężnym głosem ja śpiewałem
I wyspiewałem, i poległem.
Szczęśliwy, bom przypieczętował
Miłość ojczyzny krwią czerwoną...
Tyś także ziemię tę miłował,
Tyś czystym ogniem dla niej płonął.
Za to ja tobie przyszość ciemną
Odsłonię, szczęściem cię napoję.
Ofiara twoja niejaremna...
Wypełnią się nadzieje twoje”.

Tak mówiąc postać becziesną ręką
Rozsuwa ściany, roztwiera ciemnicę
I zachwycone śpiewaka źrenice
Widzą Ruś świętą, a na Rusi wokół
Wolność i szczęście, i pokój.

Przełożył K. I. Galczyński

MICHAŁ BESTUŻEW

P I E Ś Ń

To nie wicher w mrocznym szumi boru —
Murawiej na krwawe ciągnie gody...
Czernihowcy mężni za nim suną
Za ojczyznę — Rosję złożyle głowy!

Nie od burzy dęb potężny runął,
Czerw zdradziecki korzenie mu podciął,
Wolność i słoneczko się schowały,
Śmierci noc zaiegła pole chwały!

Na tym polu stoi koń bojowy:
Junak przed nim spoczywa na ziemi,
„Pędz, mój koniu, do Kijowa - grodu,
Do milego brata, do moich drubów,
Znicz im ostatnie moje technie,
Powiedz: nie umiałem znieść łańcuchów...
Nie przeżyję myśli rozpaczliwej,
Ze wolności krwią nie okupiłem!”

Przełożył St. Strumph Wojtkiewicz

PRZYPISY

DO FAWORYTA. Satyra skierowana
jest przeciwko wszechpotężnemu fawo-
rytowi cara Aleksandra I — hrabiemu
Arakczelowowi.

DO A. A. BESTUŻEWA. Wiersz przy-
pisywany Rylejewowi.

ACH, OPOWIEDZ, OPOWIEDZ... Te-
matem wiersza są przewroty pałacowe
w Rosji — w r. 1762 (zamordowanie Pi-
otra III przez Orłowa na rozkaz Katarzy-
ny II) i w r. 1801 (uduszenie Pawła I).

CIEŃ RYLEJEWA. Wiersz napisany
w twierdzy szlisselburskiej.

Iwan... wzięty z purpury — car Iwan
IV, zdetronizowany w dziedziństwie i wię-
ziony w twierdzy szlisselburskiej, za-
mordowany w r. 1764.

ODPOWIEŹ NA PISMO PUSZKINA.
Wiersz ten stanowi odpowiedź na słynne

„Pismo na Sybir” Puszkina, które przy-
wiozła zesłańcom żona jednego z deka-
brystów.

NA WIEŚĆ O POWSTANIU POLSKIM
Lach... requiem śpiewa... ofiarom walki...
Poeta ma na myśli uroczystość żałobną
ku czci pięciu straconych dekabrystów,
która odbyła się w Warszawie 25 stycz-
nia 1831 roku.

PIEŚŃ. Wiersz poświęcony jest bun-
towi pułku czernihowskiego (29 XII 1825)
i przywódcy buntu — Siergiejowi Mu-
rawjewowi - Apostołowi.

Wiersze wybrane z mającej się wkrót-
ce ukazać nakładem „Książki i Wiedzy”
„Antologii poetów dekabrystów”. Opra-
cowanie i przypisy Zienowita Fedeki-
go. Słowo wstępne Samuela Fiszmana.

RYSZARD MATUSZEWSKI

„NIOBE” I „WIT STWOSZ”

Opublikowana na łamach „Nowej Kultury” dyskusja o twórczości K. I. Galczyńskiego spełnia ważną zadanie przelamując milczenie krytyki na temat utworów poety, ale zagadnienia jego twórczości, zwłaszcza najnowszej bynajmniej nie wyczerpała. Wyjście mi się, że dyskusja ta wymaga pewnego zamknięcia, jakim byłaby nieco szczegółowsza, niż to mogło mieć miejsce w ustnej dyskusji czy w referacie omawiającym całą twórczość poety, analiza jego ostatnich utworów.

O próbie tej analizy pokusił się w dyskusji właściwie tylko Zygmunt Lichniak, rozpatrując nieco szerzej ostatnią pozycję książkową Galczyńskiego: poemat „Niobe”. Z wnioskami Lichniaka trudno się jednak zgodzić nie tylko w płaszczyźnie szerokiej polemiki na temat ogólnych dyrektyw naszej poezji, którą podjął Jerzy Putrament. Trudno się z nim zgodzić również biorąc za punkt wyjścia konkretną analizę tego niewątpliwie interesującego, ale w formie zagniatanego poematu.

Chciałbym przedłużając linie toczonych dyskusji nakreślić swoją próbę takiej analizy i wychodząc od niej omówić również późniejszy utwór poety: drukowany w 125 numerze „Zwila Literackiego” poemat pt. „Wit Stwosz”. Sądzę, że zarówno ten utwór, jak drukowane ostatnio wiersze poety wskazują dość wyraźnie na szeroki zakres możliwości artystycznych Galczyńskiego, na bogactwo odmian jego indywidualnego stylu poetyckiego: odmian, z których część (choć niewątpliwie nie wszystkie) nie są w pełni wykorzystane, a co najmniej wzbogaceni osiągnięć poezji, o którą walczyliśmy, poezji realizmu socjalistycznego.

Kusi mnie w tym miejscu mała dygresja. Kreśląc ostatnie zdanie chciałem w pierwszej chwili skończyć je inaczej: napisać „z których części mieści się niewątpliwie w granicach poezji realizmu socjalistycznego”. To „mieści się w granicach” szybko skreśliłem i owo określenie wydaje mi się nie mniej ważne niż ostateczna redakcja. Realizm socjalistyczny jest, jak sądzę, czymś, czego w żadnym wypadku nie określają żadne sztywne kanony czy granice. Jest metodą umożliwiającą rozwój najróżnorodniejszych indywidualnych stylów poetyckich. Nie wynika z tego, rzecz jasna, wcale, iż wszystkie się w tym worku mieści. Kończę dygresję.

Ważny się zatem do „Niobe”. O czym mówi ten poemat, budzący tyle sprzecznych opinii. Czy jest on rzeczywiście, jak twierdzi Lichniak, „zespołem wyrażonych w języku poetyckim tez intelektualnych o szerszej perspektywie”? Jeśli tak, to jakich tez? Określenie Lichniaka jest przecież czysto formalne, żeby nie użyć słowa „formalistyczne”. Przede wszystkim trzeba stwierdzić, o czym poeta w wierszu mówi, a potem dopiero zastanawiać się, w jaki sposób to czyni.

„Niobe” jest poematem pisany jak gdyby w trzech planach: pierwszy plan — to dzieje „Niobe” mitologicznej, nieszczęśliwej matki pozbawionej potomstwa, uosobienia bólu macierzyńskiego. Drugi plan — to na wprost fantastyczne dzieje greckiej rzeźby, przedstawiającej głowę Niobe, tej rzeźby, która dziś zdobi hall poradz-wiltofskiego pałacu w Nieborowie. Trzeci plan wiersze — to teraźniejszość owej rzeźby, jej funkcja społeczno-artystyczna, funkcja dzieła sztuki, będącego tu jak gdyby symbolem trwałych wartości sztuki w ogóle, ich roli w walce o nowego człowieka.

Te trzy plany, trzy perspektywy w poemacie mieszają się i przenikają wzajemnie. W poszczególnych jego częściach Galczyński mówi rzec o Niobe mitologicznej, kiedyś indziej o prawdziwych lub wymyślonych dziełach rzeźby nieborowskiej, w jeszcze innych miejscach o konkretnej, realnej Niobe nieborowskiej na tle zabawkowego pałacu, w którym się ona rzeczywiście w tej chwili znajduje.

Przemieszczenie owych trzech planów, dalekie przemieszczanie elementów historycznie umiejscowionych i fantastyczno-hipotetycznych jest pierwszą przyczyną, dla której poemat jest, delikatnie mówiąc, trudny do czytania. Mówiąc dobitniej: jest dla przeciętnego czytelnika prawie niezrozumiały bez specjalnego komentarza. Oczywiście jeśli założymy, że czytelnik poematu oznacza coś więcej aniżeli ogólne wrażenie przyjemnego szmeru, jaki nam towarzyszy przy czytaniu pięknie brzmiących i melodyjnych strof.

Poemat zbudowany jest na charakterystycznej dla Galczyńskiego zasadzie podkreślenia elementów muzycznych. Mówi tym sama struktura wiersza, zmiennego w rytmie, następującego obrazowaniu, komponowanego w ten sposób, aby cała rzecz „grała” samą melodią słów i obrazów, niemal niezależnie od pełnego zrozumienia treści utworu. Mówią o tym także sugestie autora w postaci nazw, nadanych poszczególnym partiom poematu: Uwertura, Mała fuga, Chacona, Ostinato, Mały koncert skrzypcowy, Duży koncert skrzypcowy itd.

Czy takie „muzyczne” potraktowanie poematu jest słusznym i celowym zabiegiem, czy ułatwia jego czytelność? W dyskusji na temat poezji Galczyńskiego (patrz „Nowa Kultura” nr. 3 (95) sformułowałem swoje zastrzeżenia w stosunku do tego środka artystycznego. Oczywiście nie chodzi mi o „instrumentalizację wewnętrzną”, o różnorodność i bogactwo dźwiękowe poematu, które może być pożyteczne tylko za jego zalety. Chodzi przede wszystkim o ów drugi efekt, o podkreślenie tytułami, i nie tylko tytułami, lecz całą ornamentacją werbalistyczną, że wiersz jest przede wszystkim koncertem, muzyką, co sprawia mimo woli, że uwaga czytelnika odwrócona zostaje od treści i bez tego zasyfrowanej często zawilgą metaforyką.

Nie dajmy się jednak odwieść od wątku treściowego poematu samymi, mylącymi często tytułami. Jaką treść ideową da się tu wyłuskać? Wyraża ją niewątpliwie, jak wspominałem wyżej, przede wszystkim spojrzenie na rzeźbę Niobe jako na symbol trwałych wartości w sztuce, źródło siły i radości, jaką sztuka daje człowiekowi, dalej zaś — znaczenia, jakie sztuce nadaje z kolei to, co ona wyraża: treść ludzką, ludzkie radości i cierpienia.

Chciałbym przedłużając linie toczonych dyskusji nakreślić swoją próbę takiej analizy i wychodząc od niej omówić również późniejszy utwór poety: drukowany w 125 numerze „Zwila Literackiego” poemat pt. „Wit Stwosz”. Sądzę, że zarówno ten utwór, jak drukowane ostatnio wiersze poety wskazują dość wyraźnie na szeroki zakres możliwości artystycznych Galczyńskiego, na bogactwo odmian jego indywidualnego stylu poetyckiego: odmian, z których część (choć niewątpliwie nie wszystkie) nie są w pełni wykorzystane, a co najmniej wzbogaceni osiągnięć poezji, o którą walczyliśmy, poezji realizmu socjalistycznego.

Kusi mnie w tym miejscu mała dygresja. Kreśląc ostatnie zdanie chciałem w pierwszej chwili skończyć je inaczej: napisać „z których części mieści się niewątpliwie w granicach poezji realizmu socjalistycznego”. To „mieści się w granicach” szybko skreśliłem i owo określenie wydaje mi się nie mniej ważne niż ostateczna redakcja. Realizm socjalistyczny jest, jak sądzę, czymś, czego w żadnym wypadku nie określają żadne sztywne kanony czy granice. Jest metodą umożliwiającą rozwój najróżnorodniejszych indywidualnych stylów poetyckich. Nie wynika z tego, rzecz jasna, wcale, iż wszystkie się w tym worku mieści. Kończę dygresję.

Ważny się zatem do „Niobe”. O czym mówi ten poemat, budzący tyle sprzecznych opinii. Czy jest on rzeczywiście, jak twierdzi Lichniak, „zespołem wyrażonych w języku poetyckim tez intelektualnych o szerszej perspektywie”? Jeśli tak, to jakich tez? Określenie Lichniaka jest przecież czysto formalne, żeby nie użyć słowa „formalistyczne”. Przede wszystkim trzeba stwierdzić, o czym poeta w wierszu mówi, a potem dopiero zastanawiać się, w jaki sposób to czyni.

„Niobe” jest poematem pisany jak gdyby w trzech planach: pierwszy plan — to dzieje „Niobe” mitologicznej, nieszczęśliwej matki pozbawionej potomstwa, uosobienia bólu macierzyńskiego. Drugi plan — to na wprost fantastyczne dzieje greckiej rzeźby, przedstawiającej głowę Niobe, tej rzeźby, która dziś zdobi hall poradz-wiltofskiego pałacu w Nieborowie. Trzeci plan wiersze — to teraźniejszość owej rzeźby, jej funkcja społeczno-artystyczna, funkcja dzieła sztuki, będącego tu jak gdyby symbolem trwałych wartości sztuki w ogóle, ich roli w walce o nowego człowieka.

Te trzy plany, trzy perspektywy w poemacie mieszają się i przenikają wzajemnie. W poszczególnych jego częściach Galczyński mówi rzec o Niobe mitologicznej, kiedyś indziej o prawdziwych lub wymyślonych dziełach rzeźby nieborowskiej, w jeszcze innych miejscach o konkretnej, realnej Niobe nieborowskiej na tle zabawkowego pałacu, w którym się ona rzeczywiście w tej chwili znajduje.

Przemieszczenie owych trzech planów, dalekie przemieszczanie elementów historycznie umiejscowionych i fantastyczno-hipotetycznych jest pierwszą przyczyną, dla której poemat jest, delikatnie mówiąc, trudny do czytania. Mówiąc dobitniej: jest dla przeciętnego czytelnika prawie niezrozumiały bez specjalnego komentarza. Oczywiście jeśli założymy, że czytelnik poematu oznacza coś więcej aniżeli ogólne wrażenie przyjemnego szmeru, jaki nam towarzyszy przy czytaniu pięknie brzmiących i melodyjnych strof.

Poemat zbudowany jest na charakterystycznej dla Galczyńskiego zasadzie podkreślenia elementów muzycznych. Mówi tym sama struktura wiersza, zmiennego w rytmie, następującego obrazowaniu, komponowanego w ten sposób, aby cała rzecz „grała” samą melodią słów i obrazów, niemal niezależnie od pełnego zrozumienia treści utworu. Mówią o tym także sugestie autora w postaci nazw, nadanych poszczególnym partiom poematu: Uwertura, Mała fuga, Chacona, Ostinato, Mały koncert skrzypcowy, Duży koncert skrzypcowy itd.

Czy takie „muzyczne” potraktowanie poematu jest słusznym i celowym zabiegiem, czy ułatwia jego czytelność? W dyskusji na temat poezji Galczyńskiego (patrz „Nowa Kultura” nr. 3 (95) sformułowałem swoje zastrzeżenia w stosunku do tego środka artystycznego. Oczywiście nie chodzi mi o „instrumentalizację wewnętrzną”, o różnorodność i bogactwo dźwiękowe poematu, które może być pożyteczne tylko za jego zalety. Chodzi przede wszystkim o ów drugi efekt, o podkreślenie tytułami, i nie tylko tytułami, lecz całą ornamentacją werbalistyczną, że wiersz jest przede wszystkim koncertem, muzyką, co sprawia mimo woli, że uwaga czytelnika odwrócona zostaje od treści i bez tego zasyfrowanej często zawilgą metaforyką.

Nie dajmy się jednak odwieść od wątku treściowego poematu samymi, mylącymi często tytułami. Jaką treść ideową da się tu wyłuskać? Wyraża ją niewątpliwie, jak wspominałem wyżej, przede wszystkim spojrzenie na rzeźbę Niobe jako na symbol trwałych wartości w sztuce, źródło siły i radości, jaką sztuka daje człowiekowi, dalej zaś — znaczenia, jakie sztuce nadaje z kolei to, co ona wyraża: treść ludzką, ludzkie radości i cierpienia.

Chciałbym przedłużając linie toczonych dyskusji nakreślić swoją próbę takiej analizy i wychodząc od niej omówić również późniejszy utwór poety: drukowany w 125 numerze „Zwila Literackiego” poemat pt. „Wit Stwosz”. Sądzę, że zarówno ten utwór, jak drukowane ostatnio wiersze poety wskazują dość wyraźnie na szeroki zakres możliwości artystycznych Galczyńskiego, na bogactwo odmian jego indywidualnego stylu poetyckiego: odmian, z których część (choć niewątpliwie nie wszystkie) nie są w pełni wykorzystane, a co najmniej wzbogaceni osiągnięć poezji, o którą walczyliśmy, poezji realizmu socjalistycznego.

Kusi mnie w tym miejscu mała dygresja. Kreśląc ostatnie zdanie chciałem w pierwszej chwili skończyć je inaczej: napisać „z których części mieści się niewątpliwie w granicach poezji realizmu socjalistycznego”. To „mieści się w granicach” szybko skreśliłem i owo określenie wydaje mi się nie mniej ważne niż ostateczna redakcja. Realizm socjalistyczny jest, jak sądzę, czymś, czego w żadnym wypadku nie określają żadne sztywne kanony czy granice. Jest metodą umożliwiającą rozwój najróżnorodniejszych indywidualnych stylów poetyckich. Nie wynika z tego, rzecz jasna, wcale, iż wszystkie się w tym worku mieści. Kończę dygresję.

Ważny się zatem do „Niobe”. O czym mówi ten poemat, budzący tyle sprzecznych opinii. Czy jest on rzeczywiście, jak twierdzi Lichniak, „zespołem wyrażonych w języku poetyckim tez intelektualnych o szerszej perspektywie”? Jeśli tak, to jakich tez? Określenie Lichniaka jest przecież czysto formalne, żeby nie użyć słowa „formalistyczne”. Przede wszystkim trzeba stwierdzić, o czym poeta w wierszu mówi, a potem dopiero zastanawiać się, w jaki sposób to czyni.

Kto ci może oo uczynić, kiedy jesteś wieku piętna.

Ziemia blisko. Pieśni blisko. Pieśń się śmieje z bomb i kul. „O radości, bogów iskro, gwiazdo ciężejszych pól!”

Strofy te, wzięte w oderwaniu od całości, nie są całkiem przejrzyste, ale byłoby bez wątpienia krzywdą dla poety, gdybyśmy chcieli doszukiwać się treści poematu w jakiegokolwiek pojedynczo wyrwanej strofie. Choć nie wprost i nie zawsze jasno, ale przecież w sposób niewątpliwie przebiega się ona i narzuca odczuciu czytelnika w całości utworu. Mówi o niej „Dedykacja”, stanowiąca wstęp do poematu. Odczytujemy ją w pięknej „Uwerturze”, dającej głęboki, ludzki obraz Niobe mitologicznej, Niobe — rozpaczającej matki: symboli ludzkiej, humanistycznej treści opiewanego przez poetę dzieła sztuki.

I Nieforemna, niewesoła, dzień i noc nad brzegiem morza stoła w śnieg przemieciona —

2 biedna córa Tantalowa, biedna żona Amfionowa, Niobe, nieszczęsną rodzica —

3 siedem synów, siedem córek Diana z Apollonem z łuku rozstrzelał jej o świecie...

Tę samą humanistyczną treść znajdujemy w pieśni żałobnej (Nenia Niobe). Wyraz wzruszenia i radości, jaką daje poecie rzeźba nieborowska, znalazł kształt bardzo, jak pisze Lichniak, „galczyński” we wszystkich „fugach” i „koncertach” poematu, w których muzycznie wnetrze pałacu w Nieborowie, wiadomości z mitologii i dopełniająca jej fantazja poety składają się na wspólny akord holdu dla pięknej rzeźby. Ów składnik ostatni — fantazja — wieździe poetę chwiliami ku akcentom bardzo luźno z głównym tematem związanym, ku obrazom kojarzącym się raczej z samym Nieborowem — geograficznie: ku nagle zjawiającej się postaci Chopina, chyba z pobliskiej Zelazowej Woli, Chopina trochę przekornego, w nonszalanczo żartobliwym skrócie, dalej ku ślicznemu akcentowi piosenki ludowej, jak gdyby z otaczających Nieborów pól mazowieckich wysunętej:

Co się iza oświecilo, to słońcem wschodilo. Co się w ziemię wrzuciło, to się urodziło:

co się w wiatr rozmotało, to się zmoła. Za pagórkicim cicha woda.

Najwięcej zastrzeżeń budzi zakończenie poematu, część IV pt. „O radości, iskro bogów!”, gdzie Galczyński najbardziej beztropko roztacza magię swego poetyckiego „kramu ze świecidełkami”, gdzie natomiast czytelnik najusilniej doprasza się zwartej syntezы, klamry wiążącej całość, światła jasnej formuły ujmującej sens poematu. Oczekujący tego rodzaju formuły czytelnik, najprzejrzajniej nawet nastrojony dla utworu, ze słuszną nieufnością przyjmuje takie chwytły, jak rzeźbienie sensu logicznego w strofach

Sylaba Niobe sylaba nie Niobe dwie sylaby cztery sylaby o sylaby sylaby sylaby sylaby,

Niobe, córa Tantala, Niobe, żona Amfiona — Nie ma śnieg ba śnieg śnieg sylaba ośnięty mama śnieg baba śnieg sylaba ba, itd.

W intencji poety miało to rzekomo oznaczać jakąś muzyczną pauzę czy aluzję do jakiegoś „dziecięcego” rodowodu sztuki, ale aluzja ta jest niezrozumiała i nie bardzo się tłumaczy, a bezsens jako chwyt poetycki mówi wyraźnie o formalistyczno-dekadentkich obciążeniach wyobraźni twórczej Galczyńskiego. Podobnie wielogłoszyny chór, głoszący pochwałę sztuki i jej wartości humanistycznej (l'art qui n'est et pleure, plus vaste que vos canons, plus doux que le bon-heur, „Mensch — ja das klinget stolz. W ileskuswiecie czełowiek”) w sposób dość problematyczny wyraża to, co zdaje się autor chciał wyrazić: akord głosów ludzi wszystkich narodów, uderzonych przez sztukę, służącą wyzwoleniu człowieka. Rzecz domagałaby się traktatu o stosowności takich środków poetyckich, o dopuszczalnych granicach aluzyjności i „kojarzeniowości” w poezji realistycznej.

Tu, wydaje mi się, można i trzeba mówić o pewnych granicach. Nie wiem, czy da je się określić zupełnie ściśle, ale sądzę, że praktyczną miarą powinny być cel następujący: wyrazić sens utworu językiem poetyckim tak, aby czytelnik, do którego poemat jest adresowany, mógł go zupełnie jasno sobie przedstawić w sposób pojęciowy. Zadaniem poezji nie są bowiem żargonizm, „wyrażania niewyraźnego”, jak chcą idealści. Świat jest przecież poznawalny, a więc i — w granicach naszego poznania — wyrażalny. Specyfika obrazowania poetyckiego opiera się w dużym stopniu na metaforze. Ale metafora w poezji realistycznej musi być jednoznaczna. Nie ma w niej miejsca na niedokreślenia gubiące wątek pojęciowy, na zacierającą sens aluzyjność. One

właśnie stanowią istotę poetyki antyrealistycznej.

Zsumujmy nasze uwagi: „Niobe” jest poematem nie pozbawionym treści humanistycznej, ale poematem o walorach ideowych w wielu miejscach zatartych przez niejasność i niejednoznaczność metaforyki, przez skomplikowaną wieloplanową konstrukcją wyobraźniową, przez chwytły czysto formalistyczne. Specyficzna struktura poematu sprawia, że poszczególne elementy jego formy, piękno pojedynczych obrazów, strona dźwiękowa, zamiast służyć wyrażeniu treści ideowej, wysuwa się przed nią, przesłania ją, a niekiedy nawet zaciera. Podstawą dla sztuki realistycznej zasada jedności treści i formy została tu wyraźnie naruszona.

Gdzie leży źródło tego błędu? Podjęty przez poetę problem tzw. wartości trwałych w sztuce jest problemem filozoficznym, jednym z najtrudniejszych problemów estetyki marksistowskiej. Wiąże się on nierozdzielnie z zagadnieniem historycznie zmiennej i klasowo uwarunkowanej funkcji sztuki, z tym wszystkim, co stanowi całą historyczną treść sztuki jako zjawiska społecznego. Galczyński tylko miejscami zbliża się do tych zagadnień w swojej wizji dzieł niaborowskiej Niobe (np. w części pt. „Mała fuga”). Snując fantazje na temat dzieł Niobe nie potrafi dostatecznie zaakcentować głównego ich wątku, który, o ile miałby nosić znamię typowości, winien ukazywać dobitnie klasową funkcję dzieła sztuki w epoce, w której ono powstaje, i ewentualnie późniejszą historyczną przemianę jego roli, oderwanie od związanych z nim dawniej klasowych treści.

Ujęty w sferze nieco ahistorycznej fantastyki, pozbawiony powiązań z konkretnymi treściami klasowymi, problem ów zawisa u Galczyńskiego w dzieleju próżni, wygląda trochę na apologię idealistycznie pojętej „sztuki wiecznej”. U podłoża zawilgą formalnych „Niobe” leży niesprecyzowanie koncepcji ideowej poematu, niedojrzałość ideologiczna poety do podjęcia jego niezmiernie trudnej i skomplikowanej problematyki. Wielki talent, bujna wyobraźnia Galczyńskiego przyoblała jego utwor w mozolną barwną i koncertowo dźwięczną szatę słowną. Obok jednakże skróconych z nieomylną poetycką wrażliwością strof pełnych głęboko ludzkiej treści i realizmu, znajdujemy w nim partie o nieokreślonym wyrazie ideowym oraz zbyt liczne akcenty czysto ornamentacyjne.

Jak w konsekwencji, w świetle naszych wniosków, wygląda teza Lichniaka, iż „Niobe” jest „zespołem tez intelektualnych o szerszej perspektywie”? Wygląda nieprzekonywująco. Właśnie koncepcyjnie poemat jest niejasny, niedo-

wał nad nowym warsztatem i nad dość zasadniczymi elementami realistycznego malarstwa.

Przenosząc tę sprawę w sferę naszej dyskusji, znajdziemy się w obliczu podobnych trudności — w zupełnie odmiennych co prawda warunkach społecznych. Idzie o sprawę rygorów poetyckich, o ideowo-formalną jedność i dojrzałość utworu, o metaforę, obraz i język. Nie mówią tu oczywiście o opalowych, wybitnych przedstawicieli naszej poezji, którzy sprawy te mają dawno poza sobą. Mówię o pokoleniu młodszym, często potykającym się, często brnącym w takie czy inne błędy, ale przecież stanowiącym aktywne i czujne na rzeczywistość środowisko. Mówię również o najmłodszych, o dzisiejszych debiutantach, którzy jutro zadecydują o przyszłości i obliczu naszej poezji. Stąd waga debiutów — było ich ostatnio niewiele; wydaje mi się, że jest to jedno z zagadnień kluczowych. Z tego też punktu widzenia, podobnie jak z punktu widzenia problemu „atakujących beztrosko poetę — praktyka” — można i należy chyba mówić o trudnościach naszej poezji, ale nie o jej kryzysie. Ocena współczesnej twórczości poetyckiej powinna być bowiem uwzględniona — obok wybitniejszych osiągnięć — jej rozwój ideowo-artystyczny w nawiązaniu do postępowego nurtu poezji narodowej; oraz jej konfrontację z rzeczywistością z tym, czego od niej oczekują i czego będą oczekiwać nowi czytelnicy.

Dobrołubow pisał w jednym ze swych artykułów: „Jesteśmy przekonani, że przy określonym stopniu rozwoju ludu — literatura stanie się jedną z sił napędowych społeczeństwa”.

Rozpatrując stan naszej poezji z takiego na przykład stanowiska — dojsz do wniosków wcale nie różowych. Ale i z tego punktu widzenia na pewno nie moglibyśmy mówić o „kryzysie naszej poezji” w porównaniu z okresem dwudziestolecia.

Artur Miedzyrzecki



K. I. Galczyński

myślany, przez co staje się wodą na młyn koncepcji idealistycznych.

„W „Niobe” nie znajdujemy — pisze Lichniak — wielu słów o konkretnych osiągnięciach naszej gospodarki, czy wielu słów o współczesnej racji stanu. Poeta musiał jednak te rzeczy przeżyć, bo w poemacie jego stykamy się z tym, co jest najbardziej istotne dla naszej epoki, z klimatem zasadniczych napięć, z klimatem koniecznych przekombów. Umiejętne oddanie tego klimatu, umiejętne uogólnienie konkretnego przeżywania epoki bez realizowania w słowie poetyckim konkretnych w sensie tematycznym postulatów jest niewątpliwym novum i to novum zwycięskim, ponieważ nakłada na poetę wielki trud mądrego i celnego uogólnienia, które nie ma nie wspólnego z łatwą mglistością ogólników”.

Wydaje mi się, że takie twierdzenia Lichniaka są bujaniem po powietrzu, oderwanym od treści poematu. Nikt nie żąda od Galczyńskiego, aby w utworze o tej problematyce co „Niobe”, pisał o „konkretnych osiągnięciach naszej gospodarki”. Za cel tego utworu trudno jednak uważać także oddanie „klimatu zasadniczych napięć” czy też „ umiejętne uogólnienie konkretnego przeżywania epoki, bez realizowania w słowie poetyckim konkretnych w sensie tematycznym postulatów”, zwłaszcza, że te właśnie wyrażenia doprawdy nie nie znaczą. Celem utworu, tak jak go odczytujemy, było pokazanie, w jaki sposób wielka sztuka pomaga żyć i tworzyć współczesnemu człowiekowi. Czy to jest poezja „poadprogramowa”? Sądzę, że przeciwnie. Jest to piękny i ważny, wcale nie uboczny punkt programu poetyckiego i politycznego poety Pełki Ludowej. Inna sprawa, że cel ten został spełniony tylko częściowo, właśnie dlatego, że tezy intelektualne poematu i całość zagadnień trwałych wartości w sztuce nie została przez autora przemyślana do końca i przedstawiona w sposób konsekwentnie realistyczny.

JEST CZY NIE MA?

(Głos w dyskusji o współczesnej poezji)

Arnold Ślucki zakończył swój niedawno w „Nowej Kulturze” drukowany artykuł *) — wezwaniem do dyskusji. Mam moją przygotowaną na Sekcję Poezji wypowiedź — leży przede mną, nie wygłosiłem jej: jest wiele oporów, które sprawiają, że piszący nie prędko decyduje się na zabranie głosu w sprawach w wielkiej mierze dotyczących jego własnego warsztatu.

— Jest czy nie ma kryzysu w naszej poezji?

— Jest czy nie ma?

Takim tonem pytają dzieci o przyrzeczony podarek.

— Jest czy nie ma? — pytał również afisz zapowiadający kolejne zebranie Sekcji Poezji Warszawskiego Oddziału ZLP.

— Jest czy nie ma? — pytam z kolei kolegę Arnolda Śluckiego po uważnym przeczytaniu jego artykułu. W tym pytaniu nie ma złośliwości. Malarze, kiedy mówią o malarstwie, chętnie gestykulują; wiedzą, że kształt i linię wyrazić można najlepiej ruchem dłoni. Poeta Arnold Ślucki przechodził w swym artykule od uwag ogólnych do spraw, które — jak słusznie podkreśla — „atakują beztrosko poetę-praktyka”. Jest to zrozumiałe i nie może wywolywać zastrzeżeń.

Afisz zapytuje jednak nadal: „Jest czy nie ma?”, a przewodniczący zebrania ma w oczach dyskretny uśmiech.

Zapisuję się do głosu, przepraszając na wstępie za dygresję grubawą i mało subtelną.

Otóż w pierwszym punkcie mego konspektu znalazły się krótkie uwagi o trudnościach na rynku młodym.

Nie idzie oczywiście o analogię, a tylko o tok rozumowania. W kra-

ju mamy ostatnio trudności mięsne. Na zachodzie, w krajach kapitalistycznych, zaznaczają się raz po raz takie czy inne objawy kryzysu gospodarczego. Nasze trudności nie mogą być jednak w żadnym wypadku podciągane pod jakikolwiek wspólny mianownik z kryzysowymi objawami kapitalizmu.

W interesującej nas dziedzinie analiza ta powinna być uwzględniona przede wszystkim warunki ogólnokulturalne, w jakich odbywa się rozwój naszej poezji.

Następna sprawa: z czym, z jakim okresem będziemy porównywać obecny stan poezji? W jakim będziemy to robili kontekście? Czy na przykład zadowolimy się porównaniem statycznym, zestawiając mechanicznie z dwudziestolecie, przeprowadzając statystyki i punktację „kalibru indywidualności poetyckich oraz ich ilości”? Czy też rozpatrzemy stan naszej poezji w szerszym kontekście ideowo-artystycznym, uwzględniającym zarówno narodową tradycję literacką jak i nowego odbiorcę i nowe zadania poezji?

Sądzę, że to ostatnie stanowisko jest słusze i uzasadnione. Umożliwia ono bowiem pełniejszą ocenę drogi polskiej poezji, ukazuje jej obecne trudności i ukazuje jednocześnie perspektywy jej dalszego rozwoju.

Czy można mówić o kryzysie naszej poezji? Chyba tylko wtedy, gdybyśmy przyjęli „teorię beztroskości” z „Pałubą” Rykowskiego i określili każdą trudność terminem „kryzys”. Jest to jednak w tym wypadku niedopuszczalne i, wydaje mi się, godne owego „azyłmu dla ubogich duchem”, przeciwko któremu z takim żarem protestował autor „Pałuby”.

— „Jest czy nie ma?” — Nie ma. Takiej sytuacji nie ma. Wykluczają ją zarówno zdobycze naszej poezji zadaną drogą socjalistycznego realizmu, jak i ogólne zdobycze

wał nad nowym warsztatem i nad dość zasadniczymi elementami realistycznego malarstwa.

Rozwój oświaty i czytelnictwa poszerza krąg odbiorców poezji na skalę, o jakiej w okresie dwudziestolecia nie mogło być nawet mowy. Popularność utworów wokalnych naszych poetów jest bardzo wielka. Oczywiście, zmienił się typ odbiorcy. Śnobistyczny salon należy do przeszłości i nikt z nas nie będzie go żałował. Ale nowe warunki powstały obowiązek szluszowania poezji do pierwszego szeregu, nakładają nowe obowiązki warsztatowe, te, o których pisał między innymi Ślucki, stawiają wielkie problemy niełatwych i odpowiedzialnych. Są to jednak trudności rozwojowe; trudności, które nie tylko nie stanowią „kryzysu”, ale są w pewnym sensie jego przeciwstawieniem. To jest problem podobny do pytania: Czy Warszawa jest miastem ruin, czy miastem budowy?

Wydaje mi się również, że kiedy porównujemy się do obecny stan naszej poezji z okresem dwudziestolecia i kiedy w tym właśnie kontekście rozważa się sprawę trudności poetyckiej — zestawia się czasami przypadkowo i zbyt powierzchownie. Jeżeli występują debiutanci, to nie można go przecież formalnie, warsztatowo porównywać z którymś z dojrzałych poetów piszących w okresie dwudziestolecia. Porównanie od tej strony słuszniejsze to np. porównanie z przeciętnym hołściwskim debiutem. Wydaje mi się — i nie jest to bynajmniej moja oryginalna opinia — że wynik takiego porównania nie skłania do rozdzierania szat. Jest to tym bardziej istotne, że poezja realistyczna nie znosi przecież wątpliwej kompozycji i nieodpowiedzialnego bełkotu, demaskuje łatwiej i prawie nieomylnie.

Przykład z innej dziedziny, ale chyba podobnej natury. Kiedy grupa postępowych malarzy francuskich, uprawiających dotąd sztukę abstrakcyjną, przeszła na pozycje realistyczne — okazało się, że musiała ona bardzo solidnie popraco-

wać nad nowym warsztatem i nad dość zasadniczymi elementami realistycznego malarstwa.

Przenosząc tę sprawę w sferę naszej dyskusji, znajdziemy się w obliczu podobnych trudności — w zupełnie odmiennych co prawda warunkach społecznych. Idzie o sprawę rygorów poetyckich, o ideowo-formalną jedność i dojrzałość utworu, o metaforę, obraz i język. Nie mówią tu oczywiście o opalowych, wybitnych przedstawicieli naszej poezji, którzy sprawy te mają dawno poza sobą. Mówię o pokoleniu młodszym, często potykającym się, często brnącym w takie czy inne błędy, ale przecież stanowiącym aktywne i czujne na rzeczywistość środowisko. Mówię również o najmłodszych, o dzisiejszych debiutantach, którzy jutro zadecydują o przyszłości i obliczu naszej poezji. Stąd waga debiutów — było ich ostatnio niewiele; wydaje mi się, że jest to jedno z zagadnień kluczowych. Z tego też punktu widzenia, podobnie jak z punktu widzenia problemu „atakujących beztrosko poetę — praktyka” — można i należy chyba mówić o trudnościach naszej poezji, ale nie o jej kryzysie. Ocena współczesnej twórczości poetyckiej powinna być bowiem uwzględniona — obok wybitniejszych osiągnięć — jej rozwój ideowo-artystyczny w nawiązaniu do postępowego nurtu poezji narodowej; oraz jej konfrontację z rzeczywistością z tym, czego od niej oczekują i czego będą oczekiwać nowi czytelnicy.

Dobrołubow pisał w jednym ze swych artykułów: „Jesteśmy przekonani, że przy określonym stopniu rozwoju ludu — literatura stanie się jedną z sił napędowych społeczeństwa”.

Artur Miedzyrzecki

*) Konstanty Ildefons Galczyński „Niobe” wyd. Czytelnik, Warszawa, 1951 r. str. 50.

*) A. Ślucki „Advocatus Diaboli”, „Nowa Kultura” Nr 1 (93).

ciwienstw, które dojrzeć pozwala realizm rzeźby Stwosza: nędzę, ból i nienawidę uciesniczych, złażki buntu. Nie wiem też, czy postać samego mistrza Wita przedstawionego w roli artysty osamotnionego w swych wysiłkach ukazania w pełni współczesnego mu świata, zarysowana jest słuszenie. Fakt, że Stwosza przetrasła inną talentem, nie zaprzecza temu, że był on człowiekiem swego czasu, wyraziścielem uczuć ludzi sobie podobnych, rzeźbił nie tylko „dla nich, dla prostactków”, ale jako jeden z nich, mimo iż wykonywał przy tym zamówienie społeczne możnych. Niewątpliwie postawa jego jako artysty była wyrazem sprzecznosci nurtujących jego epokę; raz wyrażał ideologię „zamówienia społecznego” klasy panującej, gdzie indziej — świadomie lub nawet nieświadomie — ideologię swojej klasy. Postawa rozdwojona między samotnym artystą społeczeństwem, której ślady znajdujemy w poemacie „Oltarz mój — samotny jak ja sam” — to echo sytuacji artysty w epoce zupełnie innej, bliższej oczywiście samemu Galczyńskiemu niż Stwoszewi.

I tu odzywa się echo błędu ideowego, który często popełniał Galczyński jako poeta w okresie powojennym, błędu pojawiającego się nieomal niezależnie od tematu w jego utworach. Jest nim nieodróżnianie ideologii, tzw. „małego, szarego człowieka” od ideologii rosnącej, rewolucyjnej klasy społecznej. Nurt plebejski w późnym średniowieczu — to przecież był nie tylko samotny artysta, śpiewający solarze i villonowskie obywateli — to był także nurt, który doprowadził do zjawiska wojen chłopskich, to było także rodzaje się mieszczaństwo, pełne twórczej siły i woli buntu wobec możnych. Jeżeli w oltarzu Wita Stwosza, dziele późnego gotyku i schyłku średniowiecza, a nie rodzaje się renesansowej epoki — tendencje te są jeszcze słabiej widoczne, to poemat powinien być tu może wyjść poza opisywane arcydzieło i świadomość jego twórcy, oddalając postać Wita Stwosza z widocznej dla nas perspektywy, jako człowieka uwikłanego w sprzecznościach ideologicznych starego, umierającego, oraz rodzącego się nowego świata.

Jest m. in. w poemacie zdanie „gdymy Stwosz dzisiaj żył, to by rzeźbił monterów i szoferów”. Otóż chyba nie tylko o to chodzi. Jeżeli Stwosz potrafił w swej rzeźbie ukazać tak wspaniale swoją epokę, to jest nam bliższy chyba przede wszystkim jako wzorzec sztuki o wielkim oddechu, sztuki, w której artysta ukazać potrafił całą dramatyczną walkę i patos naszych czasów: nie tylko same postaci tzw. „prostych ludzi”, ale także wyraz ich zbiorowej siły, piękno i rozmach socjalistycznego narodu i przedzającej mu klasy. Tę sprawę chwytając jako Galczyński w „Finale” poematu, który głosi słuszenie ciągłości wielkiej tradycji kulturalnej, wprowadzającej się z trudu artysty, „trudu, który zrodził urodę”. „Finał” określa, kto jest głównym dziedzicem i kontynuatorem tej tradycji.

Ale właśnie owa walka dwóch światów, której wyrazem jest dzieło Stwosza, świata realistycznej prawdy i fideistycznej, martwej już dla nas konwencji — nie pozwala nam głosić dzisiaj chwały tego dzieła, bez podkreślenia elementu walki, która nadal, i dzisiaj także, rozgrywa się wokół sprawy naszego wielkiego dziedzictwa kulturalnego. W poemacie Galczyńskiego nie zawsze widać całkiem wyraźnie, dlaczego dzieło Stwosza jest dzisiaj nie tylko za „przejazdną”, pokojem, „poezją w świetlicach fabrycznych”, ale także przeciwko wszelkim siłom wrogim ludowi, a zatem jednocześnie wrogim tradycji kultury. Czasem wydaje się, że Galczyński bardziej chwali jego wszechogarniającą uniwersalizm, niż jego zbuntowaną w swym realizmie plebejskość.

Te pedantyczne może nieco zastrzeżenia nie umniejszają znaczenia podkreślonego wyżej zwrotu poety ku realizmowi w jego nowym poemacie. Opis „Roboty” mistrza Wita we wzruszający sposób kreśli psychologiczną sylwetkę wielkiego snyczera. Przepiękne strofy o „biblii z lipowego drzewa”, cała rozmowa mistrza z matką („...a ty szaty wiatr targa, to wiatr też wystrugałem”) są prawdziwymi klejnotami wrażliwej i głębokiej wyobraźni artystycznej.

W sumie „Wit Stwosz” jest poematem, który stawia podobnie do „Niobe” zagadnienie twórczej i zaplanowanej roli wielkiej sztuki w postaci o wiele cenniejszej i przejrzyjszej niż „Niobe”, bez rezygnacji z indywidualnych właściwości stylu poety.

W dyskusji na temat „Niobe” padły słowa, że jest to „zjawisko poetyckie na uboczu naszej rzeczywistości”. Jeżeli tak jest, to z pewnością nie ze względu na problematykę tego utworu, ale z uwagi na jego wyżej omówione usterki ideowe i artystyczne. Jest rzeczą oczywistą, że rozwinęty w „Niobe” i „Wicie Stwoszu” „punkt programu” poetyckiego i politycznego poety nie powinien być jedynym w jego twórczości. Wśród utworów Galczyńskiego drukowanych ostatnio zwraca uwagę wiersz pt. „Poemat dla zdracy”. Jego głęboka wymowa poetycka i polityczna wskazuje bez wątpienia na szersze możliwości tej aktywizacji ideowej poety, o jakiej mówiono w dyskusji.

Ryszard Matuszewski

BOGDAN BUTRYŃCZUK

Druga sztuka Gruszczyńskiego

Prorwały moją wyobraźnię obrazy bohaterów Francji: Raymond i Henri Martina — wyznaje Gruszczyński. Niewątpliwie, dzieła tych i tysięcy innych, bezimiennych bohaterów walki o pokój stanowią punkt wyjścia dla akcji dramatycznej „Pociągu do Marsylii”.

Rzecz dzieje się zatem w środowisku francuskich kolejarzy: Marcel Ledoux, stary maszynista przeniesiony właśnie na emeryturę, nie przeczuwa nawet burzy, jaka zakłóci pierwszy dzień jego ojcowej starości. Nie chodzi tu zresztą tylko o niego. Z miasteczka ma odejść do Marsylii pociąg, wiozący żołnierzy kolonialnego korpusu ekspedycyjnego, a prowadzony przez zięcia starego Ledoux — André Martina. Jednak André nie należy do tych maszynistów, którym jest objętne, co im „przyczepią do lokomotywy — wagon z mąką, czy z wojskiem...” Odmawia.

Tymczasem w miasteczku narasta bunt. Władze postanawiają przyspieszyć odjazd pociągu. Ale zaden maszynista nie chce jechać — André był po prostu jednym z wielu. Sytuacja staje się coraz groźniejsza. Ludność burzy się, nie chce dopuścić do wysłania wojsk do Indochin.

O nastrojach panujących w miasteczku dowiadujemy się od krążącej wśród żołnierzy i agituującej ich żony Martina — Michele, od Dominique porzuconej z dzieckiem przez kapra Bregaina, od szpicla Crottina, spełniającego rozmaite polecenia prefekta policji, wreszcie bezpośrednio od żołnierzy, którzy zajęli „na wszelki wypadek” stanowiska bojowe w mieszkaniu Ledoux.

Od chwili wkroczenia wojska do domu emerytowanego maszynisty akcja sztuki zmierza szybko i konsekwentnie do celu. Stary Ledoux, choć czytuje tylko „Humanité”, nie jest bojownikiem — nigdy nie walczył. Obecnie tęskni do pracy, której go pozbawiono, marzy o tym, żeby choć raz jeszcze poprowadzić lokomotywę. Tężeż zawiązanie istotnego konfliktu dramatycznego następuje w chwili, gdy — po wyczerpaniu innych możliwości — zwracają się do niego, aby zawiadzał wojsko do Marsylii, obiecując wysoką premię i wdzięczność władz. Wszystko wskazuje na to, że Ledoux ulegnie zarówno własnej słabości, jak namowom swoich niedawnych przełożonych, a przede wszystkim własnej żony, której mieszczańska mentalność zawsze studziła jego bojowy zapał. Idzie na wezwanie i wkrótce już słyszymy gwizd lokomotywy. Scena ta należy do najciekawszych w sztuce, to ona pasuje Ledoux na głównego bohatera dramatu, a jego „kawalerska” przejażdżka na lokomotywę, zakończona wypuszczeniem pary i przyłączeniem się do manifestujących, znakomicie ilustruje przełom ideowy, jaki nastąpił w starym emerycie — niby powrót uroczony młodości.

Również wojsko decyduje się na kroki bardziej stanowcze — odmawia wypienienia rozkazów, pozuca swe stanowiska i manifestuje wraz z ludnością przeciw „brudnej wojnie”. Przy faszyzującym poruczniku Arbois zostaje tylko tchórzliwy drobniomieszczanin Nicolas, który zajął miejsce zastrzelonego za niedopiniowanie dyscypliny wojskowej kapra Bregaina.

Już z tego pobieżnego streszczenia widać, że sztuka jest wielopłaszczyznowa, pełna ostrych spiek dramatycznych i nasyciona gęstą atmosferą walki. Jej ideologiczną treść kształtowały słowa Stalina, który powiedział, że „pokój zostanie utrzymany, jeśli narody świata ujmą jego losy w swoje ręce”. Świadomość tej głębokiej prawdy daje się i pewność zwycięstwa słusznej sprawy. To świadomość posiada zarówno Martin jak Michele i Rigogne. Pod wpływem wypadków zyskują ją również inni, przede wszystkim stary Ledoux.

Smiała w dramaturgicznym rozwiązaniu scena agitowania żołnierzy przez Martina znakomicie świadczy o tym, że teatr nie boi się dobrej publicystyki, która przecież nie jest sprzeczna z żadną z zasad dramatycznej konstrukcji. Sztuka Gruszczyńskiego jest w tym sensie jeszcze jednym pozytywnym przykładem, że dobra publicystyka może być równocześnie dobrym teatrem.

Dopiero teraz przychodzi nam zbierać owoce niedawnego festiwalu. Autor „Dobrego człowieka” sporo nauczył się od czasu swego scenicznego debiutu. Zwłaszcza w zakresie budowy dramatu. Świadczy o tym konstrukcja „Pociągu”, której jedyną nieporadnością jest niepotrzebne przełamanie finału. Mimo że akcja sztuki rozgrywa się w jednym wnętrzu i w ciągu kilku wieczornych godzin, konflikty narastają naturalnie, w tempie, lecz bez pośpiechu, i posiadają rzeczowe uzasadnienie.

A jednak sztuka Gruszczyńskiego, niezależnie od błędów inscenizacji, budzi pewne wątpliwości, które wydają się wpływać na obniżenie jej niewątpliwych zalet. Wątpliwości te nasunęły mi się bezpośrednio po przeczytaniu egzemplarza, a potwierdziło je przedstawienie. Tak, Gruszczyński wzbogacił swój warsztat pisarski. Ale czy wzbogacił również swoją wiedzę o życiu? Wydaje mi się, że bohaterowie jego nowej sztuki odpowiadają przecząco, jakby czuli żal do autora o to,

że nabierają rumieńców życia dopiero w tych momentach, gdy odzywają się w nich skłonności do pesymizmu. W rezultacie dialog pozbawiony komatów, nie jest jednak pozbawiony werbalizmu. Autor niepotrzebnie stara się swoich bohaterów udziwnić, doprawia zapożyczoną z ksiązek wiedzą o tego typu ludziach i ich życiu. Więc jak kanalia to już dubeltowa, jak człowiek chwiejny to nie ino — nie robi tylko się chwieje.

W tym potęgowaniu cech nie zawsze pierwsozoplanowych gubi się często naczelna idea postaci. Weźmy kanalia — Arbois, Bregain, Nicolas i Crottin. W każdej z nich tkwi jądro faszyzmu. Ale tylko Arbois mówi o tym, że faszyzm wyrósł z bezbrzeżnej pogardy do ludzi, choć i w nim cecha ta zaprawiona została jakąś domieszką egzystencjalizmu, niebyleż pasującego do munduru. Albo Bregain. Przez cały czas usiłowałem rozpoznać w nim dobre mi znane skądś rysy. I odniosłem wrażenie, że bez większego wysiłku można by znaleźć parantele łączące go z postaciami Celine'a, albo Gide'a. Jednakże literackie pokrewieństwo tej i innych postaci jest tu równie powierzchowne, jak przydane im nazwiska, które można zmienić, i umieścić akcję np. w Włoszech, Belgii czy Anglii — w ogóle w każdym kraju targanym sprzecznościami kapitalizmu i posiadającym kolonie. Dlatego rzeczywistość sztuki nie jest w pełni rzeczywistością Francji, dlatego też miejsce wszechstronnej argumentacji intelektualnej zajmują w niej gotowe uogólnienia, oddziałujące raczej siłą emocjonalnego wyrazu niż logiką niezbitej, dialektycznej prawdy. W „Dobrym człowieku” Gruszczyński — jak mi się wydaje — miał więcej do powiedzenia. Nie umiał jednak powiedzieć wszystkiego w sposób tak ambitny, jak to uczynił obecnie. Również w tamtej sztuce posłużył się — tam gdzie brakowało mu własnej inwencji i znajomości żywych przykładów — zapożyczeniami pewnych wzorców — niestety typów ludzkich, jak np. gorkowski żebrak (nb. już po premierze usunięty z inscenizacji warszawskiej), wypowiedziacy dowcipnie, lecz obce charakterowi postaci i sztuki, sofizmata o życiu. Szpicel Crottin z „Pociągu do Marsylii” jest niewątpliwie konsekwentnie i bez porównania dojrzałym rozbudowaną postacią. Sądzę, że należy podkreślić tę symptomatyczną cechę twórczości pisarza, który wniósł zwrócić szczególną uwagę na pogłębienie swej znajomości ludzi i życia. A może to — jako twórca —



Scena ze sztuki Gruszczyńskiego „Pociąg do Marsylii” w Teatrze „Ateneum” w Warszawie.

uczynić najskuteczniej, zwracając się bezpośrednio do tematyki, którą mógłby sprawdzić i skontrolować własnym doświadczeniem.

Niewątpliwie, zostaliśmy przekonani jeszcze jednym przykładem o słuszności walki o pokój, ale nie dowiedzieliśmy się dla czego. Ustrój Francji jest zły. Nie dowiedzieliśmy się również o tym stary Ledoux, któremu na pewno wprawdzie, że mógł sobie wybudować ten przyjemny domek, w którym mieszka, tylko dzięki temu, że Francja posiada kolonie. Dlatego jego manifestacja wydała mi się pięknym wprawdzie, ale zbyt żywiołowym czynem.

Ow wpływ lektury jako podstawa cecha psychologicznych doświadczeń ominęła wprawdzie postacie pozytywne, te jednak wyrażają cierpienia na niedokrwistość. Jedynie stary Ledoux wyposażony autor w głębie przeżył prawdziwie ludzkich. Ale też tylko on gromadzi w sobie treść przeobrażeń, tylko on odkrywa swe wnętrza powoli, w miarę rozwoju wypadków, w akcji dramatycznej. Może więc wbrew intencji autora, właśnie on wysunął się na plan pierwszy, usuwając niejako w swój cień André Martina, o którym wiemy od pierwszych jego słów, że pociągu nie poprowadzi?

*

„Pociąg do Marsylii” stanowi bogaty materiał dla artystycznej pracy zespołu teatralnego. Nie należy się zatem dziwić, że wzięły ją na warsztat równocześnie trzy teatry:

WŁODZIMIERZ LEWIK

Czy Wiwia Warren jest „pozytywnym bohaterem”?

W recenzji A. Degala, omawiającej warszawską realizację „Profesji Pani Warren” i ogłoszonej w ostatnim numerze „Nowej Kultury” — mogą a nawet powinny zaniepokić względnie obudzić poważne wątpliwości m. in. następujące opinie: „Zaryzykuję twierdzenie, że nie tylko Wiwia, ale i Frank uważani byli przez Shawa za postacie pozytywne”... „A uparli się grać ją jako beznamiętną, bezduszną egoistkę...” — „Skąd znów ta dziwna reakcja widowni wobec pozytywnej postaci sztuki...” — „Kossobudzka w roli Wiwii nie mało przyczyniła się do wzmocnienia chłodu widowni”.

Obronie tej „pozytywności” poświęcił recenzent sporo miejsca, kwestionując zarówno kreację Kossobudzkiej, jak i niczym nie usprawiedliwioną — jego zdaniem — negatywną, chłodną postawę publiczności wobec Wiwii. Czy tego rodzaju stanowisko, zwłaszcza, że autor recenzji wywodzi swoimi podpisami się pod domniemaną opinią Shawa — jest rzeczywiście słuszne? Kto ma rację, recenzent czy publiczność? — Oto pytanie, na które spróbuję odpowiedzieć. — również z pozycji publiczności, jak i nade wszystko z pozycji „nowego oświeceniela” pisarstwa Shawa. Potrzebę takiego nowego rzutu oka na twórczość autora „Profesji” podkreśla zresztą sam Degal już w pierwszym zdaniu swojej recenzji.

Książka, o jakiej myśli recenzent, ukazała się niedawno w Anglii pod tytułem: „A good man fallen among Fabians” i jest dziełem krytyka-marksisty A. Westa. W zamierzonej próbie odpożywnienia Wiwii pozwolił sobie posłużyć się właśnie argumentacją Westa.

Shaw, wybierając w r. 1892 karierę pisarza dramatycznego, ma już za sobą ukończoną w r. 1883 serię pięciu powieści, z których ostatnia „Socjalista na ustroniu” (Unsocial Socialist) wykazuje już bardzo poważne wpływy lektury „Kapitału” oraz uczestnictwa w zbraniach marksistowskiego kółka. Lata między 1883 a 1892 to okres pracy w „Fabian Society”, okres reformistycznych batalii i współudziału w krucjacie probensońskiej. W dramatyczne szranki wstąpił więc Shaw uzbrojony — nie dostatecznie jeszcze — w ekonomiczne argumenty marksizmu i — po zęby w utopijstyczną i błędną filozofię fabianistów. Oba te światopoglądy — a zwłaszcza ten drugi — które nie miały rolę odegrały

w kształtowaniu osobowości bohaterów powieści Shawa, znalazły dobitny wyraz również i w rysunku charakteru Wiwii Warren.

Owi bohaterowie — to, krótko mówiąc — przedstawiciele społeczeństwa zmił racjonalistów, zamknięci w sobie zrywające więzów społecznych, samotni geoluzie, którzy odwrócili się zarówno od proletariatu, jak i mieszczaństwa. Ich coraz bezlitośniej obnażana osobowość — to próba odizolowania i zdefiniowania osobowości samego Shawa. Jednym z takich autorportretów miała być, wedle słów Williama Archera, również i Wiwia Warren. Mimo odruchy uczucia, to w gruncie rzeczy chłodna, bezdusza racjonalistka, obawiająca się jak ognia takich pajęk jak: urok, piękno, sztuka, sentymentalizm; odrzucająca przyjaźń, miłość — i beznamiętnie zadowolona z siebie.

Jeśli idzie o plany na przyszłość, Wiwia, po dokonaniu rozrachunku z matką i społeczeństwem, żyje już tylko myślą o robieniu pieniędzy, śledzeniu kursów giełdowych i spędzaniu wieczorów z cygaretką w ustach nad szklanceczką whisky oraz — jedyną koncesją na rzecz literatury — powieści defektywistycznej. W tym konsekwentnym racjonalizmie Wiwia idzie nawet dalej niż bohaterowie — samotnicy serii powieściowej. Tamci przynajmniej kochali sztukę — ona odrzuca nawet i ten ostatni pomysł, po którym prędzej jej później musiałaby przejść na stronę życia, na stronę przynależności do społeczeństwa.

Ten tak zastrzony racjonalizm jest już właściwie karykaturą racjonalizmu z powieści Shawa, karykaturą tym bardziej bolesną, że obrazuje nieudane usiłowanie pisarza uwolnienia się od (już i temu samemu ciężącemu) osamotnienia pomiędzy dwiema klasami.

Jest w „Profesji Pani Warren” jedna kończąca scena drugiego aktu, kiedy Wiwia, zdruzgotana prawdą o losie społecznym matki i motywach jej stoczenia się w bagno, traci panowanie nad sobą, zalamuje się i wreszcie ponosi klęskę. Klęskę, która zapowiada wspaniałe zwycięstwo — porażkę mieszczańskiego indywidualizmu i odnalezienie właściwej drogi do uświadomienia sobie przynależności do społeczeństwa, z którego wyszła — do walki z nim o byt, godnego ludu. Ale, niestety, tylko zapowiedź.

Dwa następne akty to już tylko jakby odwrócenie biegu dwu pierwszych. Widocznie przeobrażenie Wiwii było zbyt powierzchowne, skoro, wydałoby się, nawrócona —

atak na ulega dwu kolejnym atakom na jej osobowość. Pierwszy atak — to pomówienie jej o sentymentalizm, więc uderzenie w jedną z najczulszych strun jej tak pracowicie budowanego racjonalizmu. Drugi — to konfrontacja w rozmowie z Croftsem z nową „rzeczywistością”, z jeszcze potworniejszym niż sobie wyobrażała wizerunkiem zgnilizny społeczeństwa, które teraz reprezentuje również i jej matka. Właściwie już pierwszy atak odniósł zamierzony skutek. Dziecko zapomniało o matce, o swej tak świeżo odkrytej przynależności.

Łącząc robotnika — cytuję Westa — i kapitalistę w jednej i tej samej osobie, Shaw każe zapomnieć o zasadniczym rozłamie istniejącym w społeczeństwie klasowym. Nie przeciwstawia swej bohaterki ani jako kapitalistki klasie robotniczej, ani jako robotnicy — klasie kapitalistów. Przeciwdziała ją jako czystą dziewicę budowy kapitalizmu w ogóle. W ten sposób nawraca do burżuazyjnej ideologii, stawiając jednostkę z jednej, a społeczeństwo z drugiej strony, ideologicznie, od której próbował się uwolnić.

Zarówno ucieczka Wiwii do Londynu, jak i jej zerwanie z matką, Frankiem i społeczeństwem nie uzupełniają już właściwie żadnym nowym rysem nakreślonej na początku sylwetki Wiwii. Skoro nie zdobyła się na decyzję opowiedzenia się po tej czy po tamtej stronie, pozostanie — jak była — oszłą, jeszcze bardziej egocentryczną filisterką i arcykapłanką kultu samej siebie. Jej więc końcówka „zwycięstwo” jest w pełnym tego słowa znaczeniu zwycięstwem negatywnym i aspołecznym.

Gotów jestem zgodzić się z recenzentem, że Wiwia w zamierzeniu Shawa miała być może czymś w rodzaju postaci pozytywnej, przynajmniej w pojęciu Shawa-fabianisty (i bądź co bądź — jeszcze mieszczańskiego indywidualisty), ale jak widać — w wykonaniu pozytywnej „nie wyszła”. Co do Franka — cóż, wydaje mi się, że wystarczy tu zacytować jedno zdanie z przedmowy Shawa: „synalek mimo znacznych zdolności i wdzięku jest cynicznie bezwartościowym członkiem społeczeństwa”. Może i choruje na „atropię woli”, ale żeby coś przeżywał, czy nawet chciał walczyć — nie wiedząc tylko jak — to już chyba zbyt daleko posunął się przelicznymi recenzentem.

Jeśli tak długo zatrzymałem się nad analizą pozytywności czy niepozytywności Wiwii, nie znaczy to,

Dlaczego spektakl nie miał wyrazić? Wydaje mi się, że analiza interpretacji aktorskich dałaby odpowiedź na to pytanie, lecz wyrządziłaby niezasiadłą krzywdę być może zdolnym, lecz niedojrzałym jeszcze aktorem, wśród których na palcach ośmiem ręki można policzyć tych, którzy dzięki posiadanej rutynie nadali grąmy przez siebie postaciom indywidualne rysy, zgodne z ideologiczną wymową sztuki.

Zaden z aktorów — na dobrą sprawę — nie był właściwie obciążony. Grzechem tym nie należy obciążać Uklej — nie miał przecież wyboru. Najbardziej nawet zdolna młodzież nie wypełnił luk, powstałych wskutek braku aktorów o różnej skali i rodzaju swych artystycznych dyspozycji. Dlatego nie ma mowy o dobrym przedstawieniu w teatrze skazanym na kompromisowe obsady, zwłaszcza gdy będą je stanowili aktorzy młodzi. Spod wąsów, peruki i najgrubszej szminki na pewno będzie przeświecał twarz młodego człowieka. Natomiast chwalebna, lecz niekiedy zbyt krzykliwa żarliwość przeżyła nawet u trafnie obsadzonego, lecz nie doświadczonego aktora, zdradzi brak umiejętności, których nabywanie przychodzi z trudem i nie bez pomocy.

Dwa przedstawienia teatru „Ateneum” umożliwiają już postawienie diagnozy: bojowy i posiadający wszelkie szanse rozwoju zespół cierpi na wyraźną anemię. Jest to — jak wiadomo — choroba złośliwa i wyczerpująca organizm, lecz uleczalna. W jaki sposób jej zaradzić? Z wielu możliwych rozwiązań wybrano — jak sądzę — najlepsze, powierając kierownictwo teatru Januszowi Warmińskiemu, który niewątpliwie potrafi wyciągnąć wnioski ze swoich doświadczeń, nabytych w teatrze „Nowym” w Łodzi. Dalszym wyrazem opieki powinno być umożliwienie wydatnego uzupełnienia zespołu wybitnymi aktorami, którzy nie tylko usuną przykrą konieczność poszukiwania kompromisów sprzecznych z istotą sztuki, lecz także przekazą swoim młodszym kolegom trudną umiejętność świadomego posługiwania się talentem.

Bogdan Butryńczuk

Państwowy Teatr „Ateneum”: Krzysztof Gruszczyński „Pociąg do Marsylii”. Sztuka w 3-ach aktach. Reżyseria: Jerzy Ukleja. Scenografia: Władysław Buśkiewicz. Współpraca dramaturgiczna: Tadeusz Lipszyc.

żebym chciał przypisywać temu zagadnieniu ważniejszą rolę niż mu przyznał sam autor. Nie znaczy, żebym przeoczył cel sztuki, tak jasno sprecyzowany w przedmowie do „Profesji”: „Profesji Pani Warren” napisałem w celu zwrócenia uwagi na fakt, że przyczyną prostytucji nie jest ani znieprawienie kobiet, ani wyuzdanie mężczyzn, ale po prostu wyzyskiwanie, niedocenianie i przeciżkanie kobiet pracą w sposób tak haniebny, iż najuboższe wśród nich są zmuszone chwycić się nierządu dla utrzymania się przy życiu... Pragnęłam również wywlec na światło dzienne fakt, że prostytucja uprawia nie tylko „inicjatywa prywatna”, bez organizacji, w mieszkaniach samotnych kobiet, z których każda jest panią na własnych śmieciach i chwilową kochanką każdego klienta — lecz jest ona także wielkim, międzynarodowym handlem, zorganizowanym i prowadzonym jak każdy inny, dla zysku kapitalistów...”

Nie jest rzeczą ważną, co się Shawowi nie udało w jego sztuce i w czym się pomylił. Ważne jest, że jako owoc krytycznego realizmu „Profesji Pani Warren” jest jednym z najjadliwszych w literaturze ataków na zgnilizny ustroju kapitalistycznego, jednym z najwspanialszych przykładów demaskatorskiej pasji pisarza, który odważył się demaskować zbrodnie przeciw społeczeństwu w czasach, kiedy inni z równym zapałem zajmowali się ich maskowaniem.

Tę ważność i nadrzędność tego naczelnego zagadnienia zrozumiał realizatorzy warszawskiego przedstawienia „Profesji Pani Warren” stawiając je na właściwej płaszczyźnie. Zrozumiała i publiczność, rozdziałając swoje sympatie sprawiedliwie i komu należało. Dlatego pani Warren, jako ofierze kapitalizmu, która z danych jej przez społeczeństwo do wyboru dwu niemoralnych alternatyw — tj. nędzy i prostytucji wybrała — według swego rozumienia — mniej niemoralną — dostała się słusznie współczucia, a Wiwii chłód i obojętność. Dlatego słusznie postąpił Kossobudzka przyczyniając się do wzmocnienia tego chłodu, słusznie postąpił Horzyca, tak a nie inaczej ustawił jej rolę.

W przypadku „Pani Warren” wiadownia zdała znakomicie egzamin czułości i intuicji odrzucając aspołeczny, bezduszny racjonalizm Wiwii — a historię pani Warren przyjmując do wiadomości jako pozwalające przypomnienie zgnilizny moralnej ustroju burżuazyjnego.

Włodzimierz Lewik

Z TYGODNIA

W KRAJU

7.477.370 EGZEMPLARZY DZIEŁ LENINA WYDANO W POLSCE w latach 1945-1951, z czego w ciągu ostatnich dwóch lat wydano 4.084.670 egzemplarzy. Z 35-tomowego wydawnictwa dzieł Lenina ukazało się dotychczas w języku polskim 10 tomów. W b. r. ukazuje się dalszych 8 tomów.

MUZEUM LENINA W PORONINIE stanowi ośrodek kulturalny i polityczny, oddziałyujący na całe Podhale. Obok domku góralskiego - Muzeum, wybudowano gmach, w którym mieści się czytelnia książek i czasopism oraz sala kinowa, w której poza wyświetlanymi codziennie filmami z życia Lenina - odbywają się sceny kinowe dla ludności Poronina i okolicznych wsi.

POGRZEB JERZEGO BOREJSZEGO odbył się w Warszawie 22.I. Wartę honorową przy okrytej czerwonym sztandarem trumnie, którą wystawiono na widok publiczny w Domu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, pełnili towarzysze walki i pracy Zmarłego: działacze PZPR, towarzysze broni z I Armii WP, działacze ruchu obrotowców pokoju, literaci, dziennikarze i młodzież ZMP-owska. W pogrzebie wzięli udział m. in.: premier J. Cyrankiewicz, wicepremier S. Jędrzejowski, min. J. Berman, sekretarz KC PZPR E. Ochab, min. A. Rapacki, min. S. Dybowski, przewodniczący CRZZ W. Kłosiewicz, wicemin. Obrony Narodowej gen. M. Naszkowski, prezes Związku Literatów Polskich L. Kruczkowski, wiceprzewodniczący PKOP L. Infeld i S. Ignar. Na cmentarzu Wojskowym na Powązkach przed złożeniem trumny do mogiły przemówił Jerzy Putrament, składając hołd wielkiemu życiu tow. Jerzego Borejsz.

JAK UPORZĄDKOWAĆ WZGORZE WAWELSKIE? Nad zagadnieniem tym obradował w Krakowie w dn. 18 i 19.I. Ogólnopolski Zjazd Konserwatorów. Zebrał stwierdził, iż otoczenie Wzgórza Wawelskiego - najcenniejszego w Polsce pomnika kultury narodowej, powinno zostać oczyszczone ze szpeczącej zabudowy czasów kapitalistycznych. Projekt uporządkowania Wzgórza Wawelskiego winien dążyć do wydobycia elementów charakterystycznych dla założenia urbanistycznego. Omawiano m. in. projekt związania krajobrazowego zespołu zabytkowych: klasztor Norbertanek - Wawel - Skalka.

200-OSOBOWY ZESPÓŁ PIEŚNI I TANCA ARMII WĘGERSKIEJ pod kierownictwem ppłk. L. Gyeimanta i płk. J. Kleina przybył 19.I. do Polski. Zespół składa się z chóru, baletu i orkiestry, a jego repertuar obejmuje ludowe pieśni węgierskie, Pieśni żołnierskie, pieśni polskie, tancerze ludowe oraz utwory orkiestralne węgierskie, radzieckie i polskie. Przyjazd zespołu do Polski jest rewizją po występach zespołu Domu Wojska Polskiego na Węgrzech w r. ub.

MUZEUM CHOPINOWSKIE powstanie w odbudowywanym obecnie dawnym pałacu Ostrogskich przy ul. Tamka w Warszawie. W gmachu tym będzie się mieścić poza tym Instytut Chopinowski oraz sala koncertowa na ok. 200 miejsc. W okresie letnim koncerty będą się odbywały również w przylegającym do pałacu ogrodzie. Pierwszy koncert w odbudowywanym pałacu odbędzie się 22 lutego dla obsługi pracującej na budowie.

NA ODNOWIENIE HISTORYCZNEGO ZAMKU GEORGES SAND W NOHANT który pozostaje obecnie w stanie opuszczenia, Towarzystwo im. Fryderyka Chopina w Warszawie przekazało na ręce wznici pisarki, p. Aurory Sand 100 tys. franków. W zamku tym - jak wiadomo - Chopin tworzył swoje wielkopomne dzieła. Towarzystwo im. Chopina w depeszy do p. A. Sand zapewniło ją, że w razie potrzeby jest gotowe zwiększyć swoją pomoc celem zabezpieczenia zamku związanego na zawsze z pamięcią Chopina i Georges Sand.

W TOKU ODBUDOWY ZAMKU KAZIMIERZA WIELKIEGO W PIOTRKOWIE na pierwszym piętrem zbliżają się ku końcowi prace nad wykończeniem sal, które w XVI wieku, podczas panowania Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta, były miejscem obrad sejmów. Założono m. in. nowe stropy o renesansowym belkowaniu.

PRACE PRZY REKONSTRUKCJI BASZTY KOPERNIKA są prowadzone obecnie na zamku w Fromborku. Po zakończeniu robot, w boszacie zostanie umieszczony jędrzejowski muzeum Kopernikowskiego.

LITERACKI KONKURS OLIMPIJSKI został niedawno rozpisany przez Związek Literatów Polskich w związku z XV Olimpiadą, która odbędzie się w r. b. w Helsinkach. Konkurs obejmuje utwory liryczne (pieśni, ody, hymny, kantaty, ballady, prozę poetycką itp.), utwory dramatyczne (scenariusze, dialogi, słuchowiska

radiowe, sztuki teatralne, widowiska na wolnym powietrzu, libretta, farsy, komedie, dramaty, tragedie i.p.), utwory epickie (opowiadania, nowele, epopeje, poematy) - zawierające motywy i elementy sportowe, ze szczególnym uwzględnieniem roli sportu w budownictwie socjalizmu i w walce o pokój. Termin nadsyłania prac upływa 1 marca b. r. Ustalona zostają nagrody w wysokości od 3 000 zł. do 7 500 zł.

Równocześnie zostały ogłoszone: Olimpijski Konkurs Kompozytorski oraz Olimpijski Konkurs Plastyczny.

PRZED II MIĘDZYNARODOWYM KONKURSEM SKRZYPCOWYM im. WIENIAWSKIEGO który odbędzie się pod koniec br., zostały przeprowadzone ostatnio w Państwowych Wyższych Szkołach wstępne eliminacje kandydatów.

W KONKURSE NA PAMIĘTNIK NAUCZYCIELA KURSÓW FOCZĄTKOWEGO NAUCZANIA DOROSŁYCH wzięło udział 310 osób z całego kraju. Dwie pierwsze nagrody przyznano: nauczycielce społecznej z Warszawy - Wiktorii Sierpińskiej oraz Starostawowi Siemidzie - młodemu nauczycielowi ZMP-owskiego ze wsi Ciosny (pow. Biłgoraj).

ZA GRANICĄ „LENIN I STALIN O LITERATURZE” - sesję naukową na ten temat zorganizowała w Moskwie w dn. 28-30.I Akademia Nauk ZSRR.

222 300 000 EGZEMPLARZY osiągnął nakład dzieł Lenina w ZSRR. Prace Lenina są wydawane w 78 językach.

277 SZKOŁ Z POLSKIM JĘZYKIEM WYKŁADOWYM czynnych jest w obwodzie wileńskim Litewskiej SRR.

FILM POLSKI „STALOWE SERCA” wszedł ostatnio na ekrany kin Związku Radzieckiego.

ORATORIUM PRZYJAŹNI POLSKO-NIEMIECKIEJ skomponował w NRD laureat Nagrody Państwowej prof. Ottmar Gerster. Tekst do tego oratorium - na prośbę mieszkańców północnego nad Nysą saskiego miasta Görlitz - napisał poeta Kuba (Kurt Bartel). Oratorium będzie wykonane podczas Tygodnia Muzyki w Görlitz.

LUDOWY ZESPÓŁ PIEŚNI I TANCA „MAZOWSZE” występuje obecnie na Węgrzech. Po występach w Budapeszcie zespół udał się m. in. do Debreczyna, Szegedu i miasta Salina.

W ZWIĄZKU Z 100-Ą ROCZNICĄ URODZIN IONA LUCA CARAGIALE wielkiego postępowego rumuńskiego prozaka i dramaturga (ur. 30.I.1852 r.) utworzony w Rumunii narodowy komitet jubileuszowy zorganizował cykl publicznych wykładów, poświęconych twórczości Caragiale.

W 120-Ą ROCZNICĘ URODZIN EDWARDA MANET'A (ur. 21.I.1832 r.), dzieła wielkiego francuskiego malarza z muzeów francuskich i niemieckich oraz ze zbiorów prywatnych - po raz pierwszy zostały zebrane i razem wystawione w Paryżu.

WINO BURGUNDZKIE CZY COCA-COLA? - cenzura francuska wypowiedziała się po stronie napoju gorszego wprawdzie od wina, ale „zalecanego” przez amerykańskich okupantów. Cenzorzy odmówili mianowicie zezwolenia na wyświetlenie reklamowego przez właścicieli winnicy w Burgundii filmu „Ils sont dans les vignes”. Film ten propaguje dobrotliwe właściwości win francuskich i wykrywa reprezentantów amerykańskiej firmy Coca-Cola.

W ZJEŻDZACH ZACH.-NIEMIECKICH DZIAŁACZY NAUKI, KULTURY I SZTUKI w Bad Vilbel w pobliżu Frankfurtu, którego uczestnicy zdecydowanie wypowiedzieli się przeciw remilitaryzacji oraz za porozumieniem z NRD, wzięli między innymi udział: profesorowie teologii z Uniwersytetu w Getyndze, D. H. J. Iwand i D. E. Wolf, wybitny fizyk z Uniwersytetu w Bonn, prof. R. Jäckel, prof. Akademii Pedagogicznej w Bonn, dr Klara-Marie Fassbinder, znany przyrodnik prof. W. Ludwig z Uniwersytetu w Heidelbergu, katolicki pisarz: R. Syberberg z Monachium i L. Zimmerer z Essen, art-malarz prof. F. Heckendorf z Monachium, muzyk K. Overhoff z Bayreuth, rzeźbiarka hr. von der Schulenburg z Garmisch, pisarz P. Diestelbarth.

„POKÓJ ZWYCIĘŻY” W NOWYM JORKU - polski film dokumentalny w wersji angielskiej wszedł ostatnio na ekrany nowojorskiego kina „Stanley”. Amerykańska prasa postępowo stwierdza, iż jest to jeden z najlepszych filmów dokumentalnych ostatnich lat.

WAWRZYNIEC ŻUŁAWSKI

Mozart i Mussorgski w Filharmonii Warszawskiej

Halina Czerna - Stefańska była solistką koncertu symfonicznego Filharmonii Warszawskiej dnia 18 stycznia. Zapowiedź występu tej świetnej artystki wystarczyła, by ściągnąć do sali „komy” tłumy publiczności.

Jeszcze trzy lata temu nazwisko Czerna-Stefańska było nawet w Polsce mało komu znane. Rok 1949 przyniósł jej pierwszy wielki sukces - najbardziej zaszczytny, jaki może przypaść w udziale młodemu pianiście: pierwszą nagrodę na Międzynarodowym Konkursie Chopińskim w Warszawie. Następne lata udowodniły, jak bardzo sukces ten był zasłużony. Te dwa lata wysiłków i wyłożonej pracy nad sobą rozwinęły indywidualność odtwórczą Stefańskiej w sposób zadziwiający. Potwierdzeniem tego sądu był długi szereg triumfów artystycznych we wszystkich niemal krajach Europy (ostatnio - w listopadzie i grudniu ub. r. - w Anglii, Francji i Belgii). Dziś - nazwisko Czerna-Stefańska jest w całym świecie i stawiane w rzędzie najwybitniejszych pianistów-wirtuozów.

Na omawianym występie w Filharmonii artystka wykonała z towarzyszeniem orkiestry koncert fortepianowy C-dur Wolfganga Amadeusza Mozarta. Ten trzyczęściowy utwór, pełen wykwintnej prostoty, doskonałości proporcji i bogactwa inwencji należy do najbardziej interesujących spośród dwudziestu kilku koncertów fortepianowych genialnego kompozytora. Subtelny a bardzo dynamiczny temat pierwszy kontrastuje z częściowo dramatycznym tematem drugim. Konflikt tych dwóch elementów nie narusza jednak pogodnej atmosfery utworu, podkreślonej zwłaszcza ciepłym, łagodnym charakterem części środkowej i czarującą bawrością finału.

Walory pianistyczne Czerna-Stefańskiej, lekkość i precyzja na czystość jej techniki świetnie się naddają do stylu Mozarta. Zachowując typowe cechy tego stylu pianistka potrafiła włączyć w interpretację wiele ciepła i subtelnej liryki. Z trzech części koncertu najlepiej bodaj wypadła ostatnia, doskonale wypracowana pod względem artykulacji.

Z utworów wykonanych na bis wspomnieć należy oddzielnie o Polonie skordów aż po ostatnie takt Poloneza interpretacja Stefańskiej trzymała słuchacza w nieustannym napięciu. Była to rzeczywiście fascynująca kreacja, pełna niezwykłej siły wyrazu. Frapująca indywidualność artystyczna pianistki ukazała się tu w całej pełni.

Koncert Mozarta poprzedziła prześlizna uwertura tego kompozytora do opery „Wesele Figara”. W drugiej zaś części programu wykonano „Obrazki z wystawy” Modesta Mussorgskiego w instrumentacji Mauricego Ravela.

Utwór ten - napisany w oryginalne na fortepian solo - powstał pod wrażeniem zwiedzania wystawy obrazów malarza, przyjaciela kompozytora. Dzieło Mussorgskiego składa się z szeregu miniatur muzycznych, z których każda nosi tytuł odpowiadający do treści obrazu („Gnomy”, „Stary zamek”, „Chatka na kurzej stopce”, „Brama Kijowska” itp.). Rozdziała je tzw. „Promenada”, krótki epizod powtarzający się kilkakrotnie w najrozmaitszych odmianach. Mussorgskiemu nie chodzi o to, by drogą naturalistycznych efektów opisać zawartą, w tym czy innym obrazie, anegdotę. Pragnie on środkami muzycznymi oddać nastrój danego obrazu i jego wyraz, wrażenie, które wywołuje na patryczym i celtem realizuje z genialnym instynktem i nieomylną trafnością. Środki kompozytorskie, których używa, zadziwiają rewolucyjną śmiałością i - jak cała twórczość Mussorgskiego - wyprzedzają znacznie swą epokę.

Ta bodaj pierwsza na wielką skalę próba nie programowego „opisywania dźwiękami”, lecz stworzenia muzycznej wizji realnego świata - próba przeprowadzona ze zdumiewającym bogactwem pomysłów - wywarła ogromny wpływ na Debussy'ego, stając się w znacznej mierze impulsem w jego walce o nowe oblicze muzyki francuskiej.

Wersja symfoniczna „Obrazków”, dokonana przez tak znakomitego mistrza instrumentacji, jakim był Ravel, odznacza się świetnością brzmienia i kunstownością pomysłów orkiestralnych.

Orkiestrę prowadził Stefan Marczyk. Był to debiut kapelmistrzowski tego młodzieńczego dyrygenta.

Ma on jeszcze wiele pracy przed sobą, zanim nabierze odpowiedniej rutyny, nauczy się w pełni wiać orkiestrą, usunie pewną - zromantyzowaną - sztywność i jednostajność techniki gestu. Mimo to potrafi on wywiązać się wcale dobrze z poprowadzenia trudnego dzieła Mussorgskiego i pozostałych utworów, co świadczy bardzo dodatnio o jego zdolnościach kapelmistrzowskich i możliwościach rozwojowych.

Orkiestra zawiódła nieco (zwłaszcza instrumenty dęte drewniane) w uwerturze do „Wesela Figara”. Dobrze natomiast wypadła w akompaniamentie do koncertu Mozarta. Zrozumienie Mozartowskiego stylu i jego właściwości dynamicznych dobrze świadczy o coraz to większej dojrzałości artystycznej warszawskiego zespołu filharmonicznego. Pochwała należy się również orkiestrze za wykonanie „Obrazków z wystawy”. Wykonanie „Obrazków” za dobre wykonanie trudnego solo w obrazie „Samuel Goldberg i Szmul”. Wawrzyniec Żuławski

Ma on jeszcze wiele pracy przed sobą, zanim nabierze odpowiedniej rutyny, nauczy się w pełni wiać orkiestrą, usunie pewną - zromantyzowaną - sztywność i jednostajność techniki gestu. Mimo to potrafi on wywiązać się wcale dobrze z poprowadzenia trudnego dzieła Mussorgskiego i pozostałych utworów, co świadczy bardzo dodatnio o jego zdolnościach kapelmistrzowskich i możliwościach rozwojowych.

Orkiestra zawiódła nieco (zwłaszcza instrumenty dęte drewniane) w uwerturze do „Wesela Figara”. Dobrze natomiast wypadła w akompaniamentie do koncertu Mozarta. Zrozumienie Mozartowskiego stylu i jego właściwości dynamicznych dobrze świadczy o coraz to większej dojrzałości artystycznej warszawskiego zespołu filharmonicznego. Pochwała należy się również orkiestrze za wykonanie „Obrazków z wystawy”. Wykonanie „Obrazków” za dobre wykonanie trudnego solo w obrazie „Samuel Goldberg i Szmul”. Wawrzyniec Żuławski

DYSKUSJA O KRYTYCE

(Dokończenie ze str. 1.)

Kott - pewne ukanonizowanie w praktyce redakcji literackich określonego typu wypowiedzi krytycznej, zakładającej możliwość wszechstronne i sumiennie wyważone potraktowanie dzieła. Ten - zresztasie nazwany - postulat „aptekarsstwa” w krytyce nie godzi się z charakterem felietonu, gatunku wymagającego większej swobody w podejściu do utworu: jednostronne akcentu, i ograniczenia problematyki.

Czy cechy te mają być właściwe tylko małym formom krytycznym, czy także większym artykułom, recenzjom, esayom? Niewątpliwie - z tym zgodził się wszyscy - typ recenzji „aptekarskiej” jest typem zasadniczym, bo jest najbardziej dydaktyczny, oddaje książkę możliwie pełną sprawiedliwość, uczy czytelnika samodzielnie, wprowadza go w utwór możliwie szeroko. Ale nie znaczy to, aby miał być jedynym typem wypowiedzi krytycznej. Istotne są czasem wypowiedzi jednostronne, pobudzające krążenie myśli, przeginające ocenę w plus czy w minus, jeżeli tylko formułują ją w umie zważyć oobro, jakie stał się dla sprawy rozwoju kultury i literatury.

Ważne i odkrywcze było stwierdzenie, że cehująca nasze prace krytyczne wąskość horyzontów myślowych, rozpatrywanie problemów literackich w oderwaniu od zdobywczej nauki jest cięższym na nas reliktem formalistycznego pojmowania procesu literackiego, odgródnienia nauki o literaturze od innych dziedzin wiedzy.

A małe formy krytyczne? Jakże są przychylni ich zamknięcia? Zmalała potrzeba bojowej polemiki z wrogimi zjawiskami w kulturze, rodząca felieton, satyryczny artykuł. Choć nie w takich rozmiarach, aktualna jest jednak i dzisiaj, i fakt, że nie pobudza ona nadal sumienia pisarzy, dowodzi zaniku czujności krytyki. Następnie - okresowe za milnikiem doświadczonych krytyków starszego pokolenia. Felieton, esay, szkic - to sztuka trudna, wymagająca dużej sprawności piarskiej, do której młoda generacja krytyczna jeszcze nie dorosła. Dalej - o czym mówić w dyskusji Jan

„...droga najmniejszego wstrząsu dla Polski, w przededniu czekających ją ciężkich prób i zadań, będzie objęcie w 1940 roku godności Prezydenta Rzeczypospolitej przez Marszałka Smigłego-Rydzę...”

Jak widzimy - odwdzięczył się Smigłemu, wstawiając się do tego Meścińskiego. (Słuchowisko musiało być podobne jak w pierwszym akcie: balwan prosi safandulę o stanowisko dla cymbała). Ale widać niegodziłymi byli tego szczeniści, bo wreszcie 1939 roku pozabawili nas i Meścińskiego, i Rydzę, i Sławoja. Ale inicjatywę i dobrą wolę Sławoja w tej sprawie potrafimy należycie ocenić. Co prawda po przeczytaniu „Pamiętnika” człowiek nie wie, dlaczego sanacja nie dożyła do zrealizowania tych wspaniałych planów, skoro:

„...Killer zaatakował nas bowiem nie w okresie rozpadu gniomego, ale brjnego wzrostu naszych sił”

„Otrzymałem pewnego papużnika fotele pułkownika wódzkiego, od niezawodnego dyrektora Zybońskiego, iż Fan Prezydent jest ciężko, prawie śmiertelnie chory... na stręt kiszkek...”

Pomyślcie zapewne, że Sławoj, lekarz, zmobilizował całą medycynę krajową i zagraniczną? Ze porozumiał samoloty po najlepszych specjalistów? Bzdura, nie znalazł się go.

„zarządziłem pogotowie w Komisarzacie Rządu i policji m. st. Warszawy, wjażmniejsząją wojewodę Jacezewicza oraz część departamentu politycznego...”

Choremu to pomogło i obeszło się bez operacji.

Ważny inke sprawy niezwykłej doniosłości państwowej. Wszędzie wyczuwa się lwi pazur.

„Sprawa awansu generała Smigłego na Marszałka, uroczyste wreczenie mu buławy na dzieńdziesięć zamkowym przez Pana Prezydenta, wreszcie dekret o traktowaniu Marszałka Smigłego jako drugiego osoby w Państwie, pochodziły z inicjatywy Pana Prezydenta i mojej, jako premiera.”

To są zasługi dla Polski wielkopomne i jeśli cała Polska o tym już zazwyczaj zapominała, to bjm się w pierśi i rzdumyją się, że autor pamiętnika przyznawał nam o tym chociaż w roku 1951.

Uff! Myślcie, że teraz to już wszystko? Doprawdy nie znalazł Sławoja. Orlim wzrokiem męża stanu w przyzwoiciej Polsce wybiegając, dowódca patrolu zdołał jeszcze rzeknąć Meścińskiego, że

„...Killer zaatakował nas bowiem nie w okresie rozpadu gniomego, ale brjnego wzrostu naszych sił”

„Otrzymałem pewnego papużnika fotele pułkownika wódzkiego, od niezawodnego dyrektora Zybońskiego, iż Fan Prezydent jest ciężko, prawie śmiertelnie chory... na stręt kiszkek...”

Pomyślcie zapewne, że Sławoj, lekarz, zmobilizował całą medycynę krajową i zagraniczną? Ze porozumiał samoloty po najlepszych specjalistów? Bzdura, nie znalazł się go.

„zarządziłem pogotowie w Komisarzacie Rządu i policji m. st. Warszawy, wjażmniejsząją wojewodę Jacezewicza oraz część departamentu politycznego...”

Choremu to pomogło i obeszło się bez operacji.

Ważny inke sprawy niezwykłej doniosłości państwowej. Wszędzie wyczuwa się lwi pazur.

„Sprawa awansu generała Smigłego na Marszałka, uroczyste wreczenie mu buławy na dzieńdziesięć zamkowym przez Pana Prezydenta, wreszcie dekret o traktowaniu Marszałka Smigłego jako drugiego osoby w Państwie, pochodziły z inicjatywy Pana Prezydenta i mojej, jako premiera.”

To są zasługi dla Polski wielkopomne i jeśli cała Polska o tym już zazwyczaj zapominała, to bjm się w pierśi i rzdumyją się, że autor pamiętnika przyznawał nam o tym chociaż w roku 1951.

Uff! Myślcie, że teraz to już wszystko? Doprawdy nie znalazł Sławoja. Orlim wzrokiem męża stanu w przyzwoiciej Polsce wybiegając, dowódca patrolu zdołał jeszcze rzeknąć Meścińskiego, że

„...Killer zaatakował nas bowiem nie w okresie rozpadu gniomego, ale brjnego wzrostu naszych sił”

„Otrzymałem pewnego papużnika fotele pułkownika wódzkiego, od niezawodnego dyrektora Zybońskiego, iż Fan Prezydent jest ciężko, prawie śmiertelnie chory... na stręt kiszkek...”

Pomyślcie zapewne, że Sławoj, lekarz, zmobilizował całą medycynę krajową i zagraniczną? Ze porozumiał samoloty po najlepszych specjalistów? Bzdura, nie znalazł się go.

„zarządziłem pogotowie w Komisarzacie Rządu i policji m. st. Warszawy, wjażmniejsząją wojewodę Jacezewicza oraz część departamentu politycznego...”

Choremu to pomogło i obeszło się bez operacji.

Ważny inke sprawy niezwykłej doniosłości państwowej. Wszędzie wyczuwa się lwi pazur.

„Sprawa awansu generała Smigłego na Marszałka, uroczyste wreczenie mu buławy na dzieńdziesięć zamkowym przez Pana Prezydenta, wreszcie dekret o traktowaniu Marszałka Smigłego jako drugiego osoby w Państwie, pochodziły z inicjatywy Pana Prezydenta i mojej, jako premiera.”

To są zasługi dla Polski wielkopomne i jeśli cała Polska o tym już zazwyczaj zapominała, to bjm się w pierśi i rzdumyją się, że autor pamiętnika przyznawał nam o tym chociaż w roku 1951.

Uff! Myślcie, że teraz to już wszystko? Doprawdy nie znalazł Sławoja. Orlim wzrokiem męża stanu w przyzwoiciej Polsce wybiegając, dowódca patrolu zdołał jeszcze rzeknąć Meścińskiego, że

„...Killer zaatakował nas bowiem nie w okresie rozpadu gniomego, ale brjnego wzrostu naszych sił”

„Otrzymałem pewnego papużnika fotele pułkownika wódzkiego, od niezawodnego dyrektora Zybońskiego, iż Fan Prezydent jest ciężko, prawie śmiertelnie chory... na stręt kiszkek...”

Pomyślcie zapewne, że Sławoj, lekarz, zmobilizował całą medycynę krajową i zagraniczną? Ze porozumiał samoloty po najlepszych specjalistów? Bzdura, nie znalazł się go.

„zarządziłem pogotowie w Komisarzacie Rządu i policji m. st. Warszawy, wjażmniejsząją wojewodę Jacezewicza oraz część departamentu politycznego...”

Choremu to pomogło i obeszło się bez operacji.

Ważny inke sprawy niezwykłej doniosłości państwowej. Wszędzie wyczuwa się lwi pazur.

„Sprawa awansu generała Smigłego na Marszałka, uroczyste wreczenie mu buławy na dzieńdziesięć zamkowym przez Pana Prezydenta, wreszcie dekret o traktowaniu Marszałka Smigłego jako drugiego osoby w Państwie, pochodziły z inicjatywy Pana Prezydenta i mojej, jako premiera.”

To są zasługi dla Polski wielkopomne i jeśli cała Polska o tym już zazwyczaj zapominała, to bjm się w pierśi i rzdumyją się, że autor pamiętnika przyznawał nam o tym chociaż w roku 1951.

Uff! Myślcie, że teraz to już wszystko? Doprawdy nie znalazł Sławoja. Orlim wzrokiem męża stanu w przyzwoiciej Polsce wybiegając, dowódca patrolu zdołał jeszcze rzeknąć Meścińskiego, że

„...Killer zaatakował nas bowiem nie w okresie rozpadu gniomego, ale brjnego wzrostu naszych sił”

„Otrzymałem pewnego papużnika fotele pułkownika wódzkiego, od niezawodnego dyrektora Zybońskiego, iż Fan Prezydent jest ciężko, prawie śmiertelnie chory... na stręt kiszkek...”

Pomyślcie zapewne, że Sławoj, lekarz, zmobilizował całą medycynę krajową i zagraniczną? Ze porozumiał samoloty po najlepszych specjalistów? Bzdura, nie znalazł się go.

„zarządziłem pogotowie w Komisarzacie Rządu i policji m. st. Warszawy, wjażmniejsząją wojewodę Jacezewicza oraz część departamentu politycznego...”

Choremu to pomogło i obeszło się bez operacji.

Ważny inke sprawy niezwykłej doniosłości państwowej. Wszędzie wyczuwa się lwi pazur.

„Sprawa awansu generała Smigłego na Marszałka, uroczyste wreczenie mu buławy na dzieńdziesięć zamkowym przez Pana Prezydenta, wreszcie dekret o traktowaniu Marszałka Smigłego jako drugiego osoby w Państwie, pochodziły z inicjatywy Pana Prezydenta i mojej, jako premiera.”

To są zasługi dla Polski wielkopomne i jeśli cała Polska o tym już zazwyczaj zapominała, to bjm się w pierśi i rzdumyją się, że autor pamiętnika przyznawał nam o tym chociaż w roku 1951.

Uff! Myślcie, że teraz to już wszystko? Doprawdy nie znalazł Sławoja. Orlim wzrokiem męża stanu w przyzwoiciej Polsce wybiegając, dowódca patrolu zdołał jeszcze rzeknąć Meścińskiego, że

„...Killer zaatakował nas bowiem nie w okresie rozpadu gniomego, ale brjnego wzrostu naszych sił”

„Otrzymałem pewnego papużnika fotele pułkownika wódzkiego, od niezawodnego dyrektora Zybońskiego, iż Fan Prezydent jest ciężko, prawie śmiertelnie chory... na stręt kiszkek...”

Pomyślcie zapewne, że Sławoj, lekarz, zmobilizował całą medycynę krajową i zagraniczną? Ze porozumiał samoloty po najlepszych specjalistów? Bzdura, nie znalazł się go.

„zarządziłem pogotowie w Komisarzacie Rządu i policji m. st. Warszawy, wjażmniejsząją wojewodę Jacezewicza oraz część departamentu politycznego...”

Choremu to pomogło i obeszło się bez operacji.

Ważny inke sprawy niezwykłej doniosłości państwowej. Wszędzie wyczuwa się lwi pazur.

„Sprawa awansu generała Smigłego na Marszałka, uroczyste wreczenie mu buławy na dzieńdziesięć zamkowym przez Pana Prezydenta, wreszcie dekret o traktowaniu Marszałka Smigłego jako drugiego osoby w Państwie, pochodziły z inicjatywy Pana Prezydenta i mojej, jako premiera.”

To są zasługi dla Polski wielkopomne i jeśli cała Polska o tym już zazwyczaj zapominała, to bjm się w pierśi i rzdumyją się, że autor pamiętnika przyznawał nam o tym chociaż w roku 1951.

„...Killer zaatakował nas bowiem nie w okresie rozpadu gniomego, ale brjnego wzrostu naszych sił”

„Otrzymałem pewnego papużnika fotele pułkownika wódzkiego, od niezawodnego dyrektora Zybońskiego, iż Fan Prezydent jest ciężko, prawie śmiertelnie chory... na stręt kiszkek...”

Pomyślcie zapewne, że Sławoj, lekarz, zmobilizował całą medycynę krajową i zagraniczną? Ze porozumiał samoloty po najlepszych specjalistów? Bzdura, nie znalazł się go.

„zarządziłem pogotowie w Komisarzacie Rządu i policji m. st. Warszawy, wjażmniejsząją wojewodę Jacezewicza oraz część departamentu politycznego...”

Choremu to pomogło i obeszło się bez operacji.

Ważny inke sprawy niezwykłej doniosłości państwowej. Wszędzie wyczuwa się lwi pazur.

„Sprawa awansu generała Smigłego na Marszałka, uroczyste wreczenie mu buławy na dzieńdziesięć zamkowym przez Pana Prezydenta, wreszcie dekret o traktowaniu Marszałka Smigłego jako drugiego osoby w Państwie, pochodziły z inicjatywy Pana Prezydenta i mojej, jako premiera.”

To są zasługi dla Polski wielkopomne i jeśli cała Polska o tym już zazwyczaj zapominała, to bjm się w pierśi i rzdumyją się, że autor pamiętnika przyznawał nam o tym chociaż w roku 1951.

Uff! Myślcie, że teraz to już wszystko? Doprawdy nie znalazł Sławoja. Orlim wzrokiem męża stanu w przyzwoiciej Polsce wybiegając, dowódca patrolu zdołał jeszcze rzeknąć Meścińskiego, że

„...Killer zaatakował nas bowiem nie w okresie rozpadu gniomego, ale brjnego wzrostu naszych sił”

„Otrzymałem pewnego papużnika fotele pułkownika wódzkiego, od niezawodnego dyrektora Zybońskiego, iż Fan Prezydent jest ciężko, prawie śmiertelnie chory... na stręt kiszkek...”

Pomyślcie zapewne, że Sławoj, lekarz, zmobilizował całą medycynę krajową i zagraniczną? Ze porozumiał samoloty po najlepszych specjalistów? Bzdura, nie znalazł się go.

„zarządziłem pogotowie w Komisarzacie Rządu i policji m. st. Warszawy, wjażmniejsząją wojewodę Jacezewicza oraz część departamentu politycznego...”

K O R E S P O N D E N C J A

ANTONI MARIANOWICZ

SEDNO NIEPOROZUMIENIA

Dyskusja na temat nowego słownika polskiego weszła w taką fazę, że dalsze jej przewlekanie bez gruntownego rozpatrzenia podstaw metodologicznych byłoby stratą czasu. Dowodem — ostatni artykuł prof. dr Doroszewskiego „Dyskusja i nieporozumienia w dyskusji”. Podstawowe różnice metodologiczne, różnice w rozumieniu celów słownika prof. dr Doroszewski uważa za „nieporozumienia” między specjalistami a innymi obywatelami. Pisze więc w tym artykule:

„Od siebie ob. Ważyk proponuje w zastosowaniu do słownika języka polskiego formułę następującą: „Słownik oparty głównie na klasykach z uwzględnieniem tych utworów współczesnych, które reprezentują ciągłość rozwojową norm stylistycznych”. Nie ma tu wzmianki o tym, od jakiego wieku miałyby się rozpoczynać wyszukiwanie klasyków”.

tecznie wyparty przez inny, nowszy.

O tym, w jakiej mierze należy korzystać z danego pisarza czy utworu, decyduje jego znaczenie w tradycji dziedziczonej przez naród socjalistyczny. Mickiewicz brany w granicach współczesnej polszczyzny ma pierwszeństwo przed pisarzami późniejszymi. Warto przy tym przypomnieć, że dzięki wielkim pisarzom żyją w świadomości narodu wyobrażenia rzeczy i stosunków, których w rzeczywistości już nie ma. W Polsce Ludowej nie ma urzędu stolnika, ale miliony Polaków wiedzą, że Jacek Soplica wszedł w zatarg ze stolnikiem, i dlatego żaden przyzwoity słownik „nowoczesnego” czy „najnowocześniejszego” języka nie może pominąć wyrazu „stolnik”.

Z nauki Stalina, że istnieją tylko języki plemienne, języki narodowe lub narodu, a innych języków nie ma, że inne „języki”, występujące w rozważaniach na ten temat są tylko metaforą gwary, dialektu, żargonu, odgałęzieli pozbawionych samodzielności rozwojowej, wynikają bardzo poważne konsekwencje metodologiczne.

„Język literacki” także nie ma samodzielności rozwojowej i bardzo ogólnie należy postawić się tym uogólnieniom. W każdym razie słownikarzowi to pojęcie w ogóle nie jest potrzebne. Wystarczy mu notować „zwrót literacki”, podobnie, jak „prowinjonalny”, „famiłarny” itp. Tymczasem prof. dr Doroszewski ciągle mówi o „języku literackim”, „języku komunikacyjnym”, „języku uwarunkowanym socjologicznie” (takiego oczywiście nie ma, bo zasób wyrazów i zwrotów danego człowieka czy danej grupy nie jest samodzielnym językiem), o „funkcji poetyckiej” i „funkcji komunikacyjnej”. Prof. dr Doroszewski mówi „językami”, jak Paweł z Tarsu, i dlatego nikt go nie rozumie. Wytworzyła się sytuacja paradoksalna i humorystyczna. Dyskutować ze środowiska literackiego mówią o języku narodowym, o normach językowych i stylistycznych, a Redaktor słownika mówi ciągle o „języku” czyli „językach”. W każdym artykule prof. dr Doroszewski uchyła rąbka swojej zawilej filozofii. Wczoraj było to żywiołowe „to epoki”, a dziś — personalizm. Ofiarą tego personalizmu padł Mickiewicz oskubany przez prof. dr Doroszewskiego z wszystkich ideologicznych motywów przewrotu dokonanego w stylu poetyckim. Nie dość na tym, prof. dr Doroszewski powołuje się na takie oto wnioski wysnutę przez swoich współpracowników. W związku z pracą nad słownikiem: „Kogo interesuje żywy człowiek, tego w równym niemal stopniu interesować będą obie funkcje, poetycka i komunikacyjna — jego języka. Obie one interesują i słownikarza”.

Trudno pojąć, czemu słownikarza ma interesować „żywy człowiek” i nikomu bliżej nieznaną „funkcję poetycką”? Zaszła tu bardzo smutna pomyłka. Zamiast zająć się problematyką słownika, Redakcja ciągle zajmuje się problematyką historii literatury. Ale pod tym względem przeszłowieści badacze mieli więcej lotności dla czytelnika. Pisali po prostu: „Co to jest styl? Styl to człowiek”. Bez sensu, ale za to krótko i efektownie...

Moja lapidarna formuła była repliką na formułę prof. dr Doroszewskiego. W artykule motywowałem dość szeroko, że nie wolno odciąć od nowoczesnej polszczyzny Krasickiego i że cytaty powinny się zaczynać od Kochanowskiego lub Reja, oczywiście — cytaty, które nie stały się archaizmami językowymi.

Prof. dr Doroszewski to wszystko przemilczał. Trudno usprawiedliwić ten fakt rozstrągnięciem.

Prof. dr Doroszewski, na wspaniałym wywodzie Tadeusza Zabudowskiego i moim, twierdzi, że jego formuła słownika opartego na materiale „głównie wieku dwudziestego uwzględniającym również wiek dziewiętnasty w zakresie klasyków tej epoki” odpowiada Leninowskiemu wskazaniu dotyczącym słownika rosyjskiego. Prof. dr Doroszewski przemilcza wskazany przez mnie fakt, że słownik Uszakowa nie zaczyna się od Puszkina, ale od pisarzy wcześniejszych. Tego przemilczenia również nie można usprawiedliwić rozstrągnięciem. Prof. dr Doroszewski przemilcza fakt, że słownik Uszakowa opiera się głównie i przede wszystkim na klasykach i że w ogóle każdy przyzwoity słownik musi się na nich oprzeć. Nie jest to żaden objaw konserwatywności językowej, ale zdrowe uznanie ścisłej łączności między językiem a narodową tradycją literacką.

Prof. dr Doroszewski pisze, że należy uwzględnić nie tylko klasyczną literaturę piękną. Tego nikt nie kwestionował. Ale co innego oznacza — nie ograniczać się do klasyków, a co innego — „uwzględnić również wiek dziewiętnasty”.

Prof. dr Doroszewski pisze: „Inna jest także rola Puszkina w kształtowaniu rosyjskiego języka literackiego, a inna Mickiewicza na naszym gruncie”. Po pierwsze — nie trzeba zwać sprawy do literatury. Po wtóre — twierdzenie prof. dr Doroszewskiego jest co najmniej nieprecyzyjne. Mickiewicz odegrał rolę wielką, chociaż nie taką jaką Puszkina w języku rosyjskim.

Ale jakie wnioski wyciąga z tego Redaktor słownika?

Nieporozumienie rzeczywistości wielkie. Widać wyraźnie, że pomyłono dwie kwestie: w jakiej mierze z jakich źródeł korzystać? gdzie jest kryterium nowoczesnego języka? Odpowiedzi na te kwestie wcale się nie pokrywają.

Kryterium jest złożone. Nie mieści się ono w publikacjach z jakiegoś okresu. Do kryterium dochodzimy drogą konfrontacji i doświadczenia. Orientacyjną podstawą tego kryterium są realności z drugiej połowy XIX w. — Prus, Orzeszkowa, Świętochowski. Jeśli jakiś zwrot używany przez tych pisarzy nie powtórzył się w piśmiennictwie późniejszym, to okoliczność ta sama przez się jeszcze nie wyłącza go z języka nowoczesnego. Tylko w pewnych okolicznościach możemy stwierdzić, że zwrot ten został osta-

Ponieważ prof. dr Doroszewski zastanawia się, z jakiego tytułu zabieram głos w dyskusji, podpisuję się pełnym tytułem: Audytor mistrza Alkofrybasa, Abstraktora Piątej Esencji, (porównaj — Rabelais, przekład Boya).

Adam Ważyk

CIASNO

Uwagi krytyczne, poruszone w notatce p. t. „O ład w księgarniach”, dotyczące głównie księgarni na Krakowskim Przedmieściu 7, mają duże znaczenie dla „Domu Książki”. Stwierdzony fakt zawalenia sklepu pakami książek (dostarczonych przez magazyny a jeszcze nie włączonych do półek, lub sprzedanych a jeszcze nieodebranych przez instytucje) i brak ładu w księgarni, to objaw jednego z najważniejszych problemów, z jakimi boryka się „Dom Książki” w Warszawie — problem ciasnoty.

Produkcja wydawnicza pierwszych lat powojennych i obecna w Polsce Ludowej, która znajduje się teraz na rynku księgarskim, wyraża się cyfrą około 16 tys. tytułów. Niestety, Ekspozytura „D.K.” w Warszawie nie posiada do tej pory ani jednego lokalu sklepowego, dostosowanego, ani zbliżonego swą wielkością do potrzeb produkcyjnych książek oraz do koniecznej ich ekspozycji.

Z tego powodu zostały zorganizowane księgarnie specjalne prowadzące sprzedaż określonego wycinka naszej produkcji wydawniczej. Niezależnie od księgarni ogólnosortymentowych zorganizowano księgarnie techniczne, muzyczną, prawnoeconomiczną, medyczną i naukową (uniwersytecką).

Księgarnia Naukowa, jaką jest księgarnia na Krakowskim Przedmieściu 7, nie może ograniczyć się jednak do tak wąskiego sortymentu, jakie posiadają inne księgarnie specjalne (około 4 tys. tytułów). Bliskość instytucji kulturalnych, Uniwersytetu i innych uczelni — stawia konieczność zaasortowania tej księgarni w książki wszystkich dyscyplin nauki, w skrypty oraz w szeroki wachlarz literatury pięknej i wydawnictwa z zakresu sztuki tak krajowej, jak i importowanej. Stąd ilość tytułów w tej księgarni przekracza cyfrę 10 tys. Tę cyfrę należy jeszcze pomnożyć przez konieczną ilość egzemplarzy sięgającą przy wielu tytułach kilkuset, a przy skryptach kilku tysięcy.

Jedną z największych lokalowo księgarni na Krakowskim Przedmieściu 7 posiada tylko ca 265 m² i nie może jeszcze dobrze spełniać swej funkcji.

Z przyjemnością jednak możemy podać do wiadomości, że po szeregu trudnościach typu administracyjnego, w tych dniach został rozpoczęty remont tego lokalu w celu powiększenia go o dalszą przestrzeń 200 m². Te niepełne pół tysiąca m kw. powierzchni nie dadzą jeszcze najlepszych warunków odpowiedniego funkcjonowania Księgarni Naukowej, niemniej w dużej mierze usprawnią pracę, dadzą większą przejrzystość sortymentu i możliwość ekspozycjonowania dużego wachlarza tytułów.

„Dom Książki”
Sekcja Propagandy
(Z. Balicki)
Dyrektor Ekspozytury
(mgr T. Zwan)

kładów Przemysłu Bawełnianego”. Pomijając już suchość tej notatki należy zaznaczyć, że zespół ten zajął jedno z pierwszych miejsc na festiwalu w Berlinie, a w ogólnej kwalifikacji zespołów występujących w ramach Festiwalu Muzyki Polskiej zdobył II miejsce.

Tygodnik „Świat” dotychczas nie zainteresował się Festiwalem.

Nie bez winy jest również redakcja Nowej Kultury.

Wawrzyniec Żuławski zajmował się w swych artykułach zasadniczo koncertami, które odbywały się w Romie. Inne pozycje Festiwalu traktował raczej marginesowo.

Wawrzyniec Żuławski wyjaśnił czytelnikom przyczyny swojej nieobecności na pokazach finałowych zespołów związkowych w Teatrze Polskim. Pisze o tym z żalem. I słusznie, gdyż występ zespołu Filharmonii Górniczej z Zabrza, który wykonał pod kierownictwem J. Gielnika uwerturę „Maria” Stokowskiego oraz Mazura z opery „Straszny Dwór” zasługiwał na uznanie.

Należy zaznaczyć, że zespół zdobył, w ogólnej klasyfikacji zespołów orkiestrowych występujących w ramach Festiwalu, I miejsce.

Należy również załować, że pominięty został pokaz finałowy zespołu Ligi Kobiet, który odbył się w dniu 13 grudnia w Teatrze Nowej Warszawy.

A szkoda, gdyż zespoły te naprawdę zasługiwały na uwagę i pióro tak wytrawnego znawcy muzyki, jakim jest Wawrzyniec Żuławski. Na szczególną uwagę zasługiwał zespół regionalny z Helu (zespół ten zdobył w ogólnej kwalifikacji zespołów regionalnych występujących w ramach Festiwalu III nagrodę).

Zespół ten wykonał pod kier. ob. Rerutkiewicz bardzo interesujące widowisko pt. Gwizdże Noworoczne, będące przeglądem najciekawszych kaszubskich obrzędów sylwestrowych.

Originalne, wykroczone w gwarze kaszubskiej piosenki, mało znane melodie, tańce bez cienia stylizacji, barwne stroje, złożyły się w sumie na widowisko pełne wdzięku, barwy i życia. Należy zaznaczyć, że kier. zespołu ob. Rerutkiewicz otrzymała III nagrodę (indywidualną) za działalność w zakresie choreografii.

Dziwnym również wydaje mi się bierność Wytwórn Filmów Dokumentalnych, która w żadnej z ostatnich kronik nie pokazała szerokim rzeszom miłośników kina przebiegu Festiwalu.

Czesław Chruściński

Przyznając się całkowicie do wymienionych przez autora korespondencji nieopatrznie wyjaśniamy jednocześnie, że omówienie końcowych koncertów Festiwalu (koncertu w Romie, zawierającego w programie uwerturę „Bajka” Moniuszki, „Symfonie koncertującą” Szymanowskiego oraz „Symfonie Pokoju” Panufnika; występ Reprezentacyjnej Orkiestry Wojska Polskiego w sali „Ogniska” oraz właśnie wymienionej w korespondencji pokaz zespołów artystycznych Ligi Kobiet) nie ukazało się w piśmie z przyczyn trudności technicznych, a nie z powodu niedopatrzenia naszego recenzenta.

Redakcja

Przyznając się całkowicie do wymienionych przez autora korespondencji nieopatrznie wyjaśniamy jednocześnie, że omówienie końcowych koncertów Festiwalu (koncertu w Romie, zawierającego w programie uwerturę „Bajka” Moniuszki, „Symfonie koncertującą” Szymanowskiego oraz „Symfonie Pokoju” Panufnika; występ Reprezentacyjnej Orkiestry Wojska Polskiego w sali „Ogniska” oraz właśnie wymienionej w korespondencji pokaz zespołów artystycznych Ligi Kobiet) nie ukazało się w piśmie z przyczyn trudności technicznych, a nie z powodu niedopatrzenia naszego recenzenta.

Redakcja

JAN CZARNY

A szkoda, gdyż zespoły te naprawdę zasługiwały na uwagę i pióro tak wytrawnego znawcy muzyki, jakim jest Wawrzyniec Żuławski. Na szczególną uwagę zasługiwał zespół regionalny z Helu (zespół ten zdobył w ogólnej kwalifikacji zespołów regionalnych występujących w ramach Festiwalu III nagrodę).

Zespół ten wykonał pod kier. ob. Rerutkiewicz bardzo interesujące widowisko pt. Gwizdże Noworoczne, będące przeglądem najciekawszych kaszubskich obrzędów sylwestrowych.

Originalne, wykroczone w gwarze kaszubskiej piosenki, mało znane melodie, tańce bez cienia stylizacji, barwne stroje, złożyły się w sumie na widowisko pełne wdzięku, barwy i życia. Należy zaznaczyć, że kier. zespołu ob. Rerutkiewicz otrzymała III nagrodę (indywidualną) za działalność w zakresie choreografii.

Dziwnym również wydaje mi się bierność Wytwórn Filmów Dokumentalnych, która w żadnej z ostatnich kronik nie pokazała szerokim rzeszom miłośników kina przebiegu Festiwalu.

Czesław Chruściński

TADEUSZ RÓZEWICZ

Przyznając się całkowicie do wymienionych przez autora korespondencji nieopatrznie wyjaśniamy jednocześnie, że omówienie końcowych koncertów Festiwalu (koncertu w Romie, zawierającego w programie uwerturę „Bajka” Moniuszki, „Symfonie koncertującą” Szymanowskiego oraz „Symfonie Pokoju” Panufnika; występ Reprezentacyjnej Orkiestry Wojska Polskiego w sali „Ogniska” oraz właśnie wymienionej w korespondencji pokaz zespołów artystycznych Ligi Kobiet) nie ukazało się w piśmie z przyczyn trudności technicznych, a nie z powodu niedopatrzenia naszego recenzenta.

Redakcja

SPROSTOWANIA

W nrze 3 (95) „Nowej Kultury” w artykule Wawrzynca Żuławskiego pt. „Herniasie” w Operze Warszawskiej” zniekształcone zostało końcowe zdanie pierwszego akapitu w sprawie drugiej, które powinno brzmieć: „...subtelna choć żarliwa uczuciowo scena końcowa wywiera niezmiennie przejmujące wrażenie”, a nie — jak wydrukowano: „...subtelna choć hałaśliwa...” itd.

W SPRAWIE FESTIWALU MUZYKI POLSKIEJ

Na marginesie ostatnich wypowiedzi Wawrzynca Żuławskiego w Nowej Kulturze na temat przebiegu Festiwalu Muzyki Polskiej chciałbym podzielić się z czytelnikami kilkoma uwagami, jakie mi się nasunęły.

Dziwnym się wydaje, dlaczego Festiwal Muzyki Polskiej tak mało zajmuje miejsca na łamach naszej prasy, a szczególnie prasy ilustrowanej.

Biorąc pod uwagę wielkie zadania, jakie miał do spełnienia Festiwal, nasuwa się pytanie, dlaczego „Przechrój” dopiero niemal w miesiąc po zakończeniu Festiwalu, ko w numerze z dnia 6 stycznia skwitował fakt odbycia się Festiwalu tylko jednym zdaniem z bardzo lakoniczną notatką, że „w zakończeniu Festiwalu Muzyki Polskiej brali udział nie tylko znani soliści czy orkiestry, ale także zespoły amatorskie. Na zdjęciu krakowiak — tańczy zespół Łódzkiej Za-

ALTRUIŚCI

Kto nie o siebie nie dba, lecz żyje dla bliźnich istot, o tym powiedzą wnet: — Ba, ten-ci jest altruista.

Tacy bywają dość rzadcy na tym padole, alisci w naszej pisarskiej gromadce trafiają się altruisci.

Cudzymi przywarami zwykli zajmować się mądrze, lecz czy pomyślą czasami o sobie samych? a skąd-że.

Więc pisze Jeden: — Ojczyźnie szkodę przynosi pljak! (O własnym alkoholizmie nie chce pamiętać nijak).

Ważniactwo — pisze inny piętnujemy czynem, nie słowem! (A sam przybiera miny adama - juliuszowe).

To pięknie, że te choroby i walka z nimi nas trapi, lecz czasem i nam warto-by poddać się własnej terapii.

Zatroszczymy się choć chwilę. Jak wyglądamy sami — w tym sensie i w tym tylko bądnymy egoistami!

BAGAŻ

Mój znajomy, poeta, jedzie w teren, Na literackie wyrusza wojaże... Odpowiadam go, widze, na stacji, Jakies wielkie nadaje bagaże.

Co to takiego? — Pytam zdziwiony — Cóż zawierają pakunki owe? — A to nic — odpowiada poeta — Biorę z sobą — wicze z kości słonowca...

MUCHA

Adeptom pięknej sztuki pisania humoresek poświęcam.

Starannie zamknął drzwi. Potem stał pod drzwiami i słuchał, czy ktoś obok, w pokoju nie mówi, nie szeleści, nie kicha lub nie chodzi. Usiadł przy biurku, rozłożył papier. Napisał tytuł, zamyslił się. Wtedy właśnie zabrzęczała mucha, odłożył pióro i rozejrzął się. Mucha brzęczała. Myślił jakos nie garnęły się do głowy, rozlażyły się jak pająki po kałach.

— Wszyscy mi przeskadzają — powiedział pelen żalu. Mucha przestała brzęczeć. Cisza z dzwoniła. Zaczął pilnie nasłuchiwać, zdawało mu się, że słyszy nieustanne, cieniutkie brzęczenie.

— Brzęczy, nie brzęczy? Takie, ciche brzęczenie jeszcze gorsze od głośniego. Przymknął oczy. Brzęczy nie brzęczy, brzęczy, a niech to diabli — mrucnął — byle mucha i też dokuczy.

Biała kartka papieru zapraszała do tego, żeby ją zabazgrać literkami.

Przez okno zajrzało słońce, wstał od biurka i spuścił roletę, ale po chwili zwinął roletę i wyjrzał na dwór.

— Słońce — pomyślał z żalem — a człowiek siedzi w tej norze i dzień marnuje. Dużo masz tych dni do stracenia, co? Rok ma 365. Dwa lata 730 dni. A te lata leca, leca... Dziesięć lat to będzie 3650 dni. A, ileż to tych dziesiątków się żyje? Cztery, sześć, w najlepszym razie osiem. Mógłbym teraz leżeć na łące. Wszystko pachnie, motyle fruwną, pasikoniki bzykają. Leżysz tak sobie i wdychasz zapach ziemi, po niebie idą obłoczki srebrne, świetliste. Słońce kładzie się na oczach... Albo w lesie. Cień, mchy, paprocie, grzyby, jagody, szyszki, igliwie. Sosny szumią, jakiś ptaszek

Faszystowscy wandale zniszczyli popiersie Henri Martina wystawione w salonie w Lyonie (z prasy)



Akcja



...i reakcja

Rys. Charite

Tadeusz Różewicz

LAUREACI STALINOWSKIEJ NAGRODY POKOJU 1951 ROKU		
Jorge Amado DROGI GŁODU Powieść	Str. 340	zł 9.—
JUPIABA Powieść	Str. 350	zł 11.10
RYCERZ NADZIEI Zycie Luis Carlos Prestesa	Str. 300	zł 9.60
SWIT PRAZYLI Opowiadania	Str. 263	zł 9.60
ZAMARLE MORZE Powieść	Str. 260	zł 0.40
ZIEMIA KRWI I PRZEMOCY Powieść	Str. 434	zł 13.50
ZIEMIA ZŁOTYCH PŁODÓW Powieść	Str. 434	zł 13.50
ALBANIA RADOSNA reportaż z podróży	Str. 70	zł 2.40
Anna Seghers BUNT RYBAKÓW Z SANTA BARBARA Opowiadanie	Str. 82	zł 3.—
LINIA Nowele	Str. 60	zł 2.50
LIST GONCZY Powieść	Str. 173	zł 6.50
OCALENIE Powieść	Str. 465	zł 13.80
SIÓDMY KRZYŻ Powieść	Str. 407	zł 15.—
TOWARZYSZE Powieść	Str. 220	zł 8.—
TRANZYT Powieść	Str. 276	zł 10.—
UMARLI POZOSTAJĄ MŁODZI Powieść	Str. 537	zł 21.—
WESLE NA HAITI Opowiadanie	Str. 121	zł 4.50

„CZYTELNIK”